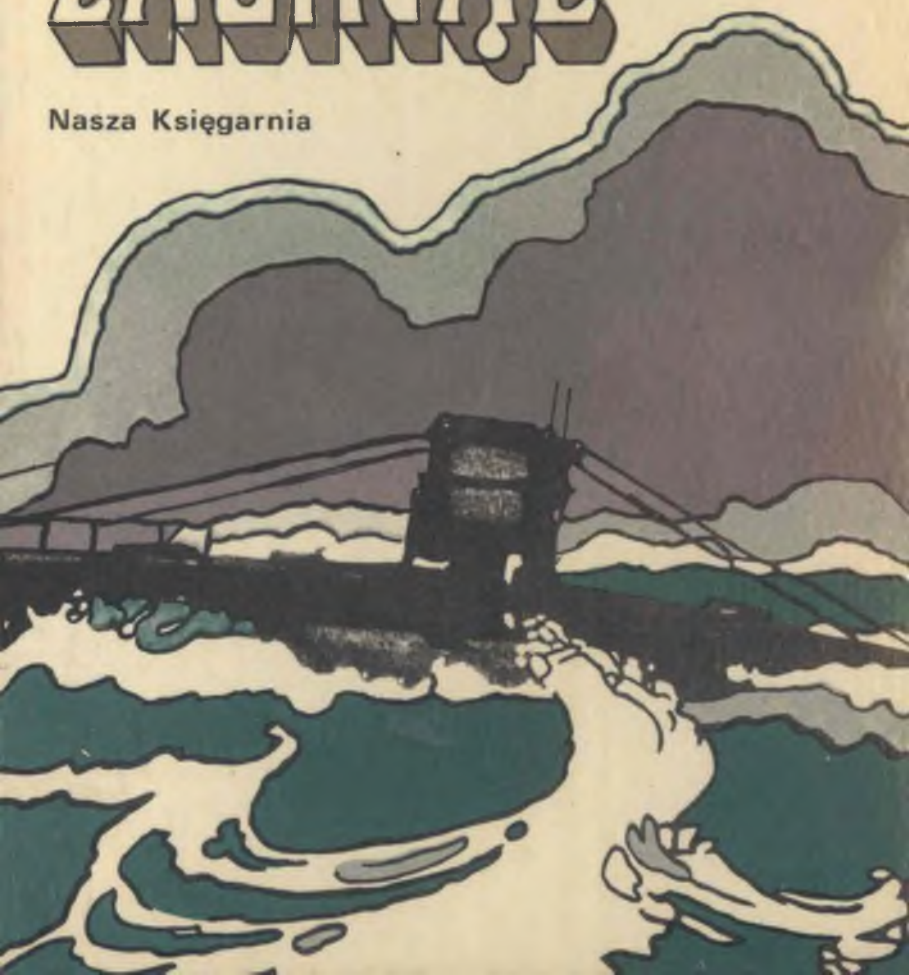


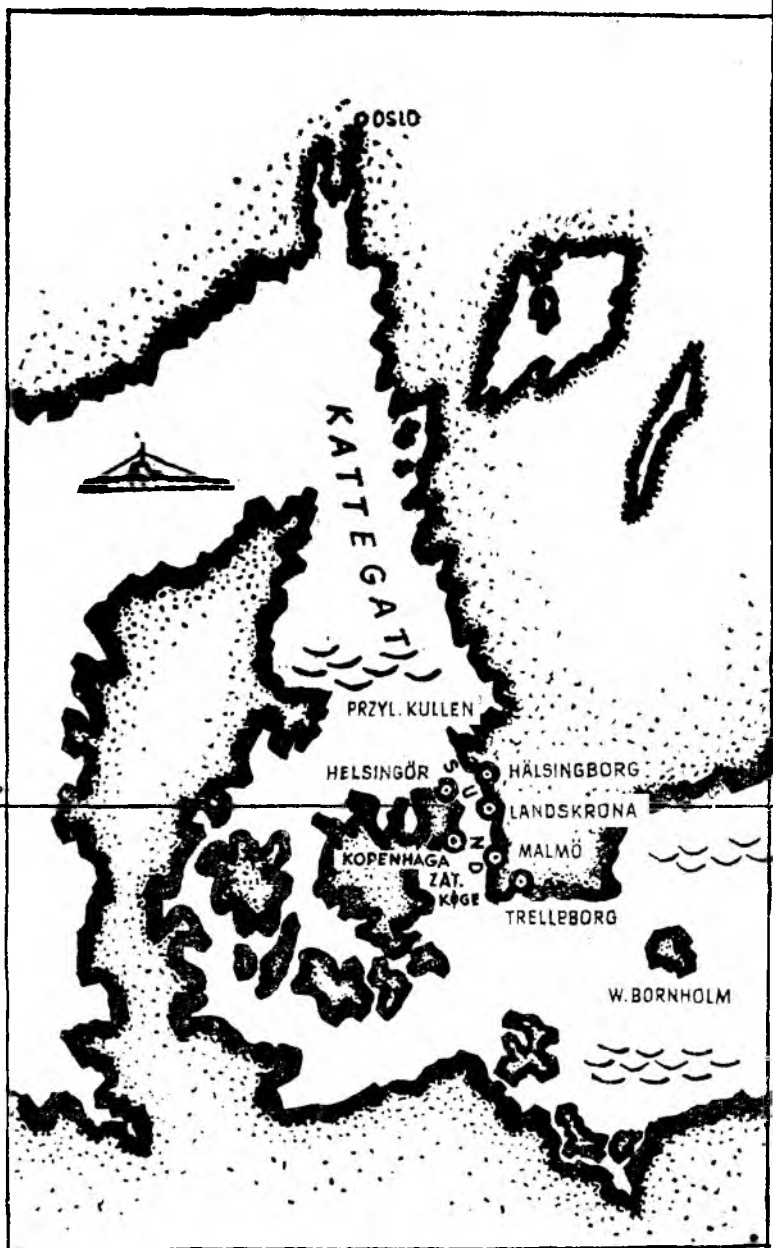
Stanisław Biskupski

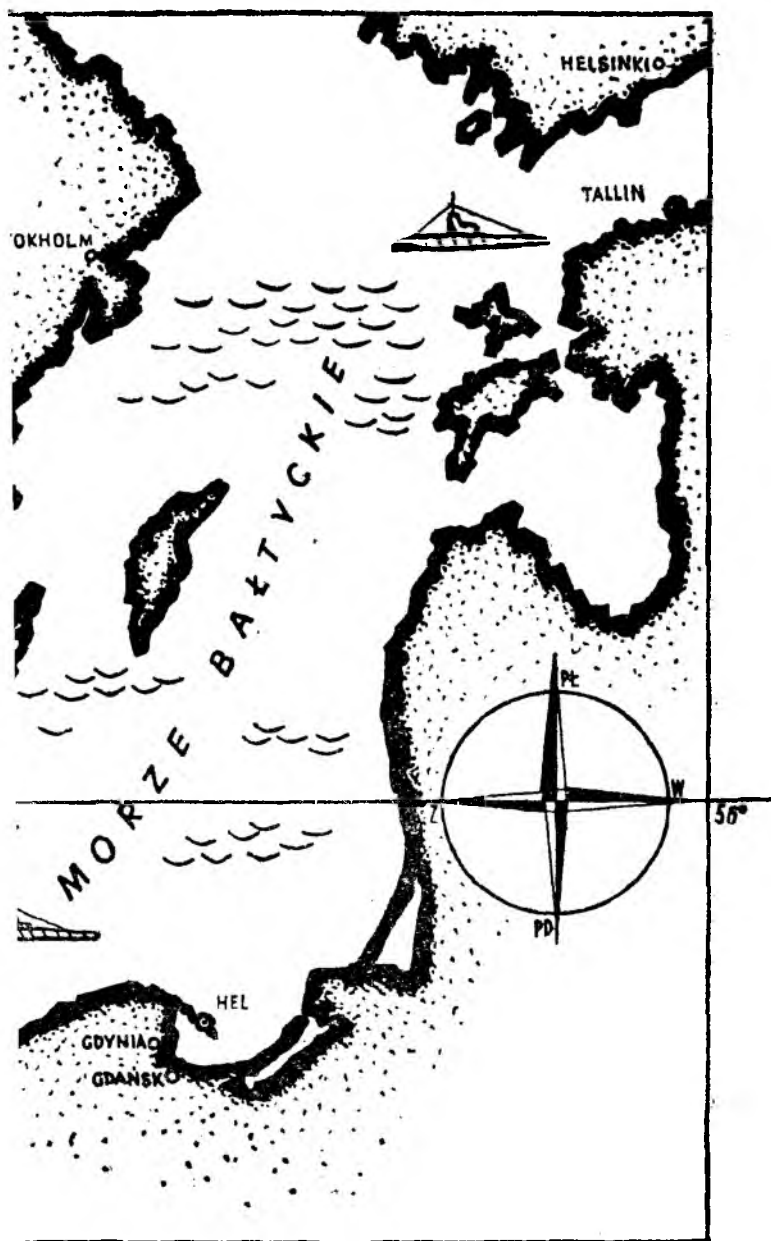
ORP „ORZEŁ” ZACINAŁ

Nasza Księgarnia









Stanisław Biskupski

**ORP „Orzeł”
zaginał**

Ta książka przeznaczona jest
dla Ciebie, młody Czytelniku,
Mamy nadzieję, że sięgniesz
do kolejnych tomów tej serii —
rozpoznasz ją łatwo
po jednolicie skomponowanej szacie graficznej;
Wybierać będziemy do tej serii
książki szczególnie wartościowe
i popularne; zabawne i poważne;
takie, które się czyta
„jednym tchem”, i takie, które czytamy
powoli, smakując ich urodę.
Słowem, będą to książki bardzo
różne, lecz łączy je jedno —
zostały napisane w Ludowej Polsce.

Stanisław Biskupski
ORP „Orzeł”
zaginał

Nasza Księgarnia Warszawa

Okładka: Zbigniew Rychlicki
Układ typograficzny: Józef Worytkiewicz
Fotografia autora: Pelagia Komorowska
Mapka: Juliusz Makowski

Francuzi nazywali go „Le sous-marin fantôme” — podwodny okręt-widmo. Anglicy „The heroic ship” — bohaterski okręt. Polacy dali mu nazwę, która wydaje się najwłaściwsza — „Orzeł”.

W latach niepodzielnej władzy hitlerowskiej Kriegsmarine na morzach Bałtyckim i Północnym „Orzeł” pierwszy udowodnił, że biało-czerwona bandera nie znikła i nie zniknie z mórz świata. Krótki, lecz jakże bogaty żywot tego okrętu wzbudził uznanie nawet u wrogów.

Niełatwo jest dziś, po latach z górą dwudziestu, odtworzyć ze wszystkimi szczegółami epopeję godną najlepszych tradycji morskich. Ze strzępów artykułów, z nielicznych publikacji, z opowiadań wyłaniają się przymglone niepamięcią dzieje tego okrętu.

Wszystkim, którzy swymi informacjami i pomocą ułatwili mi pracę, w szczególności zaś kapitanowi marynarki F. Prządakowi, jedynemu ocalałemu członkowi załogi „Orła” przebywającemu w kraju, oraz komandorowi B. Romanowskiemu składam serdeczne podziękowanie. Niech ten wspólny wysiłek choć w niewielkiej mierze będzie również formą uczczenia pamięci załogi „Orła”.

A u t o r

I. Przed burzą

Już od kilku dni bosmanmat * Brzęczka chodził jak struty. Nie miał żalu do starszego bosmana Foterka za to, że ten ochrzanił go jak święty Michał diabła, i to nie prywatnie, ale całkiem służbowo i w dodatku przy kolegach. Foterek, jak się wyraził Torbus, sam „z własnej inicjatywy” tego by nie zrobił, bo po pierwsze — nie było powodu, a po drugie — nie leżało to w jego charakterze. Jasiu Brzęczka wiedział, że wszystkiemu był winien „stary”, to znaczy dowódca, komandor podporucznik Kłoczowski. Wiadomo było, że „Kłocz” się wszystkiego czepiał, kiedyś więc musiał przyczepić się i do niego. Diesle przez wszystkie rejsy chodziły jak „omegi” i pochwały raczej należało się spodziewać niż takiego sztorcowania. Pewnie — jak ktoś chce psa uderzyć, to kij znajdzie. A Kłocz widocznie bardzo chciał, skoro tyle czasu przesiedział w siłowni. Tu pomacał, tam obejrzał, w końcu wyszedł kręcąc nosem i zabierając ze sobą Foterka.

Kiedy starszy bosman wrócił od dowódcy, Brzęczka spojrzął na jego twarz i od razu zwąchał, że sztorm wisi. I rzeczywiście — Foterek z miejsca obstawił go jak rzadko kiedy. Powiedział, że to tak zawsze bywa, kiedy z pętkiem chce się po dobremu. Na takim okręcie jak

* Słowniczek terminów morskich znajduje się na końcu książki.

„Orzeł” gospodarzem diesli nie może być byle łachmyta. Jeżeli Brzęczka się nie poprawi, to nie posiedzi tu dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, chyba że Foterkowi kaktus na dłoni wyrośnie.

Brzęczka wysłuchał wszystkiego pokornie, po czym usiłował się usprawiedliwić. Foterak przerwał mu natychmiast:

— Dowódca zawsze ma rację. Jeżeli widzi nawet, że jest dobrze, ma prawo i obowiązek ochrzanić, żeby było jeszcze lepiej, zrozumiano?

Jasiu nie próbował dalszej dyskusji. Tego jeszcze dnia przejrzał diesle, naoliwił, oczyścił, obejrzał ze wszystkich stron i pomyślał złośliwie: „Kwiatki by tu chyba jeszcze postawić. Nic więcej”.

A potem pomarzył chwilę, żeby to tak teraz stary wpadł do siłowni. Ciekawe, czy jeszcze by coś znalazł. Brzęczka pośpiesznie rzucił jeszcze tu i tam okiem, jak gdyby rzeczywiście wizytacja za chwilę miała nastąpić.

Komandor jednak teraz miał widocznie inne kłopoty. Dzisiejszy „dziki patrol” miał charakter nie tylko szkoleniowy. Wydawało się, że od pewnego niedawnego zresztą czasu, dowództwo naprawdę przywiązuje wagę do dostarczanych meldunków. Ten zaś patrol zapowiadał się o tyle ciekawiej, że szli aż pod Królewiec, a na wodach królewieckich, według meldunków innych okrętów, zaczynało się coś dziać. Kłoczkowski oczywiście nie wierzył w to wszystko, mimo że wiadomości potwierdzał nawet kapitan Krawczyk z „Wilka”, któremu komandor skłonny był ufać.

Hel opuścili dokładnie o godzinie 07.00. Minuty spóźnienia nie było. Jak zawsze.

Ranek był wymarzony. Lekka mgiełka wstawiała z mo-

rza, tworząc nad jej powierzchnią mleczną przesłonę. Słońce żółtawym blaskiem oświetlało pasemko gdyńskich wzgórz i rzucało na wodę migotliwe refleksy. O godzinie 08.00 dyżur oficera wachtowego objął zastępca dowódcy, kapitan Grudziński. Twarz miał młodą, prawie chłopięcą, w niczym nie przypominającą twarzy typowego wilka morskiego. Poważne, ale bynajmniej nie o stalowym spojrzeniu oczy były łagodne.

Podporucznik Kłoczkowski nie lubił go. Już chociażby z tego powodu, że Grudziński otrzymał nominację na zastępcę dowódcy wbrew jego wyraźnemu stanowisku. Wydawał mu się ponadto ospały i nieenergiczny. Kiedyś Grudziński służył na podwodnym i zdarzyło mu się zasnąć na wachcie. Kłoczkowski słyszał o tym i to jeszcze bardziej uprzykrzyło go do młodego kapitana.

Uprzedzony, nie był już zdolny do obiektywnego sądu i nawet niewątpliwe zalety oficera skłonny był uważać za cechy ujemne.

— Cóż to pan kapitan ślęczy nad tymi książkami, jak gdyby to było najważniejsze? — zwrócił mu kiedyś uwagę, i to nawet w obecności młodszego stopniem oficera, porucznika Piaseckiego.

— Melduję, panie komandorze, że to są książki techniczne... — wybąkał Grudziński — ...z zakresu budowy okrętów podwodnych — usprawiedliwiał się, jak gdyby czytanie na przykład poezji uwłaczało godności oficera.

— Sprawę dyscypliny uważam za ważniejszą — komandor zacisnął wargi — zwłaszcza teraz... Nie dalej jak wczoraj któryś z podoficerów usiłował zameldować się bezpośrednio u mnie. Kto i od kiedy wprowadza takie zwyczaje? Książki? Proszę bardzo, ale nie na okręcie!

Grudziński nie odpowiedział. Jakakolwiek dyskusja zresztą była nie tylko zupełnie bezcelowa, ale mogłaby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację.

— Tak jest, panie komandorze. — Zdawkową formułką potwierdził przyjęcie do wiadomości uwagi dowódcy i poszedł na pomieszczenie rufowe.

W charakterystyce służbowej znalazło się później zdanie: *Bardziej interesują go sprawy uboczne niż np. dyscyplina na okręcie*. Była to kąśliwa uwaga i niesprawiedliwa. Komandor podpisał się pod nią bez najmniejszego wahania. Cóż, fakty były zgodne z rzeczywistością. Nawet Piasecki mógłby to potwierdzić.

Grudziński traktował go z szacunkiem należnym dowódcy, ale był to szacunek urzędowy, oficjalny, nigdy nie wychodzący poza granice tej oficjalności.

Teraz właśnie, kiedy Grudziński miał przed sobą Dziennik Okrętowy, tamto wydarzenie skojarzyło mu się nie wiedzieć czemu z chwilą obecną.

Odnotował godzinę minięcia trawersu Westerplatte i przerzucał kartki Dziennika Okrętowego stanowiącego osobliwy, bo urzędowy pamiętnik „Orła”:

Wśród lakonicznych, krótkich zdań spotykał i takie, które stawały się odbiciem zmieniającej się sytuacji w kraju i na świecie.

Pierwsze miesiące służby „Orła” nie wyróżniały się niczym szczególnym. Każdy prawie dzień odnotowany był podobnie: *Pobudka, wentylacja, gimnastyka... odkotwiczenie, zanurzenie, wynurzenie... zacumowanie, wentylacja itp.*

Dopiero dwunasty sierpnia przynosił coś nowego: *Zaplombowanie kasy w kabinie dowódcy. Wydanie amunicji do parabellum*. Poczynając od tej daty notatki stawały się coraz ciekawsze. Dwudziestego pierwszego założono torpedy, usunięto nieszczelności w rurociągach hydraulicznych, wykonano próby sterów, zamocowano w dieslach części zapasowe. Od dwudziestego czwartego z nastaniem zmroku na pokładzie pełniło służbę dwu ludzi, działko przeciwlotnicze podniesiono...

Grudziński zamknął Dziennik, wyszedł na pomost. Komandor chwilę obserwował go w milczeniu.

— Panie kapitanie — powiedział nagle — proszę o dane — wskazał mu brodą kierunek. W dali majaczyły sylwetki niewielkich jednostek.

— Kurs 110, odległość siedem mil, szybkość dwadzieścia węzłów, pięć ścigaczy typu S...

— To wszystko?

— Uzbrojenie: dwie torpedy kaliber 492, jedno działko 20 milimetrów, bomby głębinowe...

— ...Wyporność sześćdziesiąt dwie tony, moc maszyn 2400 koni, szybkość maksymalna trzydzieści trzy węzły...

— recytował Kłoczkowski nie czekając na dalszy ciąg odpowiedzi Kapitana. — Dowódca powinien znać dane jednostek nieprzyjacielskich na pamięć. Zwłaszcza tych...

Ścigacze szły kontrkursem. Spod ostro zarysowanej linii dziobów tryskały na kształt długich wąsów pienne odkosi fal. Teraz już gołym okiem można było dojrzeć szare kadłuby i niewysokie pomosty bojowe.

Grudziński obserwuje również linię szyku torowego, czekając, aż odchyli się w łagodnym łuku. Ścigacze jednak idą nadal nie zmieniając kursu. Wydaje się, że szybkość ich rośnie z każdą chwilą.

„Orzeł” idzie wciąż naprzód, wprost na tamtych. Grudziński zaczyna się denerwować. Ścigacze są tuż. Na dziobach można już odczytać białe numery: 6, 5, 4 — na prawych burtach rozpląszcza się literą „T” czarny orzeł.

Kłoczkowski jeszcze raz rzuca okiem na przeciwnika, jeszcze raz szybko przemierza wzrokiem odległość. Kiedy nic nie zdradza, że ścigacze mają zamiar zmienić kurs, rzuca głosem zupełnie spokojnym:

— Obsługa do działa!

Na dole w pancерnej obudowie działa trzaskają drzwiczki i lufa pochyła się do pozycji poziomej.

Dopiero teraz pierwszy ścigacz ostro zmienia kurs i pokazując swoją lewą burłę odchodzi z nie zmniejszoną szybkością. Tuż za nim skręcają dalsze, pozostawiając za sobą półkolisty szlak spienionej wody.

Grudziński palcem odciągnął kołnierzyk od szyi. Wydaje mu się, że dolna warga dowódcy nieznacznie drga. Milczenie trzeba czymś zapełnić.

— Znowu prowokacja!

— Pan się jeszcze nie przyzwyczaił? Ta zabawa trwa przecie nie od dziś.

— Jak długo jeszcze mamy to znosić? Czas najwyższy, żeby raz wreszcie... — nie dokończył.

Wbrew oczekiwaniom kapitana Kłoczowski z niezadowolaniem zmarszczył czoło.

— Tak panu pilno? Bo mnie nie bardzo. Prowokacje denerwują, to prawda, ale wolę już to niż wojnę. Mimo wszystko oni są zbyt silni...

— A jednak pan im nie ustąpił z drogi.

— To co innego. Nie wierzyłem i nadal nie wierzę, żeby chcieli nas zaczepić. Przed chwilą mieliśmy tego dowód. Prowokują i drażnią, ale na wojnę nie zdecydują się.

— A gdyby jednak...

— Gdyby jednak... — powtórzył z nie ukrywaną złością. — Niech pan nie kracze, bo „gdyby jednak”, to oni będą mieli więcej do powiedzenia niż my. Niech pan spojrzy na zatokę. Czym mamy ją bronić? Baterie na Helu? Owszem, działa niezgorsze, ale ile ich mamy? A flota? Mogą nas zablokować od pierwszej godziny.

Grudziński był innego zdania.

— Czy ich nie przeceniamy?

Kłoczowski nie odpowiedział. Machnął ręką dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru dyskutować, i nacisnął przycisk klaksonu.

— Alarm zanurzeniowy!

— Na stanowiska manewrowe! — Kapitan powrócił do swej roli. Bosmanmat Olejnik ześliznął się do centrali, przerzucił ster głębokościowy. Jasne światółko przebiegło po tablicy, wskazując stopień nachylenia steru.

Bosman otworzył odwietrzniki balastów rufowych i dziobowych. Powietrze wydarło się z sykiem, okręt osiadł głębiej. Diesle zamilkły, ruszyły motory elektryczne.

— Gotowe! — meldowano z dziobu.

— Gotowe! — meldowano z rufy.

— Okręt gotów do zanurzenia! — zameldował w końcu Grudziński.

Komandor, schodząc do kiosku, dokładnie zaryglował pokrywę wjazdu.

— Zanurzenie dwanaście metrów!

— Otworzyć odwietrzniki balastów środkowych trym minus dwa... — dorzucił kapitan.

Bosman Gwiazdziński poruszył nieznacznie manetką odwietrzników balastów środkowych.

Przez otwarte grodzie Grudziński obserwował, jak dziób okrętu zapada się w dół.

— Dziobowy — minus dziesięć, rufowy minus pięć, zanurzenie dwanaście metrów.

Olejnik śledził tarczę manometru głębokości i wskaźnik trymowy.

— Osiem... dziesięć... dwanaście...

— Jest dwanaście metrów! — meldował znowu Grudziński.

— Zbalansować...

Okręt przechylił się na dziób, a następnie na rufę. Resztki powietrza uciekły z balastów.

Teraz już Gwiazdziński mógł zamknąć odwietrzniki. Dowódca podniósł peryskop.

W pobliżu morze było puste, dalej majaczyły przymgłone zarysy brzegów. Kłoczkowski odwrócił peryskop o 90°

i przez chwilę patrzył w tym samym kierunku. Zaniepokoił go szary, ledwo widoczny na horyzoncie punkt, który rozszerzał się, rósł, pęczniał. Z dołu biegł jednostajny odgłos pracy silników.

Komandor mógł być zadowolony. Starał się co prawda nie okazywać tego wobec załogi, gdyż jego zdaniem mogłoby to na nią podziałać demobilizująco, musiał jednak stwierdzić, że „Orzeł” bez reszty poddawał się jego woli i że manewr zanurzenia odbył się bez zarzutu, w sposób prawdziwie pokazowy. Widział w tym wyłącznie swoją zasługę i był z tego dumny. To, że niektórych ludzi udało mu się ściągnąć ze „Żbika”, też było rezultatem jego zapobiegliwości i dyplomacji. Nie mogąc jedynie zmienić decyzji co do swego zastępcy Grudzińskiego, postanowił go tolerować. Nic więcej.

— Panie kapitanie...

— Tak jest, panie komandorze! — Grudziński wspiął się po pionowym trapie do kiosku i stanął obok.

— Proszę — dowódca ustąpił mu miejsca przy peryskopie. Kapitan spojrział i... zdziwił się. To, co dostrzegł, zastanowiło go. Czyżby Kłockowski ponownie chciał sprawdzić jego wiadomości? Jeśli tak, to tym razem...

— „Donau” — zameldował szybko — baza okrętów podwodnych, w eskorcie pięciu jednostek typu U1, wyporność...

Komandor nie dał mu dokończyć. Sprawdził sam. Jego zastępca nie mylił się. A właściwie omylił się tylko co do liczby. Prawdopodobnie nie dostrzegł dalszych dwu „ubotów”, które teraz dopiero wyłoniły się spoza pękatego kadłuba „Donau”. Pierwsze z nich paradowały już przed oczyma Kłockowskiego, prezentując wąskie kadłuby, kioski przypominające spłaszczone kominy niszczycieli oraz wyraźnie wypisane na nich numery 10 i 8.

Twarz dowódcy zrobiła się szara.

— Jak pan sądzi... czy bazują w Piławie?

Po raz pierwszy komandor zwrócił się do swego zastępcy nie jak do podwładnego, lecz jak do kolegi. Grudziński poczuł się upoważniony do wypowiedzenia swojej opinii, nawet gdyby nie była po myśli dowódcy.

— Sądzę, że... tak.

Kłoczkowski był tego samego zdania. W pytaniu skierowanym do Grudzińskiego była nadzieja, że ten zaprzeczy, że po tym zaprzeczeniu jego nadszarpnięte nerwy odczują chociażby chwilową ulgę. Byłoby to okłamywaniem samego siebie — to prawda. Jednak tego rodzaju kłamstwa mogą być błogosławieństwem, zwłaszcza teraz, kiedy lada dzień lub nawet lada godzina równowaga, spokój i opanowanie mogą stać się koniecznością, obowiązkiem takim samym, jak znajomość działania mechanizmów okrętowych. Nie chciał i wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, czego „Donau”, baza okrętów podwodnych, stawał się już nie urojonym, lecz najprawdziwszym dowodem. „Może jednak?” — uporczywie kołatała się myśl już tracąca swój grunt i ożywiona na siłę resztką oddalającej się nadziei.

Ściąganie dodatkowych jednostek przez Niemców mogło mieć oczywiście na celu zastraszenie lub wywieranie presji. Ale czy tylko to? Po raz pierwszy Kłoczkowski zwątpił w słuszność swych przewidywań. Nie lubił się mylić i wołałby raczej faktom zaprzeczyć niż sobie. Teraz jednak trzeba było realnie oceniać wydarzenia. Najbliższa przyszłość rysowała się coraz mgliściej i groźniej.

Kapitan uważnie studiował jego twarz, pragnąc odgadnąć bieg myśli dowódcy. Komandor zmieszał się.

— Wynurzenie na sterach! — podał komendę wbrew swoim poprzednim zamiarom podejścia w stanie zanurzonym bliżej Piławy.

Kapitan Grudziński szybko wrócił do centrali.

— Wynurzenie na sterach! — powtórzył jak echo i zaraz dodał:

— Dziobowy plus pięć, rufowy plus dziesięć.

Olejniki automatycznym ruchem przeczuli manetkę steru dziobowego, dziób uniósł się w górę i po chwili opadł wyrównując trym.

— Szas balastów!

Sprężone powietrze z sykiem wyrzuciło wodę ze zbiorników i okręt wynurzył się na powierzchnię.

— Depesza do dowództwa — powiedział Kłoczkowski szykując się do wyjścia na pomost.

Starszy bosman Kotecki z zainteresowaniem rozwinął kartkę.

— Uboty! — powiedział zbyt głośno.

Szubert zbladł.

— Cholera! — zaklął.

Bosmanmat Szubert zmartwił się poważnie. Nie tak dawno ożenił się i był po uszy zakochany. Nie wiedział, co to jest wojna, i jeszcze nie mógł jej sobie dokładnie wyobrazić, chociaż rozmawiano na ten temat coraz częściej. Wiedział tylko tyle, że w razie wojny czeka go rozłąka, i to wydawało mu się szczególnym okrucieństwem. Pewną pociechę stanowił fakt, że w swych troskach nie był odosobniony. Bosmanmat Prządak był w podobnej sytuacji.

— Felek — zwrócił się do Prządaka — a u ciebie w domu jak?

— Żona spodziewa się w grudniu.

— O, to jeszcze gorzej niż u mnie — ucieszył się.

— Pewnie znów o babach? — wtrącił się bosman Narkiewicz, na co dzień zwany „Bimem”. — Innych zmartwień nie macie?

— Są tacy, co nie potrzebują się martwić. Tylko nie każdy tak chciałby.

Bim poczerwieniał. Zrozumiał aluzję. No i co z tego, że żyję „na wiarę”? Zechce — to się ożeni, a na razie nie chce.

— A wy zamknijcie gębę! — burknął.

— Spokój, panowie — „Pablo”!

Chociaż ostrzeżenie to wypowiedziane było szeptem, porucznik Piasecki zdołał dosłyszeć. „Pablem” nazywali go koledzy-oficerowie, widocznie jednak przezwisko to znane było i załodze.

— Cóż to za dyskusja? — zapytał z uśmiechem.

— A to, panie poruczniku — wyjaśnił Torbus — rzeczywistość analizujemy.

— O!

— Tak jest, panie poruczniku.

— I jakżeż ta analiza wypadła?

— Nieszczególnie, zwłaszcza a conto żon.

Porucznikowi uśmiech nie schodził z ust.

— Myślałem, że wy tak szerzej... o sytuacji.

— A gdzie tam, panie poruczniku — zemścił się Bim — baby przesłoniły horyzont. I peryskop nie pomoże.

Gdyby Narkiewicz znał w tej chwili myśli Piaseckiego, prawdopodobnie nie zażartowałby w ten sposób.

Porucznik niedawno został ojcem i ten awans w hierarchii społecznej pochłaniał większość jego trosk. Mareczek według kategorycznych oświadczeń wszystkich znanych był podobno wykapanym ojcem. Piasecki na próżno doszukiwał się owego „wprost niezwykłego” podobieństwa. Nie znajdował go ani w zapuchniętych oczkach, ani w małym, wiecznie spoconym nosku, ani w czerwonych ustach dziecka. Nie wpływało to jednak w najmniejszym stopniu na ojcowską dumę.

Przed miesiącem żona wraz z synkiem wyjechała z Gdyni i od tego czasu Piasecki niechętnie schodził na

ład. Częściej przebywał teraz wśród załogi, nawiązując z nią serdeczniejszą, bliższą więź. Kłoczkowski patrzył na to z niechęcią. Nie mówił nigdy otwarcie, to nie było w jego stylu. Napomknął tylko kilkakrotnie w mesie, że spoufalanie się z załogą uważa za jedną z przyczyn rozluźnienia dyscypliny na „Orle”.

I tym razem, kiedy „Orzeł” wynurzył się, Kłoczkowski obejrzał się i zapytał:

— Porucznik Piasecki na dole?

Grudziński zrozumiał, co ma na myśli.

— Tak jest, panie komandorze, coś tam z torpedami...

— Tak, oczywiście, dziękuję.

Kapitan był prawie pewien, że dziś jeszcze dowódca znajdzie dowody nieporządku panujące w dziale broni podwodnej.

Komandor zagryzł wargi i sięgnął po podany mu w tej chwili radiogram. Powoli rozwinął kartkę papieru, po czym rzucił okiem na zegarek.

— Kurs — baza! — powiedział krótko.

II. Wojna

Wszystko stało się tak szybko i nagle, że dopiero w kilka dni później relacje poszczególnych członków załogi „Orła” jako tako umożliwiły ustalenie kolejnych faktów.

Wieczorem dnia poprzedzającego owe wydarzenia dowódca zjawił się na okręcie obaroczony bagażem, którego widok wzbudził w załodze wiele różnorodnych domysłów. Jasio Piegza szturchnął nawet Ignasia Świebookiego i zapytał zupełnie poważnie:

— Umiesz piec dzikie kaczkę?

Mat otworzył szeroko oczy. Nie przypominał sobie, żeby w przyjętym prowiancie znajdowała się jakakolwiek dziczyzna.

— Jak upolujesz, to zobaczymy — odpowiedział rzeczowo.

— Ode mnie nie dostaniesz, ale pilnuj Kłocza. Może i tobie jakiś kuperek się dostanie. Zobaczysz, nasz stary na polowanie się wybiera — i wskazał brodą na Jasia Brzęczkę, który targał komandorskie dobra: dubeltówkę, maszynę do pisania i solidnych rozmiarów walizę.

Dla innych — niezwykley bagaż dowódcy nie był bynajmniej przedmiotem żartów. Bosmanmat Szubert zajął się.

— Coś w tym musi być — podzielił się swymi domysłami z Torbusem.

Jego obawy wzrosły jeszcze bardziej po nagłym powrocie Prządaka z lądu. Mat ledwo zdążył oddać żonie pensję, gdy telefon ze sklepu, który podoficer wskazał jako swój punkt łącznościowy, wezwał go z powrotem na okręt. Prawdę powiedziawszy nawet nie zdążył się z żoną pożegnać. Janek Olejnik, którego alarm zastał przy remoncie motocykla, zostawił go po prostu pod murami koszar i zameldował się na rozkaz.

„Orzeł” stał przy oksywskim nabrzeżu i ładował baterie. Nazajutrz, na sygnał „Fant”, miało się odbyć strzelanie artyleryjskie. Jak dotychczas wszystko odbywało się zgodnie z zaplanowanym rozkładem zajęć. Po powrocie z patrolu wypłacono wszystkim pensję, załoga grupami schodziła na ląd, wachtowi pełnili służbę na okręcie, a wolni od zajęć oficerowie pogadywali w mesie.

Wieczór był cichy, łagodna, długa fala uderzała z pluskiem o kadłub „Orła”, przymglone gwiazdy wróżyły ciepły, słoneczny dzień. Po odejściu do Anglii „Burzy”, „Błyskawicy” i „Gromu” w zatoce czuło się pustkę, jaka nastaje w domu po wyjeździe bliskich. Na redzie stały „Wicher” i „Gryf”, skromnie przykucnęły trałowce z dywizjonu ptaszków: „Czajka”, „Jaskółka”, „Mewa”, „Rybitwa”, „Czapla” i „Żuraw”. Cienkimi kreskami przecinały morską gładź smukłe kształty okrętów podwodnych: „Rysia”, „Żbika”, „Wilka” i siostrzanego okrętu „Orła” — „Sępa”.

O godzinie 04,00 na pokład wszedł mat Szubert, artylerzysta. Energicznie wruszył ramionami, strząsając z siebie resztki chłodu, którym przywitał go poranek, ziewnął przykrywając dłonią usta i pomyślał, że paskudną ma wachtę. A w ogóle nie ma to jak w domu.

Jego dom uosabiała Marta. Na wspomnienie jej Szubertowi zrobiło się ciepłej. Marta!

Ileż to razy była powodem żartobliwych docinków! „Po-

lek mało mu było. Holenderkę wybrał” — gadali. Bo Marta była Holenderką. Poznał ją we Vlissingen, tam gdzie rodziły się „Sęp” i „Orzeł”. Był w ekipie odbierającej „Orła”. Któregoś dnia poznał Martę. Dopóki „Orzeł” stał w doku, wszystko było w jak najlepszym porządku, ale kiedy zaczęły się pierwsze próby odbiorcze, Szubert chciał, żeby trwały jak najdłużej. Męczył się chłop — to było widać. Poradzili mu koledzy, żeby złożył raport z prośbą o zezwolenie na ślub. Sprawa nie była prosta. Szubert nie miał jeszcze trzech lat służby nadterminowej, a tacy musieli miłość odkładać na później. Cóż robić, kiedy wbrew wszelkim przepisom uległ jej właśnie teraz? Zbliżało się przedwiośnie, a w taki czas z miłością walczyć jest jeszcze trudniej. Z niepokojem czekał na decyzję. W kraju może nawet byłoby trudniej wziąć biedną dziewczynę za żonę. Marta nie miała bowiem nic, żadnego majątku.

Dowództwo jednak okazało się wyrozumiałe. Nawet Kłocz się rozpromienił: „Kochacie się? A to żeńcie się, u diaska, co mi tam...” — machnął ręką. I Wacusię się ożenił. Cała orłowska brać była na tym ślubie. Że to niaby „w nieszczęściu Wacusia nie opuszczą”. Marta wyjechała do Polski pociągiem, a Szubert akurat dziesiątego lutego zacumował na „Orle” do gdyńskiego nabrzeża.

Marta z miejsca wszystkim przypadła do gustu. Oksywie stało się dla niej nowym Vlissingen.

A teraz właśnie pewnie śpi.

Lubił patrzeć na nią, kiedy zasypiała. Zwijała się w kłębek z nogami podciągniętymi wysoko, tak że kolanami sięgała prawie brody, jej ciało zaczynało promieniować ciepłem i kiedy on wciąż jeszcze był przy niej, bawił się jej jasnymi rozrzuconymi na poduszkę włosami nawijając je na palce, ona równym, głębokim rytmem oddechu odpływała coraz dalej i dalej. Był nieraz zazdro-

sny o ten sen, o te jej dalekie, nie znane mu wyprawy, w których nie mógł uczestniczyć, mimo że był przecież tuż obok.

Mgła oderwała się od morza i mleczną zawiesiną szła coraz wyżej. W takiej mgle każdy dźwięk brzmi dziwnie, jak gdyby dochodził zza watowanej przegrody. Syreny okrętowe we mgle bucą ponuro i jęklawie, woda w morzu wydaje się gęsta i lepka, a wycie pław jest przeraźliwie przykre. Ale ten dźwięk, który dochodzi teraz do uszu Szuberta, jest zupełnie inny. Głuchy, urywany, jak krótki pojedynczy grzmot. Szubert wcale się tym nie niepokoi. Wie, że tydzień temu do Gdańska przybył „Schleswig-Holstein”, szkolny okręt niemiecki. Groźnym chyba być nie mógł, skoro sam przedstawiciel Polski przy Senacie Gdańskim, w cylindrze, witał go w Nowym Porcie. Mówiono nawet, że fakt... zaraz, jak to pisały gazety? Aha: *Fakt kurtuazyjnej wizyty niemieckiego okrętu wojennego w Wolnym Mieście Gdańsku jest dowodem pokojowych dążeń Trzeciej Rzeszy w kierunku ustanowienia dobrosąsiedzkich stosunków i regulowania spornych spraw drogą pokojowych pertraktacji.*

Tak więc daleki odgłos nie budził w Szubercie żadnych podejrzeń. Dziwi się tylko, że poprzez coraz bardziej rzednącą mgłę wyrasta nad Gdańskiem czarny słup dymu. W zatoce jednak jest cicho i spokojnie.

Wachtowi na „Wichrze” przechadzają się po pokładzie. Widocznie im także nie jest za ciepło; Minuty płyną wolno, sennie. Szubert wraca do osobistych wspomnień, ale dalekie detonacje coraz częściej wpadają w tok jego myśli, płaczą je i mieszają, nie pozwalając się skupić. Słońce czerwoną plamą wynurza się z morza, mgła jest już wysoko, a dymy nad Gdańskiem snują się coraz cięższe.

Szubert jest nieswój, Ranek niby pogodny, a w powietrzu wisi jakiś niepokój, jak zapowiedź groźnego sztormu. Do

dalekich detonacji dołącza się nagle warkot samolotów. „To pewnie te” — myśli Szubert o wczorajszym meldunku. Nad Westerplatte wciąż kłębią się gęste dymy. Warkot rośnie. Z mgły wyłaniają się sylwetki trzech samolotów. Lecą dość wysoko, robią wiraże nad „Wichrem” i nagle Szubert widzi, jak niszczyciel otacza się dymem i rozlega się potężny wybuch, jeden, drugi, trzeci... Płaty samolotów przechylają się ukazując pod spodem czarne krzyże.

Szubert nie pamiętał, ile czasu minęło od momentu uświadomienia sobie tego wszystkiego do chwili podniesienia alarmu. Pamiętał tylko, jak obsługa działka przeciwlotniczego wybiegła w białiznie i „Orzeł” plunął pierwsze w tej wojnie serie.

Z odrętwienia budzi go czyjś głos. Ktoś stoi przed nim i krzyczy. Szubert nic nie może zrozumieć. Huk dział narasta i teraz grzmi nim cała zatoka. Kiedy na ułamek sekundy cichnie, Szubert poznaje twarz dowódcy.

— Kto wam, do cholery, pozwala strzelać?! Kto, pytam? Ja was...!

Dziwnie, ale tym razem żadna groźba nie przeraża Szuberta. Wydaje mu się śmieszna, jakaś groteskowa wobec tego, co się dzieje dokoła...

Zatoka znika w dymie. Po niebie tańczą samoloty. „Wicher” rozpala się ogniem i jeden samolot sunie niepowstrzymanie w dół, ciągnąc za sobą warkocz dymu.

Dopiero teraz Szubert widzi, że nie jest sam na pokładzie. Kłoczkowski z pomostu lustruje niebo, obok stoją oficerowie: Grudziński, Piasecki, Mokrski, Roszak.

Nikt jeszcze nie wie, co się właściwie stało: nieporozumienie, prowokacja czy może...?

Na dole w radiokabinie starszy bosman Kotecki przekręca gałki aparatu: „Dziś w godzinach rannych wojska niemieckie przekroczyły w kilku punktach granicę”.

Kłoczkowski z wściekłością zagryza wargi. Ma ochotę kłać na czym świat stoi. Teraz trzeba zachować zimną krew lub przynajmniej pozory opanowania i spokoju;

— Odcumowanie!

Załoga spełnia komendę wzorowo:

— Mała naprzód!

„Orzeł” wychodzi w swój pierwszy bojowy rejs. W dali snują się gęste kłęby dymów, nad morzem przewala się nieprzerwany, potężny huk. Teraz dopiero Szubert rozumie jego sens.

Za „Orłem” wysuwają się „Sęp”, „Rys”, „Wilk” i „Żbik”. Kłoczkowski wyjmuje z pancерnej szafy zalakowaną kopertę, zrywa lak. „Sektor północny” — mruży do siebie.

— Alarm zanurzeniowy!

Wszystko odbywa się tak jak codziennie, kolejne czynności powtarzane miesiącami stały się nawykiem. Grudziński podaje komendę na stanowiska manewrowe. Olejnik sprawdza ster głębokości, bosman otwiera odwietrzniki balastów, działą meldują gotowość.

„Orzeł” schodzi w głąb. Milkną wszystkie zewnętrzne odgłosy. Zamkniętym w stalowym pudle ludziom towarzyszy jedynie znajomy szmer mechanizmów. Dowódca zostaje w kiosku. Mokrski studiuje mapę nawigacyjną. Piaseckiego dręczy bezczynność — jego działą broni podwodnej nie ma w tej chwili jeszcze nic do roboty. Komandor odczuwa pierwszy niepokój, tym większy, że oczy wszystkich skierowane są na niego, a on nie wie dokładnie, co w tej chwili ma robić. Dowództwo milczy jak zakłète.

W górze jest wojna, w dole pod wodą trwa cisza i chwilami się zdaje, że dzisiejszy poranek był koszmarnym snem. Pierwsza depesza przychodzi dopiero o godzinie 10.45. *Nie wynurzać się — możliwy atak lotniczy.* Wpraw-

dzie brzmi to bardzo lakonicznie, ale niech będzie — dobre i to. Zawsze jest raźniej, gdy się wie, że tam, na Helu, jest ktoś, kto czuwa.

A teraz ta pewność jest bardzo potrzebna, jest niezbędna jak powietrze.

Podporucznik Mokrski spogląda już dłuższą chwilę na rozłożoną mapę nawigacyjną, gotów do wykreślenia kursu. Dowódca patrzy na mapę, przez moment się zastanawia i pokazuje:

— Rejon Helu. Nigdzie dalej.

Oczy oficerów są zdziwione. Grudziński decyduje się.

— Panie komandorze — pyta — mamy operować przy Helu?

— Nasz sektor! — uciął Kłoczowski. — Proszę bez dyskusji.

Coś tu nie jest w porządku. Grudziński przysięgłby, że z poprzedniej relacji dowódcy wynikałoby, że ich sektor jest gdzie indziej. Może się jednak przesłyszał. Dowódca jest z pewnością lepiej zorientowany. Oficerowie zajmują stanowiska.

Wszystko wraca do normalnego trybu. Jest wojna, a nikt nawet nie odczuwa lęku, robi się nawet nudno. Ciekawe, co tam na lądzie. Czy zdążą jeszcze Niemców przetrzepać? Wojna może się skończyć lada dzień, inni powrócą z triumfem, tylko „Orzeł” wynurzy się przy samym brzegu, bez żadnego sukcesu, dosłownie — bez żadnego!

Kłoczowski kilkakrotnie ryzykuje krótkie obserwacje powierzchni. Dymy snują się już nie tylko nad Westerplatte, ale wyrastają też nad Oksywiem i nad Helem. O godzinie 19.15 Kotecki przyjmuje nową depezę: *Stuchać dodatkowych komunikatów w godzinach...* Depesza podaje osiem nowych terminów.

Komunikaty nie przynoszą jednak nic nowego. Nie po-

dają nawet wiadomości o sytuacji na froncie. Wszyscy z niecierpliwością oczekują wieczoru. Wtedy będzie można się wynurzyć i wtedy wiele będzie można wyjaśnić.

Około godziny 20.00 Kotecki przyłapuje sygnał „Wilka”: *KT typ „Maass” kurs 305*. Kłoczkowski uśmiecha się prawie ironicznie: „No i co z tego? Atakować ich nie będą, a dowództwo też niewiele może pomóc!”

Na szczęście jest już ciemno; „Orzeł” wynurza się śmiesznie blisko Helu.

Z mroku wysuwa się cień „Wichra”; Ten okręt ma także już poza sobą pierwszy dzień wojny.

O godzinie 16.00 dowódca niszczyciela na sygnał „Rurka” otworzył kopertę. Okręt ma wziąć udział w operacji minowania. *Akcję przeprowadzić dyskretnie, nie zdradzając swojej obecności. Minuje „Gryf” i dywizjon trałowców — ostania „Wicher”.*

— „Dyskretnie, nie zdradzając swojej obecności” — powtarza słowa rozkazu dowódca.

Jest zupełny mrok, kiedy niszczyciel znajduje się u wyjścia z portu Piława. „Wicher” krąży na tych wodach cicho jak widmo.

Nagle, niemal jednocześnie z kilku punktów obserwacyjnych dochodzą meldunki:

— Dwa niszczyciele, kąt kursowy 330°, kąt biegu lewo 90°...

Na horyzont wyływa księżyc. Dwie sylwetki przecinają świetlistą drózkę migocącą na falach morza. „Wicher” jest niewidoczny, ale sam „widzi” doskonale. Jego artyleria skierowuje się w burty wrogich okrętów. Trafienie byłoby stuprocentowo pewne, ale... „dyskretnie, nie zdradzając swojej obecności...”

Niszczyciele przechodzą i toną w ciemności;

W krótki czas potem nowe meldunki:

— Krążownik „Leipzig”, kąt kursowy 60°, kąt biegu prawo 30°, szybkość około dwudziestu węzłów.

Lufy dział kierują się teraz w kierunku nowego wroga.

— Odległość 5000 metrów...

Rury aparatów torpedowych wyciągają swe palce w stronę krążownika:

— Odległość 4500 metrów...

— 4000 metrów...

Trafienie jest zupełnie pewne. Oczy błyszczą z emocji, ręce drżą niecierpliwie wyczekując na rozkaz.

— 3500...

Tam na krawężniku muszą chyba być ślepi, żeby tak po wariacku pchać się pod same lufy:

— 3000...

Dowódca zaciska dłoń z wściekłości. Teraz nie mogłoby być pudła. Opanowuje go obezwładniająca gorączka pokusy. A gdyby jednak... Przecież taka okazja... „Dyskrekcja operacji, dyskrekcja operacji...” — ochładza swój zapach wyraźnym rozkazem.

Krążownik przechodzi ocierając się o zagładę. Artylerzyści i torpedyści spoglądają z wyrzutem w stronę, gdzie powinien znajdować się dowódca:

— Zdrada! — szepce ktoś.

— Tchórze! — dodaje ktoś inny.

— Sukinsyny... — nie wiadomo pod którym adresem syczy któryś z artylerzystów.

Na pomoście stoi dowódca i z trudem wstrzymuje łzy pchające się do oczu.

Czas operacji minął. „Wicher” wykręca na powrotny kurs i wkrótce potem staje na redzie Helu.

— „Gryf” i dywizjon trałowców w porcie! — melduje sygnalista:

— Co?!

- „Gryf” i dywizjon trałowców w porcie...
- Operacja była odwołana, nie wiedzieliście o tym?

W tym samym czasie „Orzeł” odwiewrza pomieszczenia. Dowództwo nie zezwoliło na cumowanie w helskim porcie: możliwy atak lotniczy.

Kłockowski dokonuje kontroli bez właściwego sobie wnikania w szczegóły: „Zdobrzał czy nerwy go ponoszą?” — pomyślał Brzęczka, kiedy komandor nawet dierłom nie miał nic do zarzucenia:

Dowódca coraz niezręczniejszai swoje zdenerwowanie. Ci, co pływali z nim na „Żbiku”, dziwią się: „Przecież Kłock był zawsze taki opanowany!” Wspominają wypadek na „Żbiku” w trzydziestym piątym. Podczas ćwiczeń kucharz odryglował właz, żeby przewietrzyć pomieszczenie, i przed zanurzeniem zapomniał go zamknąć. Woda lunęła z góry, okręt był w niebezpieczeństwie, a jednak dowódca uratował załogę i okręt. A teraz?

Fale kołyszą łagodnie okrętem. Z ciemności wysuwa się „Wilk”. Manewruje, podchodzi do „Orła” burta w burtę. Na jego pomoście stoi dowódca, kapitan Krawczyk. Ambitny, zdolny, energiczny oficer. Koledzy wróżą mu wspaniałą przyszłość. Ale kapitan Krawczyk ma dziś też niespokojne, załęcznione, a może tylko zdziwione, nic nie rozumiejące oczy.

Załoga wolna od służby wylega na pokład, na „świeże powietrze”. Świeże, nie skażone żadnymi wyziewami. Można je zaczerpnąć w pełne płuca, zrobić wydech i znowu nabrać tyle, ile tylko się chce. Można oddychać bez obawy, że go zabraknie. Starczy go dla całej załogi na bardzo, bardzo długo. Starczy dla wszystkich ludzi na świecie. Nie trzeba zazdrośnie i chciwie chować go w butle na zapas, sprężać, żeby zmieściło się jak najwięcej.

Noc jest chłodna, ciemna i orzeźwiająca. Kłockowski schodzi z pomostu i staje przy relingu w tym miejscu, w którym tkwił zawsze trap. Wczoraj trap i cumy zostawiono w Gdyni. To tak, jak gdyby przecięto ostatnią więź z lądem. Naprzeciwko komandora staje kapitan Krawczyk, z „Wilka”.

— Nic nie rozumiem — wzrusza ramionami. Jego głos słyszą marynarze obu okrętów. — Nic nie rozumiem — powtarza — zdrada, podłość czy przypadek?

Kłockowski nadstawia ucha.

— ...Szyfrem podano mi współrzędne — ciągnie kapitan — w których miałem postawić miny. Wiadomo — jak najściślej tajne. Wychodzę na sektor, stawiam, odchodzę i obserwuję. Wkrótce po postawieniu przychodzą niemieckie trałowce i wybierają przed chwilą postawione przez nas miny. Dostaję szyfrem inne współrzędne. Wychodzę, stawiam, znowu trałowce i znowu diabli biorą moją robotę. Zdrada czy co u licha?

Sprawa jest za trudna, aby Kłockowski silił się ją wyjaśnić. Zapytuje tylko:

— A na lądzie?

— Zaatakowali Westerplatte. Nalot na zatokę, „Mazur” i „Nurek” poszły na dno. Po południu nalot na Hel. „Schlezwig” bombarduje półwysep. Jakie straty — nie mam pojęcia...

Tej nocy, rozjaśnionej łuną nad Westerplatte, nabrzmiałej nerwowym wyczekiwaniem na nagły cios, praca diesli wydaje się zbyt głośna. Nie można ich uciszyć, gdyż ładowanie baterii dostarcza energii niezbędnej okrętowi w jutrzejszym patrolu. Drobne naprawy trzeba również wykonać na miejscu, bez zachodzenia do portu. Bliski Hel stał się nagle dalekim lądem.

— Mieliśmy dziś nad głową KT — snuje swe opowiadanie Krawczyk — przeszliśmy chrzest. Bombami rąbali

dość gęsto. Z załogi jestem bardzo zadowolony. Obserwowałem — zahartują się. Pierwsze wrażenia mają już poza sobą, a to najważniejsze.

Kłoczkowski nie zwierza się ze swoich wrażeń. Po dzisiejszym dniu coś się w jego psychice załamało. Ma idiotyczne uczucie, że jest zgarbiony i nie może się wyprostować. Podczas gdy on jest zawiedziony i zrezygnowany, Krawczyka ponosi wściekłość.

— Po jaką cholereę nas tu trzymają! Zamiast atakować musimy się bronić. Kto to widział, żeby ofensywnym okrętom podwodnym dawać zadania defensywne? W dodatku bez żadnej osłony, kiedy byle ścigacz może nas ganiać, jak chce...

Kłoczkowski zgadza się z nim w zupełności. Krawczyk ma rację. Ale ta jego racja w niczym nie zmieni ich losu. Jakież może być wyjście z sytuacji? Dalsze operowanie w tych warunkach to tylko nadstawianie swojej głowy na ciosy, z których każdy może być ostatnim. Kłoczkowski nie ma jeszcze konkretnych planów, ale jedna myśl uparcie krąży nie dając mu spokoju. Ludzie pójdą za nim... Oni już też mają dość. Zresztą inaczej być nie może.

Na okręcie podwodnym dowódca jest w szczególnym położeniu. On jeden zna sytuację, on jeden jest w stanie ją ocenić, on jeden musi podjąć decyzję, jemu jednemu można i musi się zawierzyć.

Kłoczkowski nie dziwi się, że oczy tych ludzi patrzą dziś na niego tak przenikliwie. Przecież z jego twarzy chcą wyczytać swój los. Kiedy „Wilk” odchodzi od burty, dowódca sprawia wrażenie człowieka zupełnie spokojnego.

— Na stanowiska manewrowe!

Ten rozkaz gasi nerwy. Znaczący bowiem, że nic szczególnego się nie wydarzyło, że okręt przystępuje do normalnej służby. Za godzinę świt. Trzeba wyjść na sektor, zanim wschód nie odsłoni tajemnego spotkania obu okrętów.

Normalne dygotanie silników spalinowych, chłodne powietrze uderzające w twarz orzeźwia wszystkich. Wachta wolna od służby nie śpi. Jest to pierwsza noc wojny, w której nadmiar wrażeń jeszcze pokonuje senność, a nerwowe napięcie zwalcza zmęczenie. Natłok myśli rozsadza czaszkę. Nie złapiesz żadnej z tych myśli, nie zatrzymasz przy sobie. Są szybkie i zagmatwane.

Kotecki słuchał dziś radia: To, co opowiada, wydaje się niemożliwe. Niemcy posuwają się w głąb kraju w szybkim tempie. „Zaskoczenie” — tłumaczy sobie. Dzień jutrzejszy przyniesie stabilizację frontu. Uderzy Anglia, Francja. Niemcy na dwóch frontach nie wytrzymają, załamają się. Już są pierwsze tego oznaki. Kawaleria ruszyła w głąb Prus Wschodnich, oskrzydli je i wyjdzie na wybrzeże. Kiedy dotrą do morza, będzie lżej. A więc trzeba wytrzymać i zadawać nieprzyjacielowi jak najwięcej strat. Wstyd wracać z pustymi rękoma..

Z góry sunie ku nim ledwo słyszalny szmer. Przez otwarte grodzie widać pochylonego przy peryskopie Grudzińskiego. Szmer rozplywa się i wzmaga na przemian.

Okręt od godziny znajduje się w ruchu. Coś widocznie dzieje się na powierzchni, bo przy peryskopie „urzędują” na zmianę Kłoczkowski z Grudzińskim.

— Głębokość dwadzieścia metrów — podaje dowódca i w parę sekund później kilka wybuchów ściska kadłub ze wszystkich stron.

— To chyba jest już koniec.. — szepce Gwiazdziński i przetyka ślinę, bo żołądek zawędrował mu pod gardło. Foterek patrzy na niego z wyrzutem.

— Głupie gadanie..

„Orzeł” schodzi niżej, wyrównuje trym i zawisa nad dnem.

— Odstawić silniki!

Cisza potrafi być bardziej potworna niż najgroźniejszy

zgiełk; Kiedy bosmanmat Piegza zatrzymał silniki elektryczne, okręt zamilkł, znieruchomiał, zdrętwiał. Pierwsze bomby! Uszy jeszcze nie potrafią rozróżnić wybuchów groźnych od nieszkodliwych. Przerazają wszystkie. Bosman Narkiewicz pochyła głowę, przez co staje się jeszcze niższy. Kątem oka obserwuje go szef baterii elektrycznych bosmanmat Adamowicz. „Bim urznąłby się teraz na trupa” — myśli o Narkiewiczu. Mat Świłocki, chłopisko tęgie i silne, gapi się bezsilnie w sufit.

— Dlaczego nie atakujemy? — mówi ze złością.

— Głupiś — wyjaśnia Florek — kogo będziesz atakował? Nie ścigacze chyba...

Głuche wstrząsy bomb oddalają się coraz bardziej. Policzki przestają palić. Alarm nie jest jeszcze odwołany, ścigacze za chwilę mogą powrócić, ale bezpośrednia groźba minęła i to jest w tej chwili najważniejsze. Gwiazdziński wsuwa ręce w kieszenie i spogląda z góry na wyłękniętych kolegów.

— No co, pętaki, macie już w portkach?

Foterek odwraca się od niego z niechęcią.

— Meldować uszkodzenia! — huknęła tuba głosem Kłoczkowskiego.

Obejrzano, sprawdzono, ale uszkodzeń nie było żadnych. Dowódca nie wierzył. Ponowił rozkaz.

Na dziobie i rufie zakrzątnięto się ponownie. Gospodarze działów obrzucili surowym wzrokiem podwładnych, ci zaś zaczęli już żałować, że nie ma uszkodzeń. Jasiu Brzęczka pomny niedawnej awantury zerknął na diesle. W tej chwili były martwe, ale rozkaz mógłby je natychmiast ożywić.

— Brak uszkodzeń! — meldował dziób.

— Brak uszkodzeń! — jak echo powtórzyła rufa.

Grodziński uśmiechnął się z zadowoleniem. Komandor spojrzał na niego i twarz kapitana stężała w powadze.

Kłoczowski umiał utrzymać dyscyplinę. Nie wydzierał się, nie krzyczał, nie gromił. Wystarczyło mu niekiedy tylko popatrzeć, żeby skarcony tracił grunt pod nogami. Załoga ceniła go bardzo za doskonałą znajomość techniczną okrętu, za rozległą wiedzę i fachowość. Komandor lubił „Orła” i był przywiązany do niego. Mówiono, że Kłocz chętnie przeniósłby się z domu na „Orła”. Nie dlatego, żeby mu w domu było źle, tylko dlatego, że na „Orle” było lepiej. Mieszkał na Oksywiu, o kilkaset metrów zaledwie od basenu, w którym przytulony do ścianki nabrzeża stał okręt. On mu wystarczał do życia. Załoga widziała tę jego dbałość i umiała ją ocenić. W uznaniu tym tonęły nieraz osobiste urazy, większe i mniejsze niesprawiedliwości dowódcy, jego oschłość, nieprzystępność i zarozumiałstwo. Do tego zdążono się jakoś przyzwyczaić. Nikt nie żałował, że właśnie Kłoczowski w dniach wojny został jego dowódcą.

Tym większe rozczarowanie następowało teraz. Dowódca nie potrafił ukryć przed załogą zmian, jakie w nim zachodziły. Stał się jeszcze bardziej drażliwy, niezadowolony i nieprzystępny. Nikt nie mógł zrozumieć jego taktyki. Trzymał się w pobliżu Helu, jak gdyby sama tylko bliskość dowództwa mogła mu przynieść jakiegokolwiek zmiany na lepsze. Peryskop coraz rzadziej wędrował w górę — dowódca wolał nie ryzykować.

Czas włókł się powoli i beznadziejnie, bezcelowość patrolu wydawała się coraz bardziej oczywista. Wśród załogi widać było pierwsze oznaki wyczerpania. Nikt już nie próbuje marnować wolnej wachty.

Prządak przymyka oczy i usiłuje zasnąć. Powieki ciężą ołowiem, głowa opada na poduszkę, ale sen nie nadchodzi. Świeże wrażenia zbyt mocno targnęły nerwami, a sen potrzebuje spokoju. Na sąsiedniej koi ktoś się odwraca niecierpliwie. Gwiazdziński podłożywszy łokieć pod głowę

śpi i Prządak zazdrości mu tej beztroski. Z centrali przez otwarte grodzie dochodzi odgłos rozmowy. Z szeptu trudno wyłowić słowa. Krople spadają z nie dokreślonych zaworów sennie i monotonna. I właśnie kiedy bosmanmat chce zamknąć oczy, ktoś go szarpie za ramię.

— Melodię do kimania to wy macie — mówi z wyrzutem starszy bosman Stelmaszyk — a wachta to pies? Dobudzić się was nie można!

— Wachta? — dziwi się bosmanmat. — Jaka wachta, przecież to dopiero... — patrzy na zegarek. Co, u diabła? Rzeczywiście, Stelmaszyk ma rację.

— Wstawać i tylko spokojnie — objaśnia bosman. — Dowódca nakazał oszczędność powietrza. Jak najmniej ruchu! Nie łązić bez potrzeby, nie pętać się tam i nazad, to tego...

Chciał powiedzieć „przegonię”, ale ugryzł się w język. „Przeganiać” nie było jak i gdzie.

Silniki elektryczne zagrały, okręt drgnął i z uniesionym ku górze dziobem zaczął się wynurzać. Stersygnalista otworzył właz. Wionęło chłonym powietrzem.

Na pomoście stanął Kłoczkowski z Grudzińskim.

— Lewo piętnaście kanonierka „Haller”! — zameldował obserwator.

Kłoczkowski ucieszył się. „Ci chyba wiedzą” — pomyślał i polecił zapytać, gdzie „Gryf” postawił miny.

Kanonierka lekceważąc pytanie posuwała się dalej, nie zwracając uwagi na „Orła”.

— Gdzie „Gryf” postawił miny? — ponowił pytanie komandor.

Kanonierka milczała nadal.

— Szyfru nie znają czy co u licha — niecierpliwił się Grudziński.

— Podać pytanie otwartym tekstem — zdecydował się Kłoczkowski.

Tym razem „Haller” odpowiedział, ale miejsc zaminiowanych przez „Gryfa” nie był w stanie podać. Kłoczkowski musiał się zadowolić własnymi domysłami. Było to stanowczo za mało. Myny mogły być postawione wszędzie i jakiegokolwiek dociekania były w zasadzie bezcelowe. Komandor mimo to chciał przyjrzeć się mapie, kiedy marynarz z radiogramem zameldował się na pomoście.

— Z „Rysia”, panie komandorze...

Kłoczkowski z zaciekawieniem rozwinął kartkę.

— *Jestem osaczony, ratujcie mnie...* — przeczytał i poczuł, jak zimny pot występuje mu na czoło.

— „Jestem osaczony” — powtórzył z goryczą — a kto z nas nie jest osaczony? Potrzebne to było nam wszystkim...

Grudziński nie odezwał się słowem. Stan dowódcy zaczynał go niepokoić. Wydawało mu się, że poza wyczerpaniem nerwowym cierpi on na coś więcej.

— Prawo trzydzieści, pięć nieprzyjacielskich ścigaczy! — zameldował gorączkowo stersygnalista.

— Wszyscy na dół, alarm zanurzenia! — zarządził natychmiast dowódca, sprawdzwszy w ułamku sekundy prawdziwość meldunku.

Pokrywy włazów zapadły ciężko, izolując ich od świata.

— Sześćdziesiąt pięć...

Strzałka manometru drgnęła i ruszyła w drogę mijając czarne kreski podziałki. Niebezpieczeństwo musiało być wielkie, skoro dowódca zaryzykował taką głębokość.

— Sześćdziesiąt pięć... — zameldował stersygnalista.

Podwodny wybuch zakołysał okrętem.

— Odstawić silniki...

W ciszy, która teraz zaległa, wstrząsy bomb głębinowych wydały się jeszcze bardziej przerażające. Śmierć stąpała blisko, po omacku usiłując natrafić na kryjący się przed jej ciosami okręt.

— Dwanaście..: czternaście..: szesnaście.. — liczył Foterak z oczyma utkwionymi w sufit.

— Teraz dopiero szesnaście — wtrącił się bosmanmat Kamecki.

Kamecki zwany „Aleksym” lubił być ścisły. „Chodzący regulamin” — mówiono o nim. Bo Aleks rzeczywiście wszystkie regulaminy miał w jednym palcu. Służbista aż do przesady, formalista aż do znudzenia, cieszył się autorytetem u jednych, wzbudzał niechęć u drugich. Do tych „drugich” należał także mat Pokrywka, którego bujna natura nie znosiła regulaminów.

Słyszając uwagę swego szefa, mat uśmiechnął się.

— Panie szefie, a według regulaminu, ile powinno być?

Dziobata twarz Kameckiego skrzywiła się z niesmakiem.

— A wam, Dekiel, co do tego?

Od kiedy Pokrywka nosił przydomek „Dekiel”, tego dokładnie nikt nie wiedział. Każdy tę historię opowiadał inaczej. Najwięcej prawdopodobna wydawała się jednak relacja Świebockiego, nadwornego kucharza załogi „Orła”. Według jego słów sprawa ta przedstawiała się mniej więcej tak: Kiedy Pokrywkę skierowano na „Orła”, przez pierwsze dni wałęsał się, węszył, macał, podpatrywał. Może nawet nie tyle go interesowała instalacja oświetleniowa, którą miał pod opieką, ile smakowite wonie wydobywające się z królestwa Świebockiego. Pokrywka lubił jeść. Wprawdzie mawiał skromnie, że „dla niego może być byle co, aby smacznie i dużo”, ale Świebocki od razu poznał w nim smakosza. Zresztą wikt szedł mu wyraźnie nażytek. Chłopsko było zdrowe jak dębczak i nawet Olejnik, znany w szeregach „marwoju” bokser, odczuwał przed nim pewien respekt.

W czasie takich wędrówek zaniepokoił Pokrywkę któregoś dnia wymyślny zapasek. Ruszył nozdrzami raz i drugi i stanął w otwartych drzwiach kuchni, w których

widniała niemniej potężna, aczkolwiek nieco bardziej rozlana i tłusta sylwetka koka.

— Te, parzygnat — zwrócił się do niego bez szacunku Pokrywka — coś tak cały okręt zasmrodził? Oddychać nie ma czym.

Świebocki podparł się w boki, a jego rumiana twarz spurpurowiała:

— Smrodu tu szukasz? Chodź, pokażę ci, gdzie tego więcej — i postąpił krok naprzód:

Pokrywka nie uląkł się i stał w miejscu. Świebocki zawahał się. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Co ci się nie podoba? — natarł Świebocki.

Pokrywka zmrużył oczy i podrapał się w głowę:

— Kto powiedział, że się nie podoba? — odpowiedział bez lęku, żeby tamten nie pomyślał, że kapituluje. — Bardzo się podoba. Pokaż te gary, co tam knocisz?

Świebocki odetchnął. Więcej nawet — coś przyjemnego połaskotało go po sercu.

— To gadaj tak — rzekł pojednawczo i zaprosił go do środka:

Pokrywka przestąpił próg z rękami w kieszeni i brodą wskazał na pierwszy kocioł. Spod pokrywy sączyła się smakowita woń:

— Zdejm no ten dekiel.

Świebocki wytrzeszczył oczy:

— Co?

— Dekiel — wskazywał mu brodą tamten:

— To nie żaden dekiel, tylko pokrywka, rozumiesz, pokrywka!

— Stul pysk! — wrzasnął nagle Teoś szczerze zdenerwowany.

Świebocki się nie połapał. Złość go opanowała cholerna i zawzięta.

— To czego się pchasz tu, psi synu? — syknął:

- Dekiel mówię ci!
- Pokrywka!
- Dekiel!
- Pokrywka!

Dopiero Torbus jak zawsze musiał „przeanalizować rzeczywistość” i pogodzić obu. Nieporozumienie wyjaśniło się, chociaż Świebocki nie ustąpił i autorytatywnie stwierdził, że regulaminowo powinno być „pokrywka”.

„Pęknięta” na ładzie butelka przypieczętowała przyjaźń obu niedźwiedzi, przydomek „dekiel” tak zaś przylgnął do Teosia, że niektórzy nie mogli się nawet zorientować, jakie jest jego prawdziwe nazwisko — „Dekiel” czy „Pokrywka”.

Być może, że ktoś inny na miejscu Teosia obraziłby się, ale mat miał poczucie humoru i w duszy nie chował urazy do nikogo. Teraz jednak wydało mu się, że słowo „dekiel” Kamecki powiedział z jakimś szczególnym akcentem. Chciał odpowiedzieć, ale do przedziału wszedł porucznik Piasecki zaintrygowany odgłosami niezwyklej licytacji.

— Cóż to wy tak liczycie?

— Mat Kamecki ustala regulaminowo nową ilość bomb, panie poruczniku.

— A ileście naliczyli?

— Szesnaś..?

Nowa seria wybuchów po krótkiej przerwie uderzyła falą o okręt.

— Nielichy bukiecik — szepnął Teoś.

Tych wybuchów nie można już było policzyć. Następowaly w tak krótkich odstępach czasu, że chwilami zlewały się w jeden przeciągły, stłumiony wodą huk. Odgłosy bomb były na przemian słabsze i silniejsze, co wskazywałoby na to, że nieprzyjaciół usiłuje natrafić na miejsce ich kryjówki,

— Długo tak mogą? — niecierpliwił się Foterek.

— Aż do uśmiechniętej śmierci — wyjaśnił z powagą Pokrywka.

Ale Teoś nie miał racji. Po półgodzinnym bombardowaniu nastąpiła cisza. Kłoczkowski dla upewnienia się przeczekał jeszcze jakiś czas, po czym dał „mała naprzód”.

Szli z szybkością jednego węzła. Mokrski nakreślił nowy kurs, rzucił okiem na mapę i zaniepokoił się.

— Panie komandorze — zameldował — wychodzimy z sektoru!

Dowódca spojrział na niego z pozornym spokojem.

— Wiem o tym. Idziemy na pomoc „Rysiowi”.

Piasecki zdziwił się. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób komandor zamierza pomóc „Rysiowi”. Jeżeli tamci nadali depezę otwartym tekstem, to albo rzeczywiście znajdowali się w krytycznym położeniu, albo nerwy dowódcy zawiodły. To drugie wydawało się mniej prawdopodobne. Komandor podporucznik Grochowski uchodził za jeszcze bardziej zarozumiałego i nieprzystępnego niż Kłoczkowski. Czyżby pod jego szorstką skorupą nie kryło się absolutnie nic, co chociażby częściowo uzasadniało tę jego pewność siebie?

„Ryś” musiał być zaatakowany przez silny zespół ścigaczy i „Orzeł” w niczym nie mógł mu pomóc. Jakie więc naprawdę miał zamiary dowódca?

Mokrski wydał dolną wargę i w milczeniu spoglądał na Piaseckiego. Pablo stał nieporuszony. Grudziński nie patrzył w ich stronę. Nagły skurcz skrzywił twarz komandora. Spojrzął na oficerów i bez słowa zniknął w mesie.

W pół godziny później z dziobu zameldowano:

— Słychać tarcie lin o kadłub...

Taki sam meldunek przyszedł z centrali, a następnie z rufy. „Orzeł” przechodził przez pole minowe postawione przez „Gryfa”. Rozmowy urywały się i słychać było

tylko jednostajny takt pracy silników. Cisza znamionowała powagę położenia. Śmierć dosłownie ocierała się o nich. Broń skierowana przeciw wrogowi mogła się w każdej chwili zwrócić przeciwko nim samym. Ludzie wsłuchiwali się w złowrogi szmer lin trących o kadłub.

Zdawało się, że tuż obok, za cienką ścianką zewnętrznego kadłuba, ciągnie się nieprzebyta gęstwa straszliwych lin, a na ich końcach czają się nieruchome, czarne, rogate kule niosące śmierć.

Gdyby nie zegar głośno odmierzający sekundy, wydawałoby się, że marsz ten trwa już godziny.

Kiedy ostatni szmer zamilkł i wszystko wskazywało na to, że pole minowe było już za nimi, Kłoczkowski zdecydował się wyjść na głębokość peryskopową.

Z największą ostrożnością komandor wysunął peryskop i natychmiast opuścił go.

— Cholera, ścigacze! — zaklął i okręt ponownie poszedł w dół. W chwilę potem posypały się nowe bomby. Tym razem zdawały się bliższe i groźniejsze. Spojenia kadłuba z trudem wytrzymały próbę trwałości wyliczoną teoretycznie przy biurkach konstruktorów.

„Orzeł” leżał bezsilny na dużej głębokości. Dokładnie wyważony kadłub zajmował pozycję poziomą i najmniejszy ruch na okręcie groził niebezpiecznym trymem. Krótkotrwała, wściekła seria bomb nagle urwała się i szum ścigaczy znikł poza grubą warstwą wody.

O wynurzeniu się jednak nie mogło być mowy. Trzeba było przeczekać do zmierzchu.

Przy sprawdzaniu uszkodzeń bosman Kozowy zameldował uszkodzenie odwietrznika przy zbiorniku szybkiego zanurzenia. To poważnie zmartwiło komandora. Zbiornik ten był dziełem jego pomysłu i poczuł się osobiście dotknięty. Z goryczą przypomniał sobie, że nie zdołał wymóc na dowództwie remontu odwietrznika, któ-

ry tego wymagał już od dawna. Uszkodzenie rurociągu sprężarki wykryto trochę później i chociaż nie było czymś poważnym, to jednak w pewnym stopniu zmniejszało walory bojowe okrętu.

Trzeci dzień samotnego patrolu wdrożył załogę do zupełnie nowego trybu życia. Najbardziej przykry wydawał się fakt całkowitego oderwania się od świata zewnętrznego, rozgrywania skomplikowanej gry w pojedynkę, bez dowództwa, które poza małymi, nic nie znaczącymi komunikatami milczało jak zakłete.

W tej sytuacji radiotelegrafista Kotecki nabrał szczególnego znaczenia jako łącznik z tym dalekim światem, w którym dzieją się dziwne i niepokojące rzeczy.

Ostatni komunikat radiowy mówił o dalszym marszu armii niemieckiej. Komunikat wydawał się niewiarygodny. Łamał wszelkie dotychczasowe pojęcia o zasadach prowadzenia działań wojennych. Punkty, w których toczyły się walki, trudno było połączyć w jakąś logiczną, jednolitą linię frontu. Niepokoiło to podwójnie. Podejrzewano, że komunikaty radia warszawskiego są w jakiś sposób fałszowane przez Niemców.

Trzeciego września Kotecki przejął depeszę „Sępa” do Dowództwa Floty. *Strzał do „Maassa” nieudany — sektor ujawniony — ostrzeliwany — awaria — wracam.*

Treści depeszy Kłoczkowski oczywiście nie podał do wiadomości załogi, ale ludzie nauczyli się już czytać wiele z twarzy Koteckiego.

— Kurdebalans — powiedział z żalem Prządak — gdyby to tak na nas — i zerknął pieczołtliwie w stronę torped drzemiących za pokrywami podwodnych wyrzutni.

„Maassa” jednak nie spotkali. Za to nazajutrz Grudziński wypatrzył jakąś łajbę sunącą bez bandery. Komandor zerknął w okular peryskopu, odwrócił głowę i spotkał się ze wzrokiem Piaseckiego. I wtedy właśnie

w spojrzeniu dowódcy porucznik dostrzegł coś, co wydało mu się lękiem.

— Kurs 80... — powiedział nie swoim głosem Kłoczowski. Tamci szli kursem 230. Rozkaz dowódcy oznaczał, że postanowił ich minąć. Piasecki tak to rozumiał.

— Jestem przekonany, że to są Niemcy — powiedział znacząco.

Komandor skrzywił się.

— Pańskie przekonania mnie nie interesują — odpowiedział i wyszedł do mesy.

Tego dnia wieczorem przesłał radiogram na Hel meldując o spotkaniu. Odpowiedź przeczytał oficerom: *Atakować tylko statki handlowe, które są konwojowane albo uzbrojone stop według prawa międzynarodowego.*

— Tak, panie poruczniku! — tymi słowy zwróconymi do Piaseckiego zakończył krótką odprawę.

Tej nocy Świebockiego spotkało poważne zmartwienie. W magazynie natknął się na „spuchnięte” puszki konserw. Wydęte denka nie budziły żadnych wątpliwości co do stanu zawartości puszek. Groziło to koniecznością sięgnięcia do żelaznych zapasów, a na to trzeba było mieć zezwolenie. O zmartwieniu tym zameldował dowódcy. Komandor wolał być ostrożny. Zapytał Hel, czy można naruszyć zapasy. Odpowiedziano krótko: „nie”. Szybka odpowiedź zachęciła Kłoczowskiego do zapytania, czy można wejść do portu dla naprawy uszkodzeń. Ponowne „nie” rozwiało nadzieję dowódcy, tak że zrezygnował z dalszej „rozmowy”.

Siódmego września Kłoczowski niespodziewanie wezwał do siebie kapitana Grudzińskiego.

— Proszę pana... — zaczął powoli, kiedy oficer zameldował się na rozkaz — obawiam się... że będę zmuszony przekazać panu dowództwo. Czuję się naprawdę fatalnie...

Kapitan stwierdził, że dowódca rzeczywiście z każdym dniem wygląda coraz gorzej.

— Diabli wiedzą, co to jest — ciągnął komandor — może czerwonka, a może nawet i tyfus, nie wiem, ale ciągnę ostatkiem sił...

„Z tym tyfusem to lekka przesada — pomyślał Grudziński — aż tak źle na pewno nie jest”. Głośno zaś odpowiedział:

— Oczywiście, jeśli pan komandor...

— Tak, tak — przerwał Kłoczkowski — niech pan będzie na to przygotowany.

Ponieważ mimo wszystko sprawa wyglądała dość poważnie, postanowiono jeszcze raz zwrócić się do dowództwa. Kiedy nadeszła odpowiedź, komandor przeczytał radiogram ze złośliwym uśmiechem.

— Cóż, panie kapitanie — zwrócił się do Grudzińskiego — mamy instrukcje, jakich można było oczekiwać. Ale zaraz... czy pan wie, co oznacza słówko „obai”?

— Obaj?

— Właśnie że nie „obaj”, ale „obai”, „i” na końcu. Kapitan pokręcił głową.

— Ja też nie. Proszę, niech pan przeczyta — podał radiogram Grudzińskiemu:

— *Jaki chory obai stop jak długo potrwa stop czy potrzebny zastępca* — przeczytał na głos kapitan.

— Jasne? — drwił Kłoczkowski. — Pierwsze zdanie co najmniej tajemnicze. Co do drugiego zapomniano widocznie, że na liście załogi nie mamy wróżki. Trzecie świadczy o nieprzeciętnej inteligencji nadawcy.

Rozgoryczenie komandora okazało się jednak przedwczesne. Jedenastego września około godziny 22.50 bosman Kotecki przyjął depezę z Dowództwa Floty: *Albo wysadzić d. o. w porcie neutralnym i działać dalej pod dowództwem zd. d., albo przybyć ostrożnie Hel — noc —*

celem zmiany dowódcy — meldunek natychmiast — decyzje.

Kłoczkowski tym razem ożywił się. Decyzję wprawdzie podjął już wcześniej, ale ten rozkaz niejako ją sankcjonował. Był w takim nastroju, że gotów był uznać ostatni radiogram za najmądrzejszy rozkaz dowództwa od czasów rozpoczęcia wojny.

Natychmiast wezwał do siebie Grudzińskiego:

— Jak na okręcie?

— Wszystko w porządku, panie komandorze — odparł zaskoczony nieoczekiwaną kontrolą kapitan — poza... jest kilka wypadków jakiejś choroby, coś jakby świerzb.

— O! A sanitariusz co na to?

— Stosuje maść Wilkinsona, ale to niewiele pomaga.

Komandor zainteresował się tym bliżej i wezwał sanitariusza:

— Podobno świerzb na okręcie? — zapytał takim tonem, jak gdyby to właśnie sanitariusz był winien wszystkiemu:

— Świerzb i nie świerzb — sam nie wiem.

— To z was sanitariusz jak... jak... — nie dokończył porównania — dajcie mi tu jednego takiego...

— Tu? Do pana komandora? — zdziwił się sanitariusz.

— Co w tym dziwnego? — huknął Kłoczkowski i urwał przypomniawszy sobie, że wizyty podoficerów u niego należały do rzadkości i że wobec tego zdumienie sanitariusza jest w zupełności uzasadnione.

Po chwili w mesie zameldował się mat Prządak.

Twarz podoficera wyglądała strasznie. Cała opuchnięta, pokryta była strupami i ranami;

— Ręce!

Z uwagą oglądał wyciągnięte dłonie;

— Rozbierzcie się!

Prządak wykonał polecenie.

Dowódca oglądał ciało podoficera krzywiąc się i mrużąc. W pachwinach widniały duże, zaczerwienione guzy:

— A to co za historia?

— Nie wiem, panie komandorze, nigdy czegoś takiego nie miałem...

— Trzeba by was wyokrętować i do szpitala. Innego wyjścia nie ma. Zarazicie cały okręt!

— Wyokrętować? — podoficer uśmiechnął się traktując to jako żart.

— Oczywiście nie tu, na morzu. W porcie. W neutralnym porcie.

Prządak przeraził się.

— Kiedy to podobno od słonej wody, to się samo zagoi, żeby tylko więcej słodkiej. Myjemy się w słonej, a na picie też niewiele starcza...

Kłoczkowski przerwał ruchem ręki.

— Proszę bez dyskusji! Pozwólcie, że ja tu będę rozkazywać. — I wezwawszy Mokrskiego powiedział krótko:

— Kurs na Tallinn!

Grudziński zaniepokoił się nowym poleceniem. Zjawił się natychmiast w mesie.

— Gorzej się pan czuje, panie komandorze?

— To nie o mnie... nie tylko o mnie chodzi — nie pa-trzył kapitanowi w oczy — pan chyba wie, jaka jest sytuacja, nie można dopuścić... nie miałyby sensu. Poza tym uszkodzenie sprężarki... trzeba realnie patrzeć...

Grudziński nigdy nie widział dowódcy w takim stanie. Opanowała go złość.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli? — powiedział chłodniej, niż zamierzał.

— Są chorzy, trzeba ich odstawić do portu neutralnego, To chyba proste?

— Ale okręt?

— Co okręt?

— Czy pan go zamierza internować?

— Ja? — oburzył się komandor. — Kto panu podał taką myśl? Czy to może pan sam... Wydaje mi się, że nie wspomniałem nic o internowaniu.

Grudziński zaczerwienił się po same uszy. Może rzeczywiście niesłusznie posądzal dowódcę. Ale przecież jego ostatnie słowa mogły być rozumiane tylko tak, jak on je zrozumiał.

— Przepraszam, panie komandorze. Oczywiście, to jest bzdura, co powiedziałem. To byłoby tak niepodobne do pana... Wszyscy wiemy, jak bardzo pan kocha „Orła”...

Kłoczkowski spuścił głowę. Po wyjściu Grudzińskiego ze złością popatrzył na drzwi, za którymi zniknął kapitan.

— Chłystek! — burknął. — Chłystek i rozmarzony smarkacz...

Wiadomość o zmianie kursu szybko rozeszła się wśród załogi. Prządak był w niezgodzie ze swoim sumieniem. Przypuszczał, że to on wpłynął na decyzję dowódcy. Oglądał swoje guzy, które teraz wydawały mu się mniejsze.

— Przecież to samo przejdzie — przekonywał swego szefa, starszego bosmana Stelmaszyka.

Bosman spoglądał ponuro na jego spuchniętą twarz.

— Musiałeś teraz spuchnąć, co? Teraz, akurat teraz! Wyglądasz, jakby cię pszczoły obtańcowały, sieroto nie-szczęсна. Los mnie ciężko pokarał! Na wojnę człowiek wyruszył, a tu puchnie jeden z drugim, jakby nie mieli nic innego do roboty tylko puchnąć. Czekaście no! Wróćmy do Gdyni, to w pace będziecie puchnąć! Już ja wam...

Milczeli i pod wpływem tych słów wydawało im się, że w istocie jakąś tam winę za to puchnięcie ponoszą. W sumieniu rozgryzali swoją winę i niewinę, szukając, czy aby rzeczywiście jakiś tam przepis sanitarny nie został przypadkiem zlekceważony.

Kłockowski coraz rzadziej opuszczał mesę. Sądząc z jego zachowania, choroba musiała zrobić dalsze postępy.

„Orzeł” przedzierał się powoli, ostrożnie. W dzień przeważnie leżeli na dnie, wyłączali wszystkie mechanizmy umożliwiające podstuch, w nocy zaś przewietrzali pomieszczenia i ładowali baterie. Kilkakrotnie spotykali tajemnicze statki bez bander, których nie atakowali, zgodnie z ostatnim poleceniem Helu. W tych dniach wszelka łączność z dowództwem ustała całkowicie. Wprawdzie wysłano jeszcze raz radiogram zawiadamiając o zamiarze pójścia do Tallinnu, nie otrzymano jednak żadnego potwierdzenia jego odbioru.

Któregoś dnia bosman Kotecki przyjął dalekie, stłumione sygnały. Wszystko wskazywało na to, że nadawał je „Wilk”. Treść ich ożywiła załogę „Orła” i wprowadziła wśród niej optymistyczne nastroje. „Wilk” zawiadamsiał, że udało mu się przedrzeć przez Sund i że zmierza teraz ku wybrzeżom Anglii.

Piasecki nie mógł znaleźć spokoju. Podsuwał Grudzińskiemu coraz to nowe pomysły, które Kłockowski odrzucał stanowczo jako „bezsensowne i awanturnicze”. Komandor nie wierzył w możliwość przedarcia się „Wilka” i mówił otwarcie, że Kotecki musiał coś poplątać.

— Bzdura i nic więcej! — zareagował nieoczekiwanie ostro na widok depeszy przejętej przez radiotelegrafistę. — Trzeba nie mieć za grosz wyobraźni, nie mówiąc już o znajomości podstawowych zasad prowadzenia wojny na morzu, aby choćby na chwilę przypuszczać, że Niemcy nie kontrolują duńskich cieśnin. A miny, proszę panów, a baterie nadbrzeżne, a samoloty! — Zapalał się coraz bardziej. — Jestem odpowiedzialny za okręt i za was wszystkich, panowie, i jakiegokolwiek awanturnictwo proszę wybić sobie z głowy. Raz i na zawsze!

Wbrew logice argumentów dowódcy wciąż jeszcze nie

mogli uwierzyć, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia i że jedynym ratunkiem jest już tylko neutralny port.

Były to okrutne dni i ponure noce. Osaczeni zewsząd wymykali się z zastawionych sieci, których obecność wyczuwało się wszędzie. Krążyli jak widmo u progu własnego domu, nie mogąc zajrzeć w jego okna, świadomi przebywania w nim bezkarnych oprawców. Bezsilność rodziła gniew, gniew zapiekał się nienawiścią, nienawiść nie pozwalała na bierność.

Kłoczkowski wyczuwał nastroje. Zamknął się w sobie, milczał ograniczając się do wydawania jedynie niezbędnych rozkazów. Przepaść między nim a załogą istniała i przedtem, ale tym razem była to przepaść inna. Tamta dawała mu poczucie wyższości płynące nie tylko z samej istoty posiadania władzy, lecz z wiedzy, doświadczenia, autorytetu. Dziś pozostała władza ogołocona z owych przynależnych jej atrybutów. Nie mógł pojąć, dlaczego mając prawo rozkazywania i rozkazując, jednocześnie nie władał już ani okrętem, ani załogą.

Aby mieć pełnię władzy, trzeba znać intencję załogi, rozumieć jej nastroje, jej dążenia, zespolić się z nią, czuć się jej członkiem o tyle różnym od innych, że obciążonym większą odpowiedzialnością. Nie czuł się na siłach wziąć tę odpowiedzialność na siebie. Coraz bardziej pragnął już tylko jednego: zachować twarz. Pozory musiały być wiarygodne, ich inscenizacja musiała być taka, by można było w nie uwierzyć. Obojętnie czy wiara ta płynęłaby z głębi przekonania, czy oparta byłaby tylko na obserwacji i wrażeniach. Wrażenia są zawsze subiektywne. Te, które przemawiają na naszą korzyść, trzeba przedstawiać jako prawdziwe, wszystkie inne odrzucić. Fakty pozostaną faktami, a o ocenę ich trzeba starać się samemu.

Dziwił się sobie, że potrafi myśleć o tych sprawach z tak chłodnym wyrachowaniem. Sam siebie nie posądzał

o to nigdy. Był zdolnym oficerem, tak oceniało go dowództwo, tak oceniał sam siebie. Te dni przekreślały tę opinię, i to w sposób nieodwołalny. Czyżby wszystko tamto było tylko teorią, która nie wytrzymała próby życia w spotkaniu z praktyką? Co jest prawdą? Może są dwie prawdy? Nikt przecież nie zaprzeczy, że był dobrym dowódcą, umiał wyszkolić załogę, jego okręt należał do najlepszych w dywizjonie i nie tylko w dywizjonie. To były fakty. A teraz? On sam wie najlepiej, co stało się z nim teraz. To będzie inna prawda, ale znana tylko jemu, będzie się z nią borykał przez całe życie, będzie jego cieniem, ale to jest jego, wyłącznie jego sprawa. Przeorywał sam siebie z uporem, szukał wewnętrznej równowagi, uzasadnień dla swoich racji, decydował się powoli, ale ostatecznie.

Wkrótce już nikt nie miał wątpliwości, że Kłockowski nie zrezygnował z dotarcia do Tallinnu i nic już nie zdołałoby skłonić go do zmiany decyzji.

Był już czternasty dzień wojny. Około godziny 19.00 kapitan Karpiński z Dowództwa Floty na Helu wysłał na polecenie dowódcy jedną z ostatnich depeesz do jednostek znajdujących się na morzu: *Gdynia zajęta przez nepla.*

Depesza ta nie ma już charakteru komunikatu z działań wojennych. Jest ostrzeżeniem.

W pół godziny później kapitan Karpiński jeszcze raz zawiadamia: *Szkodzić jak najwięcej nieprzyjacielowi. Po wyczerpaniu wszystkich środków udać się do Anglii, jeżeli to niewykonalne, do portu szwedzkiego. W Anglii uprzedzić radiostację Rosyth na fali 138 kilocykli, zameldować się o 30 mil morskich na Ost od May Island przy First of Fort. Powzięcie decyzji meldować zawczasu.*

Treść tej depeszy nie zdołała już dotrzeć do załogi „Orła”.

Tego dnia o godzinie 21.30 samotny polski okręt stanął na redzie Tallinnu,

III. W niewoli

Kiedy światła pozycyjne zabłyśły na obu burtach okrętu, stersygnalista Olejnik, odzwyczajony widać od tego widoku, rzucił okiem na całą sylwetkę „Orła” i zagadał cicho, tak jakoś przez zęby:

— Iluminacja, psiakrew! A więc koniec wojny, do jasnej Anielki!

Z tonu wypowiedzianych słów nie można było odgadnąć, czy naprawdę cieszy się z zakończenia sieroczej, dwutygodniowej odysei, czy też trawi w sobie tłumioną złość.

Komandor Kłoczkowski odruchowym gestem sięgnął po lornetkę i opuścił ją na piersi. Nerwowo strzepnął palcami.

— Znam Tallinn sprzed wojny — zwrócił się do porucznika Piaseckiego — wie pan, z tej wizyty. Miłe wspomnienia, bardzo miłe...

— Tak, pamiętam. Ale wie pan, panie komandorze, dla najgościnniejszego gospodarza nieproszony gość jest zawsze kłopotliwy — kąciki ust Piaseckiego skrzywił gorzki uśmiech,

— Przesadza pan. Coś chyba z tej przyjaźni zostało.

Porucznik przez chwilę obserwował jakąś konstelację na rozgwieżdżonym, jesiennym niebie.

— Nie wierzę w żadne oficjalne wrogości i przyjaźnie. Racje stanu zbyt mocno wpływają na stosunki między

narodami i najczęściej naginają je odpowiednio do wymogów wielkiej polityki.

Kłockowski nie odpowiedział. Wpatrywał się w dalekie, z rzadka rozsiane światła portu. W duchu zgadzał się z Piaseckim, ale miał swoje powody, by myśli tych nie wyrażać głośno.

— Statek przed dziobem! — zameldował obserwator.

Cień zagłowca przesunął się przed okrętem i zatrzymał w odległości ćwierć kabla.

— Kim jesteście? — pytał ktoś w języku angielskim o nieco dziwnym akcencie.

— Polski okręt podwodny „Orzeł”. Mamy chorego na pokładzie i potrzebujemy pomocy technicznej.

Cień statku znikł, aby w pół godziny później pojawić się znowu.

— Mamy polecenie wprowadzić was do awanportu — zameldował ten sam głos.

Kłockowski zacierał ręce.

— No i cóż z pańskim pesymizmem? — zwrócił się do Piaseckiego.

Po przybyciu na wskazane przez Estończyków miejsce Kłockowski pojechał na ląd. Wrócił stamtąd wyraźnie pokrzepiony na duchu.

— Tak, jak przewidywałem. Przyjęli mnie bardzo serdecznie. Zaraz zresztą tu będą.

W istocie w niecałą godzinę później estońska motorówka dobiła do burty „Orła”:

Dowódca oraz jego zastępca, kapitan Grudziński, poprowadzili przybyłych oficerów do mesy.

— Za pomyślność Republiki Estońskiej! — Wzniósł toast Kłockowski po napełnieniu kieliszków winem. Oficerowie wypili stojąc.

Uszkodzenie rurociągu sprężarki okazało się na tyle poważne, że naprawa mogła być dokonana jedynie w war-

sztatach na łądzie, Kłoczkowski skwapliwie zgodził się z tą opinią:

Bosmanmat Piegza, który wyraźnie nie dowierzał estońskim specjalistom, bez entuzjazmu obserwował, jak wymontowaną część składano na dnie motorówki.

— Cholera ich tam wie, co za majstry — burknął niby do siebie.

Porucznik nie odpowiedział. Ośmielony milczeniem oficera bosman postanowił kontynuować rozmowę:

— Ruch tu jak na jarmarku — ciągnął wskazując na ciemny kształt frachtowca, który przesuwał się obok z zapalonymi światłami pozycyjnymi, — Łajba niczego. Jedna z tych bezpieczeństwa,

— Bezpańskich?

— Ano, widzi pan, panie poruczniku — flagsztok goły. Banderę zgubili czy co u syna ojca?

Rzeczywiście, duży sześciotysięczny frachtowiec snuł się jak widmo, ogołocony z oznak przynależności państwowej.

— Takich tu więcej: i teraz, i wtedy — pamięta pan?

Porucznik przypomniał sobie spotykane w minionych dniach tajemnicze frachtowce bez bander. „Ki diabeł — myślał wtedy — niemieckie, nie niemieckie? Wsuniesz takiemu torpedę w burtę, a wtedy pokaże ci duńską banderę i raban na cały świat. Nie wiadomo, jak postąpić”;

Komandor Kłoczkowski z racji swego słabego wzroku nie dostrzegł w mijającym frachtowcu niczego szczególnego. Kapitan Grudziński chciał mu zwrócić uwagę na interesujący szczegół, ale dojrawszy skrzywioną z bólu twarz dowódcy zrezygnował.

— Może pan odpocznie, panie komandorze — zaproponował. Dowódca zdecydowanie potrząsnął głową.

— Nie, nie ma mowy. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni...

Sprawił wrażenie, że jednak chętnie odpocząłby, gdy-

by naleganie było bardziej zdecydowane. Nagle z uwagą zaczął nadśłuchiwać rosnącego warkotu zbliżającej się jednostki.

— Idą! — powiedział z zadowoleniem. — Kotwicę podnieść — podał komendę.

Duża, dwudziestometrowa motorówka zatoczyła szeroki łuk i na zmniejszonych obrotach podchodziła od zawietrznej. Na pokładzie czerniała gęstwa marynarskich mundurów. Piasecki z zainteresowaniem śledził sprawny manewr, który w pewnej chwili wydał mu się aż nadto ryzykowny. Motorówka szybko zbliżyła się do okrętu, lekko stuknęła o jego burłę, rozległa się jakaś komenda i zanim ktokolwiek mógł się zorientować, kilkunastu estońskich marynarzy wyskoczyło przez reling.

Kłoczkowski spojrział w dół. Po zewnętrznym kadłubie gramoliło się kilku napastników. Nie było ani chwili do stracenia.

— Cała naprzód! — ryknął w otwór tuby.

„Orzeł” szarpnął kadłubem. Ryk diesli zagłuszył czyjś krzyk. Błękitny dymek przesłonił na chwilę widok. Kiedy opadł, Piasecki dojrzał, jak kilku marynarzy wracało na pokład motorówki. Ktoś pluskał się jeszcze w wodzie na rzuconych mu korkach.

Kiedy motorówka zatoczyła koło i wróciła na pierwotny kurs, Piasecki już wiedział, jak postąpić.

— Obsługa do działa! — powiedział spokojnie i zdecydowanie.

Wydłużony cień lufy przesunął się po linii horyzontu i zatrzymał się na burcie motorówki, wskazując na nią długim stalowym palcem.

Ten milczący, ale wymowny sygnał podziałał natychmiast.

— Chcemy wam przecież pomóc! — wołał czyjś głos, kiedy warkot silników ucichł zupełnie.

— Dwóch oficerów i ani jednego marynarza! — poda-
no odpowiedź.

Na motorówce zapadło milczenie. Widocznie naradzano się, jak postąpić. W parę minut później bączek z dwoma oficerami zbliżył się do burty „Orła”.

Kłoczkowski chłodno poprowadził ich do mesy. Olej-
nik obrzucił gości ironicznym spojrzeniem.

— „działeś ich? — zwrócił się do Pokrywki. — Skur-
czybyki!

— Ciemna masa pieska ich niebieska!

— A na okręt włązą jak pluskwy.

— Spokój tam! — nawet najbardziej energicznie wy-
dany rozkaz Grudzińskiego rozmiękał w łagodnej barwie
jego głosu.

— Zamknijcie gęby jeden z drugim, bo was „Panienka”
ochrzani jak święty Michał diabła.

Grudziński, który od dawna już wiedział, że ochrzczono
go „Panienką”, uśmiechnął się do siebie. W kilkanaście
minut potem Kłoczkowski wyszedł z oficerami. Kapitan
z twarzy dowódcy usiłował odczytać treść konferencji.
Komandor unikał tego wzroku, który wydał mu się nad-
to natrętny. Meldunek obserwatora, iż za rufą pojawiła się
estońska kanonierka, nie sprawił na nim specjalnego wra-
żenia. Piasecki sądził, że komandor po prostu nie dosły-
szał,

— Kanonierka, panie komandorze — wskazywał na
wycelowane w nich lufy dział okrętowych.

— Tak, tak, wiem o tym — zrobił niecierpliwy ruch
ręką.

Prządak, który stał tuż pod kioskiem, mrugnął do
Bręczki. Wzrokiem wskazywał mu oficerów.

— Panie komandorze — mówił Piasecki ściszym
głosem — a gdyby tak spróbować ucieczki.□

— Ucieczki?

— Tak jest — uciezki. To chyba jedyne wyjście...

— Jak pan to sobie wyobraża, drogi poruczniku?

— Ta ich kanonierka diabła warta — Piasecki nie uważał kpiącego tonu dowódcy. — Z naszego działka możemy zrobić z niej sito, a później „cała naprzód”, zanurzenie i to wszystko!

— Z pana taktyk jak ze mnie baletnica. Co za głupstwa pan plecie?

— Panie komandorze... tylko rozkaz, proszę o rozkaz...

— Panie Piasecki! — Komandor przeszedł na ton dobrodusznego dziadka pouczającego niesfornego wnuczka. — Harcerskie przygody pan sobie przypomniał czy co? Naczytał się pan „Trzech muszkieterów” i plecie pan androny. Pan jest podobno oficerem, czy tak?

Twarz porucznika zapłonęła. Czuł suchość w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

— A jednak moim zdaniem...

— Niech pan swoje zdanie zachowa dla siebie. Słuchał pan dzisiaj radia? Wie pan, jak wygląda sytuacja w kraju? No więc. Warszawa pada, a pan mi każe Tallinn zdobywać.

— Uważam to za swój obowiązek...

— Obowiązki dyktuję ja! I na razie nie mam zamiaru zrezygnować z tych uprawnień. Rozumie pan? Jest jeszcze droga dyplomatyczna, jest tu poselstwo polskie, jest konsulat, są władze polskie. A pan chciałby dobre imię oficera Marynarki Wojennej narazić na miano awanturnika, pirata i rozbójnika, co? Proszę mi nie podsuwać bzdurnych, maniackich pomysłów. Wypraszam to sobie raz na zawsze.

— Tak jest, panie komandorze! — suchym, beznamiętnym głosem Piasecki wyrecytował formułkę, która tylko brzmieniem zachowała pozór zgodności z opinią dowódcy. Zeszedł z pomostu na pokład. Prządak i Brzęczka od-

skoczyli od siebie. Ich zachowanie wydało mu się dziwne. Chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką i odszedł na rufę.

Nad ranem komandor poczuł się nagle gorzej i z ulgą powitał nowo przybyłych oficerów estońskich.

Wraz z nimi przybył niewysoki cywil z czarną bródką, niosąc w ręku małą walizeczkę. Kłockowski i Grudziński pozostali z oficerami estońskimi w mesie, człowiek zaś z bródką w towarzystwie Piaseckiego wyszedł na pokład; Gwiaździński zrobił zbiórkę załogi.

Brodacz podszedł do patrzącego nań nieufnie Świebociego i pokazał mu język. Wyglądało to tak pociesznie, że Świebocci zaśmiał się. Brodacz stropił się, później uśmiechnął się sam.

— Język, język pokażcie — wyjaśnił Piasecki.

Mat wywalił język i wlepił oczy w lekarza. Tamten oglądał jeszcze oczy, gardło, obejrzał ciało i przeszedł do następnego. Przed Prządakiem zatrzymał się. Oglądał uważnie jego twarz, ręce, w końcu kazał mu wystąpić.

— Pójdziecie do szpitala — wyjaśnił Piasecki po krótkiej rozmowie z lekarzem.

Prządak obruszył się:

— Ja do szpitala nie pójdę. Jak chcą dać maść, niech dadzą, i koniec, a do szpitala nie pójdę.

— Nie gadać! — Porucznik znowu zamienił kilka słów z lekarzem.

— Jeśli nie pójdziecie do szpitala, nie pozwolą wam wyjść na ląd — wyjaśnił Prządakowi

— A co mi tam po ich zezwoleniu!

— Jak chcecie.

Z mesy wyszli oficerowie estońscy, komandor i na końcu Grudziński.

— Co nowego? — spytał go Piasecki.

— Na razie nie mogą nas wypuścić.

— Fiuu... — gwizdnął przez zęby porucznik — to tak...
— W porcie jest statek niemiecki „Thallata” czy coś w tym rodzaju. Możemy wyjść dopiero w sześć godzin po nim.

— A kiedy, ta „Thallata” stąd wyfrunie?

— Mówią, że lada chwila.

Kłockowski spojrzał w ich stronę i rozmowa urwała się. Komandor patrzył podejrzliwie.

— Ja oczywiście wkrótce wracam — skinął do kapitana.

— Tak jest, panie komandorze! — w słowach Grudzińskiego brzmiała nuta nieufności.

O tym, że komandor wybiera się do szpitala, wiedziała już cała załoga. Mimo to zjawienie się jego przy trapie wraz z całym ekwipunkiem zaskoczyło niektórych. Olejnik trącił łokciem Pokrywkę.

— Te, Dekiel! Kłocz się chyba na polowanie wybiera.

— Z byka żeś spadł?

— Fuzję traga, nie widzisz?

— Jak babcię kocham!

— To pamiątka rodzinna — wtrącił się bosman Gwiazdziński. — Chłop ma sentyment do niej.

— Pewnie — kpił Pokrywka — ta maszyna do pisanja chyba też. Z napoleońskich czasów;

— Zamknijcie lepiej gęby!

— Tak jest, zamknąć gębę!

Gwiazdziński nie zrozumiał, czy był to nawyk nabyty przy obowiązku powtarzania komendy, czy też sprytnie zakonspirowane ostrzeżenie pod jego własnym adresem.

Kłockowski szedł po trapie wolnym, opornym krokiem, wpatrzony w czubki własnych butów. Na nabrzeżu przystanął raz jeszcze, spojrzał na okręt. Dostrzegł utkwione w siebie twarze marynarzy, milczące, zatroskane, bezradne. Wzrokiem przesunął po szarostalowym kadłubie

okrętu, prześliznął się po wypiętrzonej kiosk z drgającymi w słońcu refleksami fal i zdecydowanym ruchem odwrócił głowę.

Odgłos jego kroków zacihał głucho i obco.

Na wschodzie zaczynało szarzeć. Z morza ciągnął wilgotny chłód, a zimny przedporanny wiatr przenikał na wskroś. Tej nocy większość załogi nie zmrzyła oka.

Zapewnienia Estończyków były dla Piaseckiego coraz bardziej podejrzane. „Coś tu nie tak” — myślał chodząc z kąta w kąt.

Grudziński był dobrej myśli. Rozmowy z Estończykami raczej napawały optymizmem. Oficerowie byli sympatyczni i nic nie zapowiadało, że kryją w zanadrzu jakiś podstęp. Nad ranem jednak i jego opanował nastrój nieufności. A co, jeśli Niemiec będzie jeszcze kilka dni odwlekał swój odjazd? Czy ta „Thallata” nie spróbuje zawiadomić najbliższej bazy o spotkaniu „Orła” w Tallinnie? Co będzie, jeśli po wyjściu na wody neutralne wpadną na zawiadomioną w ten sposób eskadrę niemiecką?

O świcie przybyła nowa grupa oficerów i marynarzy estońskich. Dowódca grupy, młody, rudawy oficer, wręczył Grudzińskiemu jakiś papier. Nie wiadomo skąd i kiedy, na pokładzie zgromadziła się znaczna część załogi „Orła”.

Grudziński powoli rozwinął papier i prześliznął się po nim oczyma. *Na mocy układu zawartego w sierpniu 1939 roku... Republika Estońska... pragnąc zachować neutralność... zobowiązuje się... internować każdy...*

Dalej nie czytał. Treść pisma stała się tragicznie jasna.

— Internować — powtórzył bezwiednie na głos najistotniejsze z przeczytanych słów.

Piasecki zwarł pięść, aż paznokcie wpiły się w dłoń.

Patrzył na Grudzińskiego. Jego chłopięca prawie twarz zastygła i stała się jeszcze bardziej blada niż zwykle.

Wilgotnieją marynarskie oczy, patrzą tępo przed siebie.

Więc to tak wygląda koniec epepei? „Orzeł”, najświetniejszy okręt podwodny, najnowocześniejszy, naj... Ileż to miesięcy minęło od chwili, kiedy podniesiono na nim banderę? Siedem? Osiem?

Wtedy jeszcze Torbus chodził nadęty jak paw, na tych ze „Żbika” czy „Rysia” patrzył z góry i wzdryliwie wydymał wargi. „Co tam wy... — mawiał. — »Orzeł«, e, »Orzeł«” — wzdychał, aż patrzeć było głupio. Przychodzili, oglądali i chociaż nie wszystkim to było w smak, przyznać musieli. „Torbus ma rację, kurza jego twarz. Dostali okręt jak cacko. Tylko na wojnę z nim, bo na paradę szkoda”:

Ale zanim wybuchła wojna, była i parada. To znaczy ta właśnie uroczystość podniesienia bandery. Galowe mundury, admiralicja, panowie w cylindrach, panie z bukietami kwiatów, przemówienia. Wskroś własnych myśli słowa pojedyncze docierały z trudem, łapali co donośniejsze: „Ojczyzna... nie damy się odepchnąć... nigdy... na straży... zwycięstwo...”

Później rozdzielono ich. Dla tamtych był bankiet, dla nich żołnierski obiad. A jeszcze później sypnęły się dni służby, twardej i trudnej, ale po której chleb lepiej smakował. I wreszcie wojna. Nie do uwierzenia krótka...

Kapitan nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo trwało to milczenie. Z odrętwienia wyrwał go ściszony, obcy głos:

— Proszę pozwolić na opuszczenie bandery..:

Ciszę, która w tej chwili zapadła, pamiętali potem wszyscy. Była to zła, ponura cisza, która w każdej sekundzie może zrodzić burzę. Grudziński czuł na sobie oczy załogi. Piegza śmiało, a nawet wyzywająco patrzył w oczy estoń-

skiego oficera. Prządak opuścił głowę i coś tam oglądał na końcach swych butów. Palce wygiętych rąk Olejnika uderzały nerwowo w szwy spodni. Piasecki odwrócił twarz i patrzył na morze falujące w poświacie reflektorów kanonierki.

— Proszę... — głos nie wydobył się z gardła Grudzińskiego. W ruchu jego warg Estończyk dostrzegł znak przyzwolenia.

Kroki estońskiego marynarza odbijają się głuchym werblem od pokładu. Jego droga od kiosku do rufy trwa rozpaczliwie długo. Wreszcie zbliża się do drzewca. Chwyta banderę, ale wiatr wyrywa mu ją z ręki. Sięga po raz drugi. Owija nią sobie dłoń, brutalnie i pewnie...

— Baczność!

Niespodziewanie dla wszystkich głos Piegzy przeszywa powietrze, echem przelatuje nad morzem, załamuje się i grzęźnie w gardle...

Ręce same podskakują do czapek. Preżną się ciała. W pierwszej chwili Estończycy są zaskoczeni, w końcu i oni powoli, z ociąganiem się unoszą dłonie do daszków.

Marynarz szarpie banderę. Serca ściskają się boleśnie. Ogołocone drzewce sterczy jak żalony kikut.

Ponury, wilgotny świt osiadł na zabudowaniach Tallinu, kiedy „Orzeł” jak bezwolne widmo wpełzał na wody portu. Pękate kadłuby statków przyrastały do portowych nabrzeży. W dali zaskrzypiały pierwsze dźwigi i gwizdek parowca kilkakrotnie przekuł powietrze.

Grudziński nerwowymi ruchami wyjmuje z szafki dokumenty. Piasecki spogląda ponuro, przerzuca oprawne akta, kartkuje tajny szyfr, dziennik okrętowy, dziennik radiogramów. Mat Świebocki ze znaczącym mrugnięciem oka pakuje to wszystko pod bluzę.

— Tylko nie w jednym miejscu — upomina go Piasecki.

— To się wie, panie poruczniku, na dziobie i na rufie, w umywalkach. Z benzyną pójdzie jak słoma.

Piasecki wciąż jeszcze patrzy za odchodzącym:

To dziwne, jak wspólna tajemnica zbliża ludzi.

Z otwartego włazu wionęło chłodnym powietrzem. Grudziński wyszedł z mesy. Patrzył w oczy marynarzy. Były obojętne, zasepione, bez życia. Nie miał ich czym pocieszyć. Jakiegokolwiek słowa pocieszenia brzmiałyby teraz jak kpina.

„Orzeł” miał wejście do portu i przechodził wzdłuż wsuniętej w wąski basen ostrogi. Przy nabrzeżu stało kilka statków. Opustoszałe do niedawna ich pokłady zaroily się czernią ludzi. W górę wlatywały czapki. Radosne okrzyki towarzyszyły ponurej kawalkadzie.

Piegza w milczeniu wpatrywał się w pękate kadłuby.

— To te niby bezpańskie, cośmy już ich widzieli — wskazywał Piaseckiemu na drzewca rufowe skażone czernią swastyki. — Skurczybyki!

Rudy Niemiec pochylał się nad burtą wygrażając pięściami.

— Więc to tak wygląda niewola... — szepnął Grudziński.

— To dopiero początek — podporucznik Mokrski zagryzł wargi. — Piasecki miał rację, trzeba było wiać, póki był czas. Jak nas zapakują teraz w ten kąt, będą spokojni. Tu nawet ruszyć się nie ma gdzie.

Z lewej strony, daleko ku morzu, ciągnął się półwysp najeżony bateriami nadbrzeżnej artylerii. Tuż za ostrogą czaiły się sylwetki estońskich okrętów wojennych. Basen, do którego wprowadzono „Orła”, był tak wąski i krótki, że opuszczenie go bez pomocy holownika wydawało się niezwykle trudne, a przy ustawieniu

rufą do wyjścia wprost nieprawdopodobne, tym bardziej że wąskie przejście tarasowała przekłeta „Thallata”.

Mokrski miał rację. Hitlerowskie demonstracje przy wejściu do portu były zaledwie przedsmakiem niewoli.

Po przybyciu do nabrzeża zażądano złożenia broni osobistej i rozbrojenia okrętu. Przybywały wciąż nowe osoby cywilne i wojskowe, coraz mniej licząc się z obecnością załogi na pokładzie. Wizyty budziły wśród marynarzy szmer protestu. Kiedy zaś na nabrzeżu stanął estoński wartownik z karabinem, a w centrali przy specjalnie zainstalowanym telefonie zasiadł podoficer dyżurny, każda chwila groziła wybuchem buntu, który nie pokierowany mógł przynieść nieprzewidziane skutki.

Pierwszy zdenerwował się Piegza. Widok wartownika spacerującego po nabrzeżu wyprowadził go z równowagi. Z początku próbował go zaczepić, tamten jednak nie reagował na żadne słowa, chociaż ich treść, z uwagi na wcale niedwuznaczny ton, była aż nadto łatwa do zrozumienia. Piegza mówił coś akurat na temat nieposkromionej chęci wyrwania wartownikowi nóg z pewnego miejsca, kiedy zjawił się Foterek.

— Czego chcesz od niego?

— A po kiego pęta się tu, i tam, i z powrotem?

— Jego wina? Postawili, to stoi.

— Kiedy ja go skurczybyka...

— Nic mu nie zrobisz, frajerze. Nie tędy droga. Ja myślę... że trzeba tu coś innego.

— No?

— Sam na razie nie wiem. Trzeba pogadać z oficerami, z ludźmi...

— Dużo będzie z tego gadania;

— Ano chodź, spróbujemy...

Tego dnia po południu w mesie oficerskiej zameldował się mat Olejnik i Pokrywka.

— Panie kapitanie — Olejnik zaczął od lekkiego chrząknięcia — prosimy o zarządzenie zbiórki. Trzeba by było jakoś to wszystko... — mat zatoczył ręką koło.

Grudziński w pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Co takiego?

— Przecież to tak nie można, panie kapitanie, cholera człowieka bierze, jak toto pęta się po okręcie. Jak po swoim.

Pokrywka milcząc przytwardził. Grudziński wymienił spojrzenie z Piaseckim. To było to, o czym i oni rozmawiali.

Wieczorem podczas kolacji odbyła się pierwsza narada. Z dziesiątków najrozmaitszych projektów nie wybrano żadnego. Zdecydowano się zgodnie tylko na jedno: tak czy inaczej, należy zwolnić tempo rozbierania okrętu.

— Chłopaki — zarządził bosman — zmęczeni jesteście i nie trza się spieszyć. Ot tak, aby, aby... A zobaczę którego, że się zwija, to za siebie nie ręczę. Robotę trzeba szanować, żeby na dłużej jej starczyło, przepustek za dużo nie dam, odpoczywać na pokładzie między jednym obrotem klucza a drugim! Powtarzam, żeby nie było nieporozumień...

Już w tej mowie było coś niezwykłego. Bosman zwykł był odgrażać się wtedy, gdy ktoś się „nie zwijał”, odpoczynku na okręcie nie obiecywał nigdy, jego bystre oko dostrzegało natychmiast każdego markieranta. Teraz wszystko było tak bardzo na opak, że nawet bosmanowi język się plątał, kiedy udzielał owych niezwykłych i jedynych w swoim życiu instrukcji.

— Muszę was, cholera, oduczyć tego, czego uczyłem — kręcił głową. — Parszywy mam ja z wami los!

Na drugi dzień z okrętu zabrano przyrządy nawigacyjne oraz mapy. W ostatniej chwili Mokrskiemu udało się ukryć spis latarni. W kilka godzin później doręczono

pismo od dowódcy wojsk estońskich. Generał Raszkitis wzywał wszystkich do pozostania w Estonii, obiecując takie warunki, jakie mają estońscy marynarze. Kapitan Grudziński z obowiązku zapoznał załogę z treścią apelu. Chętnych nie było. Drugi dzień pobytu w porcie przekonał natomiast wszystkich, że z decyzją nie należy zwlekać.

Tego wieczoru dyżurnemu Estończykowi przy telefonie wydawało się, że kolacja w mesie przeciąga się zbyt długo. Jego zaniepokojenie było tak wielkie, że zapytał o to porucznika Mokrskiego. Porucznik wzruszył ramionami i odpowiedział, że taki już jest porządek na okręcie i że regulaminy wymagają omówienia z załogą zadań następnego dnia. Podoficer uspokojony odpowiedział machnął ręką. Cóż to jego właściwie obchodziło? Miał dyżurować przy telefonie, więc dyżurował. O tym, jakie regulaminy mają Polacy, nie kazano mu na szczęście meldować.

Następnego dnia do Grudzińskiego przybył kapitan estońskiej marynarki wojennej. Doskonale mówił po angielsku, a z rozmowy łatwo można było wywnioskować, że na okrętach podwodnych zna się dość dobrze. Dowództwo delegowało go do nadzorowania przebiegu prac nad rozbrojeniem okrętu.

Piasecki wszedł do mesy, kiedy Estończyk dzielił się właśnie swymi uwagami na temat nowoczesnego wyposażenia „Orła”:

— Przepraszam, panie kapitanie — meldował Piasecki — nie możemy wyładować torped dziobowych. Basen za wąski.

Oficer estoński zainteresował się. Wyszli na nabrzeże. W istocie: nieruchomy dźwig, przy pomocy którego wyładowywano torpedy rufowe, nie mógł być przydatny przy

wyładunku torped dziobowych. Estończyk pogardliwie machnął ręką.

— Zaraz się zrobi — pocieszył.

W kilkanaście minut później przyszedł wezwany telefonicznie holownik. Grudziński nie wierząc swoim oczom patrzył, jak holownik ostrożnie odciąga okręt na środek basenu i ustawia go na poprzednim miejscu, tym razem jednak... dziobem ku wyjściu.

Piasecki odetchnął i pogratulował oficerowi bardzo prostego pomysłu. Ten uśmiechnął się z zadowoleniem. Nabrał pewności siebie. Poprosił oficerów o towarzyszenie mu przy lustracji okrętu. Zgodzili się chętnie.

Na pokładzie bosman Gwiazdziński sprawdzał przepustki marynarzom, którzy schodzili na ląd. Wszystko było w jak najlepszym porządku, marynarze odsalutowali i odeszli w kierunku jednostek estońskich marynarki wojennej.

Estończyk tymczasem z zainteresowaniem oglądał działo, pomacał jego pancerną obudowę, zajrzał do lufy z miną znawcy.

Opodał okrętu bosman Narkiewicz pływał na bączku. Estończyk zatrzymał się przy relingu. Zachowanie się bosmana zainteresowało go.

— Co on tam robi? — zapytał ze zdziwieniem. Piasecki uśmiechnął się.

— Aaa — ten? To zapalony wędkarz!

Narkiewicz istotnie sprawiał wrażenie niezwykle zajętego łowieniem ryb. Co chwila wyciągał z wody wędkę, coś tam przy niej manipulował i powoli posuwał się wzdłuż basenu.

— Jak tam — bierze? — rzucił pytanie Piasecki.

— Jeszcze jak! — podniósł kciuk do góry.

Zeszli w dół do siłowni. Tu Estończyk pokręcił z nie-

zadowoleniem głową. Spodziewał się znacznie szybszego postępu pracy przy demontażu maszyn. Podzielił się swą opinią z kapitanem Grudzińskim, który wezwał natychmiast Foterka.

— Pan kapitan — Grudziński wskazał ręką na Estończyka — jest niezadowolony z powolnego przebiegu prac.

Na twarzy Foterka odmalowało się oburzenie.

— U mnie nie ma tak chap, chap. Robota musi być zrobiona jak należy. Wszystko trzeba przeczyścić, naoliwić, a dopiero potem...

Piasecki przetłumaczył słowa Foterka. Estończyk nie ukrywał swego zadowolenia.

— Macie dobrą załogę.

— O, tak...

W przedziale dziobowym przygotowano torpedy do wyładunku. Estończyk był oficerem broni podwodnej i postanowił zatrzymać się tu dłużej. Zdziwiło go, że żadna jeszcze torpeda nie znalazła się na nabrzeżu. Grudziński uspokoił go, że bezpieczniej jest najpierw spuścić z torped powietrze, a dopiero potem wyładowywać.

— Wie pan... ciśnienie...

— Zaworami dusimy, a i tak kurdebalans za szybko idzie — szepnął Giełdoń Piaseckiemu.

— Co on mówi? — Estończyk zainteresował się.

— Właśnie... ciśnienie... — Piasecki wskazał ręką na torpedy.

— A, tak, tak, ja rozumiem...

Prządak powycierał ręce szmatami i zaczął majstrować przy głowie bojowej. Coś jednak mu nie wychodziło, gdyż poprosił porucznika o pomoc. Piasecki podszedł bliżej.

— Na ręce patrzy, sukinkot — Prządak stuknął palcem w cielsko torpedy — ale i tak go wykołujemy, niech go pan tylko tam... — wskazał oczyma na pokład.

Korpus torpedy opinała stalowa linka służąca do wyciągania. Giełdoń rozprostował plecy.

— A gdyby tak... — spojrzał na Prządka. Tamten przychwycił jego wzrok.

— Jasne... — powiedział i zaczął powoli i starannie przymocowywać torpedę do uchwytu dźwigu.

— Panie poruczniku, na świeże powietrze z nim... — Giełdoń mrugnął do Piaseckiego. — Jeszcze coś sobie tu uszkodzi. Niech pan mu powie.

Porucznik pociągnął swego gościa na pokład.

Winda ruszyła z miejsca. Torpeda drgnęła napinając linkę. Giełdoń chwycił za młot i przyłożył do linki.

— Rznij! — krzyknął do Prządaka.

Mat przystawił przecinak. Uderzył lekko, ale skutecznie. Torpeda zsunęła się w dół.

W minutę później Prządak zameldował o awarii. Estończyk długo i uważnie oglądał pęknięcie, po czym podszedł do telefonu i energicznie domagał się natychmiastowego dostarczenia nowej linki stalowej.

Wypadek z linką zdenerwował go. Zatrzymał się przy głównej tablicy rozdzielczej. W pracy mata Pokrywki nie dostrzegł jednak nic szczególnego. Uspokojony, powrócił do mesy.

Dopiero wtedy pod pokładem na dziobie i rufie dwaj marynarze mogli spokojnie nadpiłowywać cumy łączące okręt z nabrzeżem.

Te właśnie cumy były poprzedniego dnia przedmiotem poważnego sporu. Zastanawiano się nad tym, czy pozostawić je w spokoju, czy też nadpiłować. W końcu postanowiono przygotować je tak, aby przerwanie ich w odpowiedniej chwili nie nastęczało większych trudności.

Około godziny 18.00 po południu siedzący w mesie oficer estoński zaniepokoił się ponownie. Tym razem powodem jego niepokoju stał się podejrząny, jego zdaniem,

szum dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Porucznik Piasecki ofiarował się sprawdzić, o co chodzi.

Szef radiotelegrafistów miał nie lada kłopot z pozostałymi jeszcze na okręcie przyrządami nawigacyjnymi. Mimo „opieki” estońskiego radiotelegrafisty rozbiórka żyrokompasu szła mu dziś wyjątkowo opornie.

— Masz, trzymaj, bracie — zdziwionemu Estończykowi wsunął w ręce końce dwu przewodów. — Będziesz mi pomagał, bo inaczej ni cholery z tego nie będzie.

„Pomocnik” skinął głową na znak zgody. Trzymał przewody obracając je w palcach. Bosman odwrócił się i włączył przewody do sieci.

Estończyk odskoczył, spojrzął na przyrumienione opuszki palców.

— Widzisz, bracie, jak to jest — bosman patrzył współczującym wzrokiem. — Niebezpiecznie. Zostaw to, jakoś sam sobie poradzę...

Po czym zaczął składać żyrokompas tak spokojnie, jak gdyby dokonywał okresowego przeglądu.

Kiedy Piasecki wchodził, błąk wirował w najlepszym porządku. Porucznik powrócił do mesy i uspokoił kapitana, że podejrzany szum to nic innego jak dodatkowa wieczorna wentylacja.

Kiedy około godziny 19.00 estoński oficer opuścił wreszcie okręt, w mesie zjawiła się grupa marynarzy.

— Z przepustki, panie kapitanie — zameldował starszy marynarz Jasiński. — Zadanie zostało wykonane... — chrząknął, gdyż jak dotychczas nie zdarzyło się nigdy, aby zadanie służbowe wykonywać właśnie na przepustce. — No więc tak... poznaliśmy ichnich chłopaków. Morowe są, złego słowa nie powiem. I gościnne. Aż żał mi było ich kołować.

Grudziński mimo woli się uśmiechnął. Meldunek i jego forma niezwykle, ale i w niezwyklej sytuacji były

składane. Wybaczył Jasińskiemu to nawet, że jego oddech zatrącał zapachem alkoholu, który w połączeniu z mdłą i słodką wonią wypomadowanych włosów wprowadził do mesy atmosferę ni to baru, ni to salonu fryzjerskiego.

— ..Z kanonierki, panie kapitanie. Przepustki dają im do drugiej. O tej porze każdy ma być w koi. Inspekcja w pomieszczeniach odbywa się punkt druga. Alarmy mają rzadko i dziś chyba mieć nie będą. Pan kapitan wie, jak to jest, dobry żołnierz taki alarm wywacha na miesiąc naprzód. To wszystko, panie kapitanie.

— Dziękuję wam, Jasiński, i... waszym chłopcom. Idźcie odpocząć, bo nie wiem, czy dziś moglibyście wywachać alarm. Nos macie zatkany...

— To z tej gościnności, panie kapitanie. Wszystkie marynarze są już takie.

Po wyjściu marynarzy Grudziński zwrócił się do Piaseckiego i Mokrskiego:

— Jak panowie myślą?

— Proponuję trzecią — odparł Piasecki. — Najsmaczniejszy sen.

Mokrski zgodził się z tą opinią i powrócił do swojej kartki papieru, na której Narkiewicz podawał dokładnie głębokości basenu wymierzone podczas porannego „polowu ryb”.

— Teraz kolej na pana, ciemno już... — Grudziński wskazywał Piaseckiemu na pokład.

Porucznik wyszedł z mesy. Mrugnął do Pokrywki. Ten odpowiedział znaczącym gestem. Przeczekał chwilę, aż Piasecki wejdzie na pomost. Potem spokojnie podszedł do tablicy rozdzielczej. Piasecki stojąc na pomoście usłyszał głośny trzask. Śwąd spalenizny uderzył w nozdrza. W porcie zapanowała nieprzenikniona ciemność. W sekundę później światła kilkunastu reflektorów przyłgnęły do kadłuba okrętu. Na pokładzie zrobiło się jasno jak

w dzień. Porucznik uśmiechnął się i obojętnym wzrokiem zaczął śledzić kroki wartownika na nabrzeżu. W tej chwili światła w okręcie i w porcie rozbłyły ponownie. Reflektory zgasły. Porucznik przeczekał jeszcze jakiś czas i zsunął się w dół. Pokrywka patrzył na niego pytającym wzrokiem.

— Zaizolować?

— Zaizolować.

Grudziński oczekiwał porucznika z niecierpliwością.

— A więc przy świetle — relacjonował Piasecki. — Reflektory mają „wstrzelane” w nas. Ze spięcia nici.

Grudziński skinął głową na znak zgody. Przyłgął ustami do rury głosowej i wezwał Piegzę.

Mat zameldował się natychmiast.

— Podobno broni nie zdaliście, prawda to? — zapytał Grudziński.

Piegza obrzucił oficerów podejrzliwym spojrzeniem.

— Prawda — odparł zaczepnie — mam FN.

Grudziński wyciągnął rękę.

— Zdajcie nam go.

Podoficer pokręcił głową.

— Nie, panie kapitanie. Ja broni nie zdam.

W oczach Grudzińskiego zatańczyły złe ogniki.

— Nie macie do nas zaufania, co? — wykrzyknął.

Piegza spuścił oczy, pokręcił głową.

— Nie to, panie kapitanie, czego tu zaraz zaufanie? Nie w tym rzecz.

— No więc?

— Nie, ja broni nie oddam — upierał się.

Grudziński zaczął tracić cierpliwość.

— Słuchajcie, Piegza, czy wiecie, co to znaczy niewykonanie rozkazu?

— Wiem, panie kapitanie, ale ja właśnie chcę wykonać rozkaz.

Piasecki gwizdnął i kiwnął głową.

— Ach, o to wam chodzi!

— Tak, o to!

Grudziński jeszcze się nie domyślał.

— Cóż — ja się zgadzam. A pan kapitan... — Piasecki znacząco mrugnął do Grudzińskiego — pan kapitan... chyba też, co?

Grudziński zorientował się dopiero teraz. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— No, Piegza, ale to jest odpowiedzialne zadanie.

— Wiem o tym.

— Trzeba, rozumiecie...

— Wiadomo!

— A więc zgoda, tylko...

Piegza zdecydowanie przeciął dłonią powietrze.

— Mucha nie siada, panie kapitanie. Żeby tak... — wszystkie zakłęcia, które pamiętał, wydały mu się błahe w tej chwili.

Opuścił mesę z nie znanym dotychczas sobie uczuciem dumy. Przechodząc przez centralę, spojrzął na Estończyka dyżurującego przy telefonie. Lewa jego ręka tkwiła jak zawsze w kieszeni. „Ciekawe — zastanawiał się — ma czy nie ma?” Podszedł do stołu.

— Nudno tu, nie?

Tamten spojrzął, nie bardzo rozumiejąc.

— Służba, Befehl, karaul — czy jak tam jeszcze, do jasnej Anielci!

Estończyk śmiał się i rozchyłał dłonie.

— Tak, tak, bracie — mrucał Piegza odchodząc — pilnuj telefonu, żeby ci go kto nie ukradł...

Przeszedł do pomieszczeń załogi na rufie. Marynarze leżeli na podwiązanych hamakach. Wejście podoficera stłumiło szepty. „Nie śpią — pomyślał — zresztą kto by tu dziś spał”.

Rzucił się na koję i podłożył ręce pod głowę. Kadłub okrętu kołysał się ledwo wyczuwalnie. Z jakiegoś nie dokręconego zaworu krople spadały jednostajnie.

Kiedy nastąpiła dłuższa chwila ciszy, Piegza wyjął pistolet, sprawdził magazynek, cichutko zarepetował, zabezpieczył i wsunął broń do kieszeni spodni. Spocona dłoń ujmowała szorstką rękojeść. Pieścił niemal ten mały, czarny przedmiot, który miał przynieść wolność jemu i innym. „Jak to będzie” — rozmyślał, pragnąc zawczasu przewidzieć każdy krok, każdy gest, każde słowo i ruch. Widział przed sobą najrozmaitsze obrazy, tę samą króciutką scenkę w dziesiątkach odmian. Zaabsorbowany sobą, zapomniał, że to jeden tylko element całej akcji, całego dramatu, w którym aktorami miała być cała załoga, a sceną — „Orzeł”.

Tej nocy nie spał nie tylko Piegza. Nikt jakoś nie mógł ułożyć się do snu, koje wydawały się twarde i niewygodne. Jak zwykle w takich chwilach — wskazówki zegara posuwały się zbyt wolno.

O godzinie trzeciej nad ranem napięcie doszło do szczytu. Kiedy minęło już dwadzieścia minut po trzeciej, Piegza nie wytrzymał i powlókł się do centrali. Tu dopiero wyjaśnia się przyczyna nieoczekiwanego spóźnienia. Oficer inspekcyjny z estońskiego dowództwa miał jakieś złe przeczucia i postanowił niespodziewanie odwiedzić okręt. Kiedy stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku, zwierzył się ze swych przeczuć Grudzińskiemu i Piaseckiemu. Wszystkich trzech oczywiście wprawiło to w doskonały humor. W wesołym nastroju przegadali pół nocy. Przed samą trzecią Piasecki poczuł się bardzo senny, wobec czego niespodziewany gość okazał się na tyle delikatny, że uznał za stosowne pożegnać gospodarzy.

Piasecki odprowadził go do trapu. Gość widocznie sprawił na nim jak najlepsze wrażenie, gdyż jeszcze

chwilę po jego odejściu porucznik stał na nabrzeżu, patrząc w ślad za odchodzącym, dopóki jego sylwetka nie rozplynęła się w mroku. Wówczas spokojnie powrócił na pokład, wszedł na pomost i swoim zwyczajem zapalił papierosa. Pierwsza zapałka gaśnie, zapala drugą, czeka, zanim płomień nie obejmie drewnianka, i dopiero potem przytyka je do papierosa.

Z ciemności wynurzają się postacie stersygnalisty Olejnika i mata Świebockiego. Obaj idą powoli po pokładzie, podchodzą do trapu, zbliżają się do wartownika. Olejnik wyjmuje papierosa i chce zapalić, ale niestety nie ma zapalek. Wartownik na szczęście mówi trochę po rosyjsku. Wyciąga zapałki i częstuje nimi marynarzy. Olejnik podaje mu otwartą papierośnicę. Tamten wzbrania się; nie, na służbie nie wolno.

— Głupiś, tamten już dziś nie przyjdzie — zapal, frajerze!

Skuszony bierze wreszcie do ręki papierosa, zapala. Czerwony płomyk skrywa w rękawie.

— Pieska służba, nie ma co! — współczuje Olejnik. — Ty co, zawsze tak na warcie?

Tamten zaprzecza głową. To tylko teraz tak wypadło. Bo w ogóle jest artylerzystą.

— Artylerzystą? — dziwi się Świebocki. — Niezła specjalność. U nas, bracie, artyleria nie w kij dmuchał. Automatyczne zamki — słyszałeś o takich?

Niestety, o takich wartownik nie słyszał.

— To widzisz, bracie, jest tak — Świebocki usiłuje wytłumaczyć — dowódca baterii podaje cel, a ty tylko naciskasz guzik...

Wartownik śmieje się, z niedowierzaniem macha ręką. Olejnik uderza się w pierś.

— Żebyś tak zdrów był. Nie wierzysz? Chodź, zobaczysz — mamy takie jedno działo na okręcie.

Wartownik jest mocno zaintrygowany. Poszedłby chętnie, ale służba, służba!

— Wariat ze swoją służbą. Jutro zdejmujemy działą i guzik zobaczysz... to znaczy nie zobaczysz guzika...

Estończyk gasi papierosa o obcas buta, splota siarczyście za siebie i wreszcie decyduje się. Pierwszy idzie Olejnik, za nim wartownik, a na końcu Świeboczi. Olejnik wciska się za obudowę działą, wartownik wsuwa głowę i czuje, jak coś niezwykle potężnego zaciska się dookoła jego szyi. Chce krzyknąć, ale żaden głos nie wydobywa się z gardła, w głowie panuje nieopisany szum i wreszcie nieprzenikniona ciemność otacza wszystko.

Porucznik Piasecki liczy sekundy. W końcu widzi, jak dwie postacie wypychają kogoś do dziobowego włazu. Porucznik przechyła się w dół i kaszle. Kaszle głośno, jak nigdy.

W tej samej chwili mat Piegza spokojnie wyjmuje pistolet z kieszeni i lufę wpycha dokładnie poniżej lewej łopatki dyżurnemu przy telefonie. Tamten wstaje. Oczy jego wyrażają bezgraniczne zdumienie. Ręce wędrują do góry. Piegza kładąc palec na ustach nakazuje milczenie. Podoficer wciąż jeszcze nie wierzy własnym oczom.

— Czto... czto wy — bąka po rosyjsku.

Piegza obrzuca go łagodnym, bez nienawiści wzrokiem i pięść jego z głośnym plaśnięciem łąduje na szczęce tamtego. Przez chwilę patrzy, jak Estończyk słaniając się osuwa się na podłogę, po czym kręci z niesmakiem głową.

— Musiałem, kolego... nie mogłem inaczej... — palcami puka we własną pierś i mówi raczej do siebie niż do wartownika, który leży z zastygłym na twarzy wyrazem zdumienia.

Teraz wszystko odbywa się w błyskawicznym tempie. Pokrywka wynosi telefon na nabrzeże, zaizolowane koń-

cówki przewodów spoczywają obok, dwa silne uderzenia i zwolniony z cum okręt kołysze się swobodnie na krótkiej, portowej fali.

Grudziński stoi na pomoście obok Piaseckiego.

— Mała naprzód!

Pierwsza komenda. Pierwsza komenda! Grudziński dopiero teraz czuje, że jest naprawdę dowódcą.

„Orzeł” na silnikach elektrycznych odchodzi od nabrzeża. Opoдал majaczy ciemny kształt „Thallaty”. Głębokości zmierzone przez Narkiewicza Grudziński zna na pamięć.

— Ster, prawo na burt!

— Ster leży prawo na burt...

Co za cudowna, co za wspaniała rozmowa!

Teraz uwaga! Najtrudniejszy odcinek! Trzeba przejść między końcem ostrogi a burtą frachtowca. „Orzeł” pełnie powoli, zanadto powoli. Przed dziobem rozlewają się wody basenu wejściowego. Jeszcze jeden zakręt. Grudziński ponownie pochyła się nad tubą.

— Prawo na burt!

— Leży prawa...

Potężny strumień światła uderza w burtę okrętu. Ostatnie słowa sternika zagłusza grzmot wystrzałów. W setkach miejsc wypryskują cienkie gejzery. Świst pocisków przecina powietrze.

— Korki, korki od kabli elektrycznych nie założone! — Czyjś głos tonie w huku dział, jazgocie karabinów maszynowych.

Rufa „Orła” mija koniec ostrogi.

— Cała naprzód! — Głos Grudzińskiego brzmi potężnie, tak jak gdyby chciał przekrzywić ten chaos.

Okręt szarpnął kadłubem. Woda białą pianą uderza o dziób.

— Korki, korki od kabli...

Prządak pełźnie po pokładzie. Maca ręką centymetr po centymetrze. Gdzież, u diabła, te gniazdka od korbów? Zawsze tu były, a teraz nie ma! Gdzież do jasnej chole...

Wstrząs! Wstrząs taki, że Pokrywka, który skądś wziął się tutaj, aby pomóc Prządakowi, omal nie zwała się za burtę. Okręt staje dęba. Prządak i Pokrywka patrzą, jak dziób „Orła” sterczy na niewidocznej pod wodą ściance wyjściowego falochronu.

— Wpakowaliśmy się! — krzyczy Pokrywka z wściekłością i czuje, jak coś boleśnie ściska go za gardło. Wszystko stracone!

W nieustannym huku milkną motory elektryczne. Teraz w ogólny szum wdziera się, zagłusza wszystko warkot diesli. Błękitny dym przesłania świat. Działa milkną.

— Cała wstecz!

— Jest cała wstecz!

To już nie tylko komenda dowódcy, to już milcząca, napięta do ostatka wola całej załogi woła: „Cała wstecz, cała wstecz!” W tym prostym kiedy indziej manewrze tkwi ocalenie, tkwi wolność.

— Cała wstecz!

— Cała wstecz!

Pokrywka trzyma za ramię Prządaka. Obaj leżą na pokładzie z oczyma utkwionymi w dziób okrętu i w przekłętą ściankę.

— Balasty rufowe, balasty rufowe...

Rufa osiada głębiej. Chrapliwy, przejmujący zgrzyt. Dziób powoli, z wysiłkiem osuwa się w dół, kadłub kołysze się swobodnie...

I jeszcze raz:

— Prawo na burt...

W przodzie majaczy wyjście z portu. „Orzeł” zdecydowanie zmierza w tym kierunku. Błękitny dymek diesli

spełnia rolę zasłony dymnej. Ogień nie jest już tak celny jak przed chwilą.

Prządak natrafia wreszcie na gniazdka korków. Przekręca je. Zbłąkana seria karabinów maszynowych zmiata wodę w bezpośredniej bliskości. Kilka pocisków przykrym, cienkim świstem przewierca powietrze. Dziób „Orła” wychyla się poza wyjście. Do głosu dochodzą teraz baterie półwyspu. Znowu głośne pacnięcia wznoszą góry wody dokoła kadłuba okrętu.

Fale radośnie witają „Orła”, wspinają się na balasty, kręcą za rufą zawadiackie wiry i rozplývają się w pianisty szlak.

W dali jest morze. To znaczy wolność.

Huk dział nie milknie ani na chwilę. Ślad w ślad posuwa się za okrętem jak widmo, jak zagłada. W dole Foterek ociera pot z czoła. Diesle grają najcudowniejszą melodię. Kotecki siedzi ze słuchawkami na uszach. Grudziński z Piaseckim nie opuszczają pomostu. Pokrywka pcha przed sobą Prządaka, wsuwa się we właz. W połowie zatrzymuje się, zwiija dłonie w trąbkę.

— Banderę! Banderę, kurdebalans!

Ktoś podaje mu biało-czerwone płótno. Trzyma je mocno przy piersi i tak przebiega na rufę. Teraz chwilę mocije się przy drzewcu.

Wreszcie odchodzi.

Wiatr porywa banderę, trzepoce nią, pieści.

Na wschodzie bledną pierwsze brzaski przedświtu.

IV. I znowu Bałtyk

Jeśli z bardzo jasnego pomieszczenia wchodzi się w ciemne, mrok wydaje się tym głębszy, im jasność była większa. Tak samo jest z ciszą i zgiełkiem. Kiedy Pokrywa osunął się niżej, otoczyły go cisza i spokój. Przez chwilę stał na stopniach, patrząc, jak tuż pod nim czyjaś głowa osuwa się w dół, po czym powoli zszedł do swego pomieszczenia i tu dostrzegł wylężnione oczy kolegów. To go otrzeźwiło. Przypomniawszy sobie ze wszystkimi szczegółami każdą świeżo przeżyta chwilę. Dziwił się sam sobie, że stać go było na tyle przytomności umysłu i zimnej krwi. Nigdy by nie uwierzył, że mógł tak postąpić. „Człowiek sam siebie nie zna” — pomyślał i spojrzawszy w górę. Pokrywa wjazdu była zaryglowana tak jak należało, a przecież nie pamiętał, żeby ją zamykał. W takich chwilach świadomość zanika i człowiekiem zaczyna rządzić nawyk, niezależny od ludzkiej woli.

Nagle pokład „Orła” przechylił się w przód. Podniecony głos Olejnika podającego głębokość przypomniał Pokrywce, że poszli w zanurzenie.

Na dwudziestu metrach okręt wyrównał trym. Głębiej iść było niebezpiecznie, dno było nieznane i można było utknąć w którymś z jego wybrzuszeń.

— Odstawić silniki! — podał Grudziński.

— Odstawić silniki...

— Odstawić żyro!

— Odstawić żyro...

Zagubiony na dnie „Orzeł” stał się martwym, głuchym kadłubem.

Bosman Kotecki przełożył dłonie do słuchawek szumoniarnika. Jego skupione, poważne oczy patrzyły w jeden punkt.

— Słyszę szum śruby... słyszę szum śruby! — meldował spokojnym głosem i po chwili coś gwałtownie przeleciało nad nimi. Kilkanaście bomb wybuchło w pobliżu. Odgłosy następnych dochodziły już z dala, były stłumione i wydawały się niegroźne. Na tryumf jednak było jeszcze za wcześnie. „W górze” zaczynał się dopiero świt i Estończycy jeszcze cały dzień mogli poświęcić na poszukiwania. Kiedy w godzinę później zamilkły niepokojące odgłosy z zewnątrz, Grudziński wraz z Piaseckim postanowili rozejrzeć się w sytuacji.

W centrali wszystko było w jak najlepszym porządku, radiostacja, silniki i wszystkie mechanizmy przy powierzchniowym przeglądzie nie zdradzały żadnych usterek.

Lustrując okręt oficerowie zajrzeli do pomieszczeń podoficerskich. Przy opuszczonym stole siedzieli dwaj jeńcy w otoczeniu marynarzy. Na widok Grudzińskiego i Piaseckiego obaj poderwali się na baczność.

Ich zakłopotane i wciąż jeszcze zdziwione spojrzenia były tak zabawne, że Piasecki mimo woli się uśmiechnął.

— Poznaliście się już?

Świebocki zrobił chytrą minę.

— Czemu nie, panie poruczniku. Prawdę powiedziawszy poznaliśmy się już trochę wcześniej, no co, Robert, nie? — mrugnął do jednego z Estończyków.

Robert rozejrzał się dokoła, a widząc wszędzie wesołe twarze, uśmiechnął się także.

— Nu, da... — pomacał się po głowie.

— Ty się nie martw — ciągnął Świebocki — do wesela się zagoi — pogłaskał go pieszczotliwie po krótko ostrzyżonych włosach.

Piasecki podejrzliwie spojrzął na stół, wziął stojący na nim kubek, powąchał i nadpił trochę.

— O! A to skąd?

Tym razem bosman Stelmaszyk skrzywił się.

— To, panie poruczniku... jak by tu powiedzieć... torped mamy teraz mniej, a stan spirytusu do obmywania nie naruszony...

— Aha, więc go naruszacie.

— Goście, panie poruczniku — z niewinną miną wskazał na Estończyków — jakżeby inaczej. Naszych też przecież gościli. Rewizyta się należy, no nie? Świebocki dzisiaj ciastka piecze...

Piasecki podniósł kubek do ust.

— Spirytus! Rzeczywiście...

— A myśmy chcieli tak po staropolsku — ciągnął Stelmaszyk.

Porucznik pociągnął następny łyk.

— Spirytus, cholera! — kiwnął głową, smakując.

— ...Bo, mówiąc między nami, nie ich wina... — nie przestawał Stelmaszyk.

Piasecki podniósł znowu kubek, ale napotkał karcące spojrzenie Grudzińskiego.

„Cholera wie, może i rzeczywiście nie wypada” — pomyślał i odsunął kubek na drugi koniec stołu.

— A czy to prawda, że Świebocki ciastka piecze? — zapytał, żeby zmienić temat.

Kok, słysząc, że o nim mowa, wychylił tłustą, czerwona twarz.

— Jak się ma gości, nie można inaczej, panie poruczniku.

— Może i nas zaprosicie?

— To się wie...

Grudziński zamierzał już odejść, kiedy Świebocki wyprostował się przed kapitanem i stuknął obcasami.

— Z prośbą...

— Co, może przepustka na ląd? — zaśmiał się Grudziński.

— Nie, panie kapitanie, ale my tutaj uradziliśmy...

— O! To nawet narada była — przerwał kapitan.

— ...To znaczy niby tak obgadaliśmy... żeby tych Estończyków umieścić tutaj, w naszym pomieszczeniu — zakończył wreszcie z ulgą.

Dowódca namyślał się.

— A można to wiedzieć dlaczego?

— A bo... bo... żeby ich kto nie skrzywdził. Bo my... to... bo u nas byłoby im najlepiej. A z wachty dwa hama-ki zawsze się znajdują wolne...

— No, niech będzie!

— Dziękujemy, panie kapitanie!

Grudziński zatrzymał się w przejściu i spojrzał na zegarek.

— Godzina szósta osiem — teraz zjemy wszyscy kolację i spać. Bo wieczorem... — „Co będzie wieczorem?” — zastanawiał się, nie mogąc znaleźć jasnej odpowiedzi — ...wieczorem dalsza robota — zakończył niezbyt konkretnie.

Po powrocie do mesy Grudziński siadł w milczeniu na koi. Piasecki obserwował go kątem oka, czując, że powinien coś powiedzieć.

— Hm... — chrząknął — widzę, że masz mi za złe...

— Sam to rozumiesz — niechętnie odburknął Grudziński.

Piasecki splótł dłonie na kolanie. Twarz jego stała się poważna.

— Chciałbym z tobą pomówić... ale nie jak z dowódcą... Można?

Kapitan bez entuzjazmu skinął głową.

— Wiesz, że dziś naprawdę upiłbym się chętnie. Tak chętnie jak nigdy! Ty wiesz dlaczego. Ale nie tylko z powodu pierwszego zwycięstwa. Spójrz na naszych ludzi. Pamiętaj, że jeśli miałyby być z nimi coś nie tak, jak byśmy sobie życzyli, to... będzie w tym nasza wina...

Grudziński szeroko otworzył oczy.

— A tak... tak... Ty wiesz, że Kłocza więcej się obawiano, niż szanowano. Z tobą powinno być odwrotnie. Wtedy będzie dobrze. Powiedz mi, co wiesz o tych ludziach, którzy z nami dzielą nasz wspólny los? Przyjdą chwile takie jak dziś. Trzeba będzie z nimi pogadać o sprawach, które może kryją nie tylko przed nami w swych sercach. Jak to zrobimy, jeśli będziemy dla nich obcy? Ja wiem, co ty o tym myślisz. Poprzedzielnicy jesteśmy nieprzebytymi zaporami. Jedni od drugich. Tak nas wychowano, tak nas szkolono. To nie jest nasza wina. To jest, czy ja wiem... system... tak, chyba system, który każdy przyjmował jako niewzruszoną prawdę. Nie raz myślałem o tym. Powiedz mi, czy dyscyplina, najtwardsza, najsurowsza dyscyplina, musi być zaprzeczeniem normalnych ludzkich stosunków?

— Co ciebie dziś napadło? — obruszył się Grudziński.

— To nie dziś — odparł w zamyśleniu porucznik. — Ale wydaje mi się, że teraz, właśnie teraz powinniśmy...

— Zostawmy to na potem, dobrze? — zniecierpliwiał się kapitan.

— Jak chcesz — zawiedzionym głosem odparł porucznik, kierując się ku wyjściu.

Wyszedł z uczuciem żalu. Był zmęczony i senny. Ostatnie dni i noce, pełne napięcia, teraz w chwilach nerwowego odprężenia zwały się całym ciężarem na wycień-

czony organizm. Nie on jeden czuł się wyczerpany. Zmęczenie wyzierało z podkrążonych cieniem oczu marynarzy, z zapadłych policzków, z wyschniętych i spieczonych warg. W ostatnich godzinach pobytu w Tallinnie gorączkowe przygotowania pochłaniały tyle myśli i uwagi, że nie było kiedy pamiętać o śnie i posiłku. Śpieszono się w obawie, że najdrobniejsze spóźnienie może być przyczyną niepowodzenia.

Teraz nadeszło odprężenie. Ulegali mu wszyscy. Poza wachtą cała załoga odsypiała zaległości. Sen był w tej chwili pierwszą najniezbędniejszą potrzebą. Pograżony w ciszy okręt żył jedynie równym oddechem śpiących.

Piasecki miał przed sobą cztery godziny służby. Te cztery godziny trzeba czymś zapełnić. Przeszedł się po pomieszczeniach, porozmawiał z wachtowymi i wrócił do centrali. Owalne otwory otwartych drzwi pozwalały mu ogarnąć cały okręt od dziobu do rufy. Widok ten stał się nagle dziwnie nowy. Wszystko wydało mu się obce i nieznane. Sama istota okrętu była tajemnicza, nieodgadniona. Piasecki odczuł lęk, jakiego nigdy dotychczas nie doznawał. Czy potrafiłby dowodzić tą żywą istotą, gdyby zaszła taka konieczność? Ci ludzie zamknięci w stalowym kadłubie, spoczywającym teraz nieruchomo na dnie morza, wierzą w dowództwo. Być może ufają mu bardziej, niż ono ufa samo sobie.

Nie można się zdradzić wobec załogi niezdecydowaniem, niewiedzą, nieśmiałością. Brak zaufania do dowództwa zmniejsza szanse o połowę.

Kiedyś, na ćwiczeniach, powtarzane aż do znudzenia te same manewry wydawały się bezsensowne. Teraz Piasecki miał wrażenie, że wszystkiego było za mało, ba, nie czuł się wcale pewny, czy najprostsze czynności nie okazały się zbyt trudne. A przecież w sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie chodziło o „najprostsze czynności”. Sytuacja

była trudna, skomplikowana, niebezpieczna, jakiej nie przewidywano na żadnych ćwiczeniach.

„Orzeł” leżał na wodach terytorialnych Estonii na głębokości zaledwie dwudziestu metrów. Rejon, w którym przebywał, mógł być bez przerwy obserwowany. Z uzbrojenia na okręcie pozostało zaledwie kilka torped, z przyborów nawigacyjnych jedynie żyro i spis latarń. Tak wyposażony „Orzeł” miał stawić czoło niemieckiej Kriegsmarine, rozporządzającej wieloma bałtyckimi bazami, mającej do pomocy lotnictwo, władającej swobodnie morzem, a przede wszystkim posiadającej zorganizowane dowództwo i stałą z nim łączność!

W tej ocenie sił nieprzyjaciela komandor Kłoczkowski miał zupełną rację. Mylił się jedynie w ocenie siły i morale własnej załogi. Błąd dla dowódcy niewybaczalny. Ludzi swoich znał i oceniał jedynie na podstawie sprawności służbowych.

Około godziny dwudziestej pierwszej okręt ożył. Wypoczynek przywrócił nie tylko siły fizyczne, ale poprawił samopoczucie, humor, jednym słowem — nastroił wszystkich optymistycznie.

Kiedy w dwie godziny później rozległ się sygnał klaksonu i padła komenda „na stanowiska manewrowe”, wszystko odbyło się tak, jak zawsze.

W parę minut po godzinie dwudziestej trzeciej „Orzeł” wysunął się na powierzchnię tuż pod nosem estońskiej bazy. Kotecki miał rację. Wyniki obsłuchiwania, które poprzedziło wynurzenie, były zgodne z jego wnioskami: morze dokoła było puste.

Grudziński odsunął pokrywę wjazdu i stanął na pomoście. Tuż za nim wdrapał się Piasecki i dwaj podoficerowie. W twarze powiało chłodem i wilgocią. Granatowe niebo przykryło morze rozgwieżdżoną kopułą. Do estońskiej bazy było zbyt blisko, by można było zaryzy-

kować uruchomienie diesli. Okręt zadygotał rytmem silników elektrycznych.

Szli „całą naprzód” kursem N.W. Mokrski na oko wyliczył ów kurs, odtwarzając z pamięci obszar morza, w którym prawdopodobnie przebywali.

Z wygaszonymi światłami, przy cichym odgłosie pracy silników elektrycznych „Orzeł” sunął jak widmo. W tej chwili nieważny był kurs, nieważny był cel. Każda mila oddalała ich od miejsca, które groziło niewolą. Morze, to morze naszpikowane niemieckimi okrętami, wydawało się teraz zbawieniem. Przyszłość nie była wcale jasna, nieznane były nawet najbliższe godziny. Niewola jednak wydawała się największym niebezpieczeństwem, wszystko inne, tym bardziej że jeszcze mgliste i niekonkretne, stawało się błahe.

Szef działu elektrycznego, bosmanmat Kamecki, z niepokojem obserwował napiętą pracę silników elektrycznych. Żadne z teoretycznych założeń nie przewidywało wyczerpywania baterii w takim tempie.

Około godziny piątej rano, kiedy świt zaróżowił wschodnią linię horyzontu, Grudziński pozwolił odetchnąć silnikom elektrycznym. „Orzeł” ponownie zamarł w bezruchu na morskim dnie.

Trzeciego dnia, a właściwie trzeciej nocy, kiedy istniała zupełna pewność, że już nie grożą poszukiwania Estończyków, Grudziński przystąpił do opracowania planu działania. Zaczął od dokładnej kontroli sprawności bojowej okrętu.

W centrali stersygnalista Olejnik miał zakłopotaną minę.

— W lewo ciągnie — meldował stropiony — i to już od kilku dni. Jakaśmy z Tallinnu wyszli.

— Duże odchylenie? — zapytał kapitan.

— Duże, nie duże, ale ciągnie.

O naprawie uszkodzenia steru w tych warunkach nie mogło być mowy. Tę „lewicową” — jak się wyraził mechanik kapitan Roszak — skłonność trzeba było tolerować i uwzględniać w poprawkach przy wszelkich manewrach.

Groźniejsze byłoby uszkodzenie w dziobowym przedziale torpedowym. Nie trzeba się więc dziwić, że dłoń Stelmasyka z zakłopotaniem jeździła po potylicy, jak gdyby tam miała namacać rozwiązanie zawilego problemu.

— Felek — zwrócił się do Prządaka — a skocz no i zobacz, jak tam jest z tą pokrywą, bo mi się widzi...

Powiedział to takim tonem, jakby wysyłał chłopaka do budki po papierosy. Felek wytarł ręce szmatami i wsunął się pod pokład między aparaty, by sprawdzić dzwignie manewrowe. Z wewnątrz pomanewrowano: pokrywa chodziła jak po maśle. Piasecki poradził dać jeszcze kilka strzałów „powietrznych”, po czym wyrzutnie mogły przyjąć do środka wykpione w Tallinnie torpedy.

To, co można było obejrzeć, poprawić — obejrzano, sprawdzono i poprawiono. Żeby się czuć nie jak bezradne jagnię, ale jak wilk, który choć obskubany, może jeszcze ugryźć — torpedy wsunięto do rur i spokojnie ładowano wyczerpane ostatnio baterie.

Tymczasem oficerowie przysiedli w mesie radząc nad czymś. Trochę później Grudziński wzywał do siebie Świebockiego, Olejnika, Pokrywkę, Narkiewicza-Bima i kilku innych. Rozmowy były dość długie i nijakie. Każdy z nich wracał z zagadkową miną i przysięgał, że nie wie, o co dowództwu chodzi. Bo też i dobór wezwanych był także zagadką. Świebocki, wiadomo, parzygnat, i koniec. Chyba nie po to go wzywali, żeby dawać instrukcje, jak zupę grochową gotować. Olejnik — cóż, stersygnalista dobry, ale nie aż taki, żeby go w jakieś tajemnice sztabu wciągać. Pokrywka znowu — elektrykarz, oświetle-

niowiec, w żaden sposób do tamtych fachem nie pasuje. A Bim jeszcze — ot, bosman jak bosman. Wiadomo było, że pochłać sobie lubi niezgorzej, i to wszystko. Nie po to też pewnie oficerowie go wzywali, żeby im towarzysztwa przy kielichu dotrzymywał.

Tak więc ani rusz nie można było domyślić się, po co ich wszystkich do mesy ciągnano.

Dopiero Torbus, jak zawsze, zaczął coś „analizować” i kombinować. Zestawił ich tak wszystkich razem nie według fachu i specjalności, ale pod innym względem. Chłopy to były wszystkie po dziewięćdziesiąt kilo z okładem. Może jeden Bim różnił się wagą od nich, ale za to, choć niski, tura przypominał. Bary szerokie, krępy, lekko pochylony, sprawiał wrażenie szykującego się wcięż do skoku. Torbusowi zdawało się, że wpadł na ślad. Spytał Świebockiego:

— Podobnież kolega homary szykuje na kolację?

— Homary jak homary, ale kasza gryczana ze słoniną będzie — odparł tamten nie odwracając głowy.

Torbus zastanawiał się, jak by tu przejść do tematu.

— Siłę w języku i mięśniach to kolega ma, gdybyż tak jeszcze w rozumie.

Świebocki poczerwieniał.

— Panie Torbus, czegoś się pan przyczepił jak rzep do psiego ogona?

— E! Tylko bez nerwów! Ja tylko tak. Ciekawi mnie, co chcą nasi oficerowie od waszej siły.

Świebocki odwrócił zadziwione oczy.

— A wy skąd wiecie?

To Torbusowi wystarczyło. Przez kilka następnych dni „wybrańcy” ćwiczyli się dziwnie, tajemniczo, i w końcu dowiedziano się, że jest to grupa, która po zatrzymaniu napotkanego statku ma wejść na jego pokład i zdobyć mapy.

Plan ten był równie śmiały, co ryzykowny. Miał więc swoich zwolenników i przeciwników. Przeciwnicy uważali, że nie należy zdradzać się z miejscem pobytu, żeby nie ściągać na kark Niemców, zwolennicy twierdzili, że innym sposobem map zdobyć się nie da i że zaryzykować trzeba. Gorącym zwolennikiem tego rodzaju próby był przede wszystkim porucznik Piasecki. Prawdę mówiąc, inaczej być nie mogło, skoro on właśnie mianowany został dowódcą owej abordażowej grupy. Pablo przejął się swoją rolą do głębi. Zbierał swych zuchów w każdej wolnej chwili, obgadywał z nimi szczegóły, ćwiczył wraz z nimi, a chłopcy patrząc na niego byli zgodnego zdania, że taki korsarz jak kapitan Blood to szczeniak przy Piaseckim.

Grudziński był niezdecydowany. Na drugi dzień po ucieczce z Tallinnu chciał jeszcze nawiązać kontakt z Hellem, ale Hel milczał. Być może okrętowa radiostacja nie docierała do dywizjonu. Toteż kiedy zbliżyli się bardziej w kierunku Helu, Kotecki na rozkaz kapitana pchnął radiogram o tym, że „Orzeł” uciekł, ale bez map. I wtedy to nadeszła spokojna odpowiedź. Tak spokojna, że aż podejrzana. Hel nadawał:

— *Podejść do portu i pobrać mapy.*

Rozwiązanie wydawało się nieprawdopodobnie proste. Nic więc dziwnego, że nie wierzono radiogramowi.

— Cholera wie, może Szwaby na Helu już siedzą. Zapraszają po mapy i szukają naiwnych.

Machnięto ręką na Hel i czekano okazji. Pablo niecierpliwiał się coraz bardziej. Spotkano już kilka statków bez bander, ale Grudziński zwlekał z decyzją.

Włóczyć się po omacku po Bałtyku nie należało do przyjemności. Można było z łatwością szurnać „brzuchem” po piasku albo zawadzić dziobem o byle przeskodę.

Mokrski jeszcze wiele pamiętał, ale nie tyle, żeby „na oko” określić pozycję. W takiej sytuacji i pod zaszwabionym w tych dniach Gdańskiem można byłoby się wynurzyć, ku niewątpliwej ucieście stacjonującej tam Kriegsmarine. Tak więc Mokrski we własnym interesie musiał pójść po koncept do głowy i coś tu sobie do pomocy wykombinować „Spis latarni” miał, i to już było bardzo dużo. Do tego trzeba było zrobić jeszcze trochę wycieczek i sięgnąć pamięcią do niedawno przyswojonej wiedzy.

Od ucieczki z Tallinnu kreślił kurs szczególnie troskliwie. To go zorientowało, że powinni być blisko wybrzeży szwecyckich. Trzeba było jeszcze nocą podsunąć się pod jakikolwiek port i sprawdzić, na jaką melodię mruga tam światło latarni, czyli mówiąc językiem fachowym: zidentyfikować charakterystykę świateł.

Potrzeba takiej wycieczki była oczywista. Grudziński zgodził się chętnie, bo też miał już dość tej ślepej włóczęgi po morzu.

Tak więc szli nocą na Nord West. Mokrski wylazł na pomost i palcami delikatnie pieścił szczelinę namiernika, wypatrując w oddali jaśniejszego, zbawczego punktu. Mimo gwiazd noc była ciemna, nieprzejrzysta. Morze zalaływało potężnie chłodem i ludzie kurczyli się z zimna. Obserwator, który gapił się przed dziób, wyteżył nagle wzrok, przetaił oczy i znów wlepił je w ciemność. Zjawisko, które dojrzał, było tak nieoczekiwane, że musiał z dobrą sekundę otrząsać się z wrażenia, żeby wreszcie cicho, ale wyraźnie zameldować:

— Pół kabla, lewo trzydzieści frachtowiec...

Nie było to złudzenie. Ów ciemny, niezdecydowany kształt widzieli również Grudziński i Mokrski. Widmo sunęło prawie bezszelestnie. Piasecki zadrzał. Złapał za ramię Grudzińskiego.

— Teraz?

Kapitan potrząsnął głową. Trzeba być ostrożnym. Diabli wiedzą, co to za łajba. Jeśli niemiecka — to na pewno uzbrojona, jeśli neutralna — narobią rabanu na cały świat, piratami nazwą. A na to nie można było pozwolić.

Frachtowiec posuwał się z wygaszonymi światłami. Na zanurzenie było już za późno. Działo na pokładzie, bez zamka, stanowiło wartość jedynie muzealną. Można byłoby w razie czego jeszcze torpedę wystrzelić z położenia nawodnego, ale do tego potrzebny był manewr, a na to nie było już czasu. Pozostawało jedno: odpaść z kursu frachtowca i odejść niezauważenie w cień.

— Ster prawo piętnaście — dmuchnął w rurę głosową Grudziński.

— Ster leży prawo piętnaście — pokwitował Olejnik tylko dla formalności, bo wszyscy na pomoście dostrzegli już zmianę kursu.

Frachtowiec rozplynął się w mroku i gdyby nie fakt, iż widziało go kilka osób, można byłoby sądzić, że to był sen.

Piasecki zagryzł wargi. Zżył się już z „grupą abordażową”, przeżył z nią w wyobraźni kilka różnorodnych akcji, a oto teraz, kiedy rzeczywistość stwarzała mu taką okazję, cały plan brał w łeb. Grudziński był kolegą, ale Grudziński był i dowódcą. Do kolegi miał żal, ale dowódcy musiał słuchać.

Okolo pierwszej w nocy Mokrski zatriumfował. W dali przed dziobem błysnęło raz i drugi. Podeszli bliżej. Mokrski wziął namiar, odnotował odległość. Potem zmierzzył czasy błysków i przerw. Wiedział, że są pod szwedzkim brzegiem, do „spisu” zajrzał tylko dla pewności. Pierwszy punkt na arkuszu papieru do opakowania zakwitł najpiękniejszym w tej chwili dla Mokrskiego słowem — nazwą latarni morskiej.

W godzinę później na „mapie” Mokrskiego pojawił się nowy punkt. Tej nocy „nawigacyjny” nie mógł narzekać na brak zajęcia. Kilka punktów naniesionych na papier pozwoliło na dokładniejsze zorientowanie się w pozycji okrętu. Plan pracy na następną noc przewidywał zidentyfikowanie dalszych punktów oraz pomiary głębokości.

O świcie zeszli jak zwykle na dno. Tego dnia Torbus zateęsknił za słońcem. Nie widzieli go od czasu opuszczenia Tallinnu. Przedświt stawał się sygnałem do zanurzenia, a zmrok do wyjścia na powierzchnię. Rozmijali się ze słońcem. Próbował je nieudolnie zastąpić Pokrywka czuwając nad bezawaryjną pracą systemu oświetleniowego. Ale co Pokrywka, to nie słońce. Torbusowi zrobiło się smutno, że świat jest albo tylko szary, albo tylko ciemny.

Bez przesady można powiedzieć, że jedyną atrakcją w tym czasie byli goście mimo woli — Estończycy. Robert pogodził się już ze swoim losem. Kiedy Świebocki własnoręcznie podsuwał mu posiłek, zawsze z jakimś nadprogramowym dodatkiem, Robert rumienił się z powodu tej gościnności i z dumą wymawiał słowo „dzeńkuje”, skłaniając przy tym nisko głowę.

W tym czasie rozeszły się pierwsze słuchy, jakoby dowództwo zamierzało iść na Sund. Nie było w tym jeszcze nic pewnego — ale ta wieść poruszyła wszystkich. Jedni twierdzili, że to wariacki pomysł, inni, że to jest jedyne wyjście.

Gwiazdziński wpadł w melancholię. Tęsknie patrzył na ręce Prządaka, kiedy ten raczył spirytusem szmaty do przemywania torped, ale Stelmaszyk był bezwzględny. Prządak przychwytywał jego spojrzenie i już wiedział, jak ma postąpić. A Gwiazdziński cierpiał, i to coraz bardziej. Świebocki twierdził, że nawet na apetycie stracił.

Któregoś dnia Gwiazdziński nie zwłókł się nawet z koi.

Wieść o zamiarze pójścia przez Sund podcięła mu nogi. Kłoczkowski nigdy by nie poszedł na taką awanturę, a Kłoczkowskiemu jako dowódcy Gwiazdziński ufał bez granic. „Młokosów”, to znaczy Grudzińskiego i Piaseckiego, tych dwóch, którzy tu rządzą najbardziej, nie darzył zaufaniem.

Chciał się z kimś podzielić swymi obawami i podszedł do bosmana Stelmaszyka, kiedy ten siedział z Robertem.

— Jak myślisz, przeszlibyśmy przez ten Sund? — zapytał.

— Proszę bardzo — wypalił niespodziewanie Robert, który nie rozumiał pytania, chciał się pochwalić znajomością dwu nowych słów.

Parsknęli śmiechem, a Gwiazdziński zamknął się w sobie jak ślimak.

Mokrski tymczasem pracował. Bałtyk coraz obfitszą ilością szczegółów przezierał z nieskalanie czystego do niedawna arkusza papieru. Sprawdzono dane, które Mokrski „z głowy” naniósł na mapę.

Bosman Kotecki przemienił się w redaktora. Wyłapywał co ciekawsze wiadomości ze świata, zestawiał je, przepisywał w kilku egzemplarzach i wywieszał w każdym pomieszczeniu. Ostatnie wiadomości nie napawały otuchą. Wprawdzie były to informacje przeważnie niemieckich radiostacji — z polskich nie docierała żadna — ale potwierdzone przez źródła neutralne, zmuszały do uwierzenia w smutną prawdę.

Dziewiętnastego września Kotecki jednak przestał komukolwiek wierzyć. Nie ufał komunikatom niemieckim, neutralnym, sojuszniczym. Przestał wierzyć całemu światu i sobie. Przyczyną tego stał się lakoniczny komunikat, jaki złapał tego dnia z radiostacji szwedzkiej. Wysłuchał go i z wściekłością wyłączył radio.

— Kurrdemoll!

W tym miejscu należy się czytelnikowi parę słów wyjaśnienia. Wśród załogi były trzy słowa znajdujące się w powszechnym użyciu. Wszystkie one zaczynały się od wspólnego, nader dźwięcznego przedrostka „kur”, przy czym zależnie od aktualnej sytuacji literka „r” powtarzała się mniejszą lub większą ilość razy.

Najpopularniejszym wśród nich był wyraz „kurdebalsans”, przy czym nikt nie wiedział, dlaczego i jakimi drogami skromny francuski urząd miar i wag „cour de balance” nabrał wdzięku swojskiego przekleństwa.

Innym słówkiem wprowadzonym do powszechnego choć nieregularnego użytku przez artylerzystę Szuberta był „kurdeflak”. Wacusz pogodził tu francuszczyznę z niemczyzną. Zostawił przedrostek „kur”, ale dołączył niemieckie „flak”, prawdopodobnie ze względu na sympatię do artylerii, zwłaszcza przeciwlotniczej.

Twórcą słowa „kurdemol” był właśnie Kotecki. Jego funkcja „radio” zmuszała do wysłuchiwanie audycji nieraz nie mających nic wspólnego ze służbą. Jeśli taka wpadała mu w ucho, kręcił głowę z niezadowoleniem. Najbardziej zaś denerwowały go rozmaite koncerty zapowiedziane jako a-moll lub b-moll. Wtedy Henio z wściekłością wyłączał radio, przepuszczając przez zęby owe dźwięczne słówko „kurdemol”.

Ilość głosek „r” wypowiedzianych po wysłuchaniu szwedzkiego komunikatu świadczyła o tym, że Kotecki jest wzburzony jak rzadko kiedy.

Nie mówiąc nic, poprosił Grudzińskiego i Piaseckiego do radiokabiny, sam usiadł i zaczął kręcić gałkami. „Tamten” głos uciekł. Bosman przejechał po innych fałach. Koncert muzyki symfonicznej. Zmienił znowu zakres. Aria operowa wzbila się wysoko i zgasła. Kotecki przerwał w pół taktu jakieś tango. Grudziński zaczynał

się niecierpliwić. Wreszcie zachrypiał czyjś głos. Piasecki posłyszał język angielski i przysunął się bliżej.

— Według wiadomości nadchodzących z Estonii polski okręt podwodny „Orzeł” opuścił Tallinn, porywając ze sobą dwu żołnierzy estońskich. Żołnierze ci zostali następnie w bestialski sposób... — głos uciekł i po chwili wezbrał nową falą — ...straszliwie okaleczone zwłoki dwu ofiar wyłowione zostały... — Piasecki dalej nie słuchał.

— Zgaś, do cholery! — szarpnął Koteckiego za rękę.

Przez chwilę wszyscy trzej patrzyli na siebie. — No i widzisz... — zaszumił Piasecki. — Spróbuj sprostować! Zrobili z nas bandytów.

— A z „Orła”: karaban — bąknął Kotecki.

— Co pleciesz?

— Zwłoki, wiadomo: na karabanie.

— A może jednak sprostować? — miotał się Piasecki. Przejął się tym oskarżeniem do głębi. — Nadamy kilka razy ten sam komunikat. Ktoś nas przechwyci.

— Właśnie, „ktoś” — rzucił Grudziński. — Na przykład Niemcy. Mielibyśmy wtedy „zwłoki”. Nie, na to nie pójdziemy. Jest tylko jedno wyjście...

Przeszli do pomieszczenia załogi. Oczy wszystkich skierowały się ku nim. Musieli mieć poważne miny, gdyż twarze marynarzy zastygły w trwożnym oczekiwaniu.

— Cóż, Świebocki — zaczął Grudziński swobodnie — musimy ci zabrać Roberta...

— Dlaczego, panie kapitanie?

Grudziński wyjaśnił w kilku słowach. Tego nikt nie oczekiwał. Ktoś określił to słowem „podłość”, co Piasecki skwapliwie potwierdził.

— Musimy naszych gości wysadzić na ląd — zdecydował Grudziński. — Innego wyjścia nie widzę.

Świebocki tarł czoło, kombinował, wreszcie wystąpił.

— Nie wiem, jak by to powiedzieć, panie kapitanie.

Ale sprawa na ten przykład jest taka: nie mogą to oni z nami, jak by to powiedzieć, do końca... Przez Sund, znaczy się. Mówią, że mamy iść tędy. Mogliby z nami, no nie? — Obrzucił wzrokiem twarz kolegów, domagając się od nich poparcia. — Żarcia, czyli, jak to mówią, prowiantu jest dość. Spać jest gdzie, i co trzeba więcej? Tak że, panie kapitanie, po mojemu to byłoby niesprawiedliwie. Z domu poniekąd ich zabraliśmy, nawet nie pożegnali się i teraz zostawiać, ot, tak. Nie godzi się po prostu... — klepnął dłonią po ramieniu Roberta, który zaczynał się domyślać, że przedmiotem narady jest właśnie on i jego kolega.

— To ładnie z waszej strony — Grudziński pochwalił Świebockiego — ale nie mogę się z tym zgodzić. Ich los należy do nich. To prawda, że spróbujemy przedrzeć się przez Sund. Nie potrzebuję wyjaśniać, że jest to połączone z dużym niebezpieczeństwem. Przypuśćmy, wyobraźmy sobie... przecież zakładać należy wszystko, przypuśćmy więc, że nie uda nam się... I co? Chcielibyście, żeby uznano nas za morderców? Kto udowodni światu, że to jest oszczerstwo? Chcecie przecież, żeby podzielili nasz los, a nasz los, wicie już...

Zamilkł. Argumenty były mocne, nie do odparcia. Mimo woli spojrzeli na Estończyków.

— Fajne chłopaki — wyskoczył Jasiński. — Nadali by się nam. Szkoda...

— To dla ich... i naszego dobra — Grudziński zdecydował się ostatecznie. Podszedł do Estończyków. — Musimy wysadzić was na ląd... — wyjaśnił krótko, przedstawiając im treść komunikatu.

W oczach jeńców pojawiła się nieufność. Nie zanosi się na prawdziwą wolność, jeśli na dźwięk tego słowa jeniec kurczy się z lęku.

Grudziński rozumiał ich.

— Otrzymacie odpowiedni dokument.

Dyskutować nie było o czym. Estończycy zrozumieli, że jest to nieodwołalna decyzja. Decyzjom tych dziwnych ludzi nie chcieli się przeciwstawić. Z własnego doświadczenia wiedzieli, że nie przyda się to na nic.

Rozpoczęto przygotowania do wysadzenia Estończyków. W mesie Grudziński i Piasecki głowili się nad „dokumentem”.

— *...Dowództwo polskiego okrętu „Orzeł” stwierdza — pisał pod dyktando Piasecki, od czasu do czasu wtrącając swoje poprawki — że... — tu następowały nazwiska — stawiali zacięty opór, który z trudem udało nam się przelamać jedynie dzięki liczebnej przewadze. Podczas pobytu na pokładzie naszego okrętu dali liczne dowody swego patriotyzmu i poświęcenia. Ze względu na to, że obaj nadal stanowią mogą groźbę dla naszego bezpieczeństwa, dowództwo zmuszone jest wysadzić ich na ląd. Dokument niniejszy jest zarówno wyrazem uznania dla dzielnych żołnierzy, jak i dowodem, że załoga „Orla” potrafi zawsze ocenić męstwo szlachetnego przeciwnika.*

Grudziński przejrzał pismo, wniósł kilka poprawek.

— Powinno im chyba wystarczyć, jak myślisz?

— Zależy, kto będzie to czytał. Trafiają na ponuraka, to klops. Co tu można przewidzieć?

— Jasne — Grudziński chuchnął w pieczęć, przystawił do papieru, podpisał się. — Gotowe!

Na dworze wstawał szary świt, kiedy na falach zakoly-sała się jedyna na „Orle” okrętowa łódź. Na jej dnie spoczywały złożone zawczasu zapasy: kilka puszek szynki, sucharów, dwie butelki wina. Grudziński podszedł do Estończyków i wcisnął im do ręki po pięćdziesiąt dolarów, wyciągniętych z okrętowej kasy.

— Może się przydać! — zapewniał, kiedy tamci wzbranieli się przyjąć.

Świebocki z bosmanem Kozowym i Szubertem odprowadzili jeńców do samego relingu. W ostatniej chwili Świebocki wytrzasnął skądś puszkę śliwek i wepchnął ją Robertowi.

— Masz, ode mnie, zawsze to lubieś — ścisnął mu rękę.

Unieśli wiosła. Łódź odpływała powoli. Nagle Robert podniósł się z miejsca, przybliżył do ust dłoń zwinętą w trąbkę. Świebocki nastawił uszu. Szum silników i plusk fali zmieszał się z głosem Roberta. Świebocki wychylił się cały.

— Dzeń-kuje! — krzyknął głośno Robert i pomachał ręką.

Na okręcie rozległ się klakson. Kozowy i Szubert skoczyli do włazów. Za nimi niechętnie potoczył się Świebocki.

„Orzeł” zanurzył się. Grudziński stał przy peryskopie i patrzył w okular. Mała łódź zmieniała się powoli w szary punkt. W pół godziny później szary punkt przyłgął do przymglonego pasma lądu. Kapitan opuścił peryskop w studzienkę i przyłgął ustami do rury.

— A teraz, chłopcy, cała naprzód; Kurs 230°₂₃

V. Przez Sund

Trzy tygodnie beznadziejnej włączęgi zrobiły swoje. Ludzie stali się niecierpliwi, nerwowi, kapryśni. Któregoś dnia Foterek wrócił od Grudzińskiego zrezygnowany do reszty. Rzucił się na koję, ręce podłożył pod głowę i słowem do nikogo się nie odezwał.

W pomieszczeniu było cicho i tylko silniki elektryczne cykały równym rytmem, jak zegary. Szli na niewielkiej głębokości, zmieniając kurs po raz któryś tam z rzędu w ciągu jednego dnia.

Gwiaździński, wolny od wachty, spał, śmiesznie gwizdząc przez nos. Foterek obejrzał się i ze złością pozazdrościł mu tej obojętności na losy świata. Jego byle co mogło wyprowadzić z równowagi. A trudno powiedzieć, żeby to „opeer”, które otrzymał dziś od Grudzińskiego, było „byle czym”. Jeśli dowódca zarzuca zaniedbanie obowiązków, i to w takiej sytuacji — jest czym się przejmować. Stokroć jednak gorzej, jeśli zarzut jest niesłuszny. A Foterek był głęboko przekonany, że dowódca nie miał dziś racji.

Poszło o wodę.

Od dłuższego już czasu brak wody wysuszał wychudłe ciała załogi. Twarze stały się blade, a podkrążone zmęčeniem oczy świeciły żałośnie z zarośniętych twarzy. Suchy język łakomie oblizywał spieczone wargi, nie znajdu-

jąc tam wilgoci. Było to tragicznym paradoksem: oni — otoczeni zewsząd wodą — musieli ją oszczędzać, skąpić, dzielić jak sknery.

Prządakowi rany odnowiły się. Ciało pokryło się nowymi strupami. Oczkowski zapadł na zdrowiu. Gorączkował. W piersiach mu grało, oddychał ciężko, z trudem. Jeden Świebocki nie poddawał się, chociaż miał swoje dodatkowe zmartwienia. Niektóre prowianty okazały się za słone; inne znów zbyt słodkie. Pozostawały kasza i wółwina i tego Świebocki nie żałował.

Foterek kręcił się w miejscu, nie mogąc się uspokoić. Dręczył się na wspomnienie słów kapitana.

— Zanedbaliście się, Foterek! — brzmiał wciąż w jego uszach głos Grudzińskiego.

— Nie, panie kapitanie... — bronił się nieśmiało starszy bosman.

— Woda! Pytam was, gdzie woda? — atakował dowódca.

— Musimy wpierw...

— Nic mnie to nie obchodzi, co musicie. Woda — mówię wam...

Na to wspomnienie Foterek spotniał i odwrócił się na drugi bok. Miał żal do dowódcy za to, że nie dał sobie nic wytłumaczyć. Gdyby pozwolił mówić, Foterek wyjaśniłby przecież, że z tym destylowaniem nie można było nic zrobić. Diesle muszą pracować co najmniej cztery godziny, żeby destylatory zaczęły działać, a ostatnio szli wciąż na elektrycznych, wciąż kryli się i czaili. Więc w jaki sposób? „Cudów nie ma, panie kapitanie!” — wymachiwał ręką leżąc na koi.

Siatka zaczynała go gniesć. Podniósł się, usiadł. Z różnych stron patrzyły na niego błyszczące oczy kolegów. Nikt nie powiedział słowa, ale Foterkowi krwią spłonęły policzki: „Czy oni też tak myślą?”

— Czy wy też tak myślicie? — huknął na cały głos z góry.

Kilka twarzy leniwie zwróciło się w jego kierunku. Nikt jednak nie odpowiedział.

Bosmanowi zrobiło się nagle gorąco. Pokręcił się na miejscu i usiadł. Z centrali dochodził odgłos rozmowy. Słyszał głos Grudzińskiego. Pomyślał o nim inaczej. „On miał prawo żądać, to nawet jego obowiązek”.

Pierwsza fala złości ustępowała. Poczucie sprawiedliwości przywracało zachwianą równowagę. Bosman poczuł się lepiej.

Mokrski wyliczył, że pół godziny temu byli na trawersie Trelleborga. Lada moment powinni minąć latarnię Falsterbo i wejść do zatoki Köge — szerokiej paszczy rozwierającej wejście do wąskiego gardła Sundu i Kattegatu.

Już od kilkunastu dni oczekiwano tego wieczoru. Grudziński podchodził pod Trelleborg, szedł dalej na zachód, wchodził na wody zatoki, śledził, węszył, wypatrywał i w końcu zawracał pod Bornholm.

Od chwili kiedy zapadła ostateczna decyzja przedarcia się przez Sund, rosła niecierpliwość, napinały się nerwy. Grudziński jednak wiedział, czego chce. Chciał przede wszystkim pozbyć się niewygodnych świadków — gwiazd i księżyca. A noce, jak na złość, były ostatnio piękne, jasne, gwiaździste. Kapitan musiał czekać na chmury i mrok. Drugim celem ryzykownych wypraw pod duńskie i szwedzkie wybrzeża było zbadanie ruchów statków i okrętów na tym odcinku, systemu ich przeprowadzania przez wąską cieśninę i ewentualnej możliwości „zaplątania się” wśród frachtowców.

Trzeba było również otrzaskać załogę z warunkami śmiałego przedsięwzięcia. I jeśli pierwszy pobyt w zatoce Köge był dla wszystkich niezwykle przeżyciem, to ostatnio bez specjalnych wrażeń potrafili przebywać w tejr

zatoce po kilka godzin na dobę, dokonując przy tym niezmiernie cennych obserwacji. Wszyscy najbardziej pragnęli jednego: aby „to” już nastąpiło.

W przeddzień przedarcia się Piasecki przyszedł na rufę z miną fałszywie bez troską.

— No, chłopaki — powiedział starając się nadać swemu głosowi ton jak najbardziej naturalny — jutro machniemy przez Sund...

Twarze marynarzy były spokojne, zaciekawione.

— Łatwo nie będzie, od razu mówię — ciągnął porucznik. — Możemy się natknąć na miny albo, co gorsza, na Szwabów. Trzeba być przygotowanym — odkaszlął — wszyscy pójdą na górę. Na dole zostaną tylko ochotnicy. Klakson — sygnał alarmu: za burtę. Jasne?

Kiwnęli głowami.

— Na ochotnika — kto?

Cisza stała się niepokojąca.

Pierwszy wysunął się Piegza. Obok stanęli: Prządak, bosmanmat Mucha, Brzęczka, starszy marynarz Roman Jasiński zwany „Kaszubem”, jego koledzy Józek Jarmuż i Alojz Grewka.

Piasecki przesunął po nich wzrokiem, zaczerwienił się i chrząknął:

— Wiecie, że na dole będzie gorzej?

— No więc?

Poruszyli głowami na znak, że o tym wiedzą.

— Ktoś przecie musi być na dole — wzruszył ramionami Piegza.

— Dobra, to wszystko. Pamiętajcie: klakson.

Kiedy porucznik odszedł, Brzęczka zmarkotniał.

— Boisz się? — zapytał Prządak.

Tamten zamyślił się.

— Teraz tak, trochę — przytwierdził.

Romek Jasiński słuchał z niepokojem.

— Możesz się jeszcze wycofać — podsunął mu Prządak.

Romek zbladł. Zamyślił się. Pokręcił przecząco głową. Brzęczka poklepał go po ramieniu.

— Nie wstydz się, nikomu nie piśniemy.

— Och, dalibyście spokój! — wykrzyknął Jasiński i natychmiast zamilkł, zdumiony własnym nieopanowaniem, odszedł w kąt, usiadł; skrył twarz w dłoniach. Więcej go nie pytano.

Następna noc była taka, na jaką czekał Grudziński. Ciemna, bezgwiezdna, bezksiężycowa. Morze nawet w zatoce zrobiło się ruchliwe i przychylnie niespokojne. Takie właśnie, jak trzeba.

Grudziński zamiótł peryskopem horyzont. Wokół była pustka i cisza.

— Wynurzenie — powiedział prawie szeptem.

Zameldowano gotowość.

Olejek przerzucił ster głębokości i dziób, uniósł się w górę.

„Orzeł” wysunął się z głębi. Otrząsnął się z wody, wyprostował trym, ruszył naprzód. Grudziński i Mokrski wyszli na pomost. W otwarte włady wtargnęła świeża noc. Szli „mała naprzód”, bez świateł, jak duchy. Z prawej zagrały światła. Było ich coraz więcej. Szła cała karawana. „Orzeł” przyczaił się w cieniu, dołączył do ostatniego. Po jego rufie przeleciał błysk reflektora. Mokrski cicho się zaśmiał. Pokazał ręką przewodnika.

— „Hamburg” — odczytał Grudziński nazwę portu macierzystego wypisaną na rufie frachtowca.

— Gdyby wiedzieli...

„Orzeł” szedł na krańcach zasięgu świateł niemieckiego statku. Z pokładu nie mógł być widoczny. Ale manewrować trzeba było po zegarmistrzowsku. Posuwali się żółtym tempem kursem NE. Kiedy w oddali z lewej wznio-

sła się luna Kopenhagi, a z prawej zamigotał słaby od-
blask Malmö, Piasecki zarządził alarm. Śpiesznie opasy-
wano się korkami. Ten i ów pomacał kieszenie. Doku-
menty, listy, fotografie. To było wszystko — cały mają-
tek. Jeśli był na miejscu — można było umrzeć.

Ochotnicy bez żalu odprowadzali ich wzrokiem. Zo-
stawiali na dole zgodnie z własną wolą. Do nikogo nie
mogli mieć pretensji. Tamci kiwali głową: „Trzymajcie
się!”

Pokład zapelniał się ludźmi. W obudowie działa było
ciasno jak nigdy.

„Hamburg” prowadził bezbłędnie. Mokrską z zadowo-
leniem stwierdził, że wszystko się zgadza z wyliczonym
przez niego kursem. Kończyły się głębokości dwunasto-
i trzynastometrowe. Zbliżały się płycizny. Grudziński za-
wczasu polecił zatopić balast dziobowy. Okręt osiadł
o dwadzieścia centymetrów głębiej. Mogli więc w porę
wyczuć nawet mniej groźną mieliznę.

„W razie miny lub innego niebezpieczeństwa wszyscy
na łód szwedzki” — brzmiał rozkaz. A brzeg szwedzki
był tuż — ręką sięgniesz, a namacasz kraj wolny od woj-
ny, cichy, obiecujący spokojne przetrwanie. Patrzyli na
ten brzeg. Pragnęli wolności. Ale innej.

W obcym kraju nigdy się nie jest wolnym.

Bez żalu mijali wybrzeża łatwej wolności. Z pragnie-
niem, aby skończyły się jak najszybciej.

Nagle słup światła bryznął po konwoju, zatrzymał się,
cofnął, obmacał burtę i zgasł. Serca zatrzepotały w pier-
siach jak ptaki.

Na rufę „Hamburga” wyszło dwóch ludzi. Wsparli się
o reling, zapalili. Niższy i grubszy nerwowo gestykulował
rękami. Sprzeczali się o coś. Grudziński był pewien, że
obserwują dziób „Orła”. Przycisk klaksonu miał pod
palcem. Ale nerwy trzeba trzymać na wodzy. Oto Niemcy

znów odwrócili się tyłem, postali chwilę, znikli. Spokój wsącza się powoli w napięte nerwy. Kapitan właśnie chciał coś powiedzieć, gdy nagły chropowy zgrzyt wstrząsnął okrętem...

Prządak kiwnął głową do ostatniego. Przez chwilę jeszcze patrzył na czarne buciki stąpające po żelaznych szczebelkach.

Zostawali sami. Długa kicha okrętu, poprzedzielana pierścieniami otwartych drzwi wodoszczelnych, wyglądała jak opustoszały tunel. W centrali Prządak dostrzegł Piaseckiego i Foterka. Sterczy z nimi jeszcze jakiś marynarz, ale twarzy jego bosman nie mógł rozpoznać. Nad radiostacją czuwał mat Sosnowski, współredaktor gazetek, prawa ręka Koteckiego. W pomieszczeniu mechanizmów pomocniczych urzędowali bosmanmaci Piegza i Mucha, w dieslach Jasiu Brzęczka z dwoma starszymi marynarzami, w elektrycznych — Prządak z Grewką i Jasińskim.

Kiedy tamci znikli na górze, wewnątrz okrętu zamarło. Widać samym swym istnieniem tworzyli w nim życie.

Silniki dygocą miarowo. Prządak spogląda na młodziutką twarz Jasińskiego i dziwi się: „Kiego diabła tu został?” Jasiński przyłapuje to spojrzenie i wykrzywia usta. „Phi, co mi tam” — nadržabia miną. Żaden jednak się nie odzywa. „Podczas gadania można nie dosłyszeć klakso-
nu” — myślą. Uszy wsłuchują się w jednolity szmer i nie wyławiają w nim nic szczególnego. „Ach, być na pokładzie!... Jak t a m jest, t a m widać?”

— Najlepiej to jakieś kawały... — bąka nieśmiało Jasiński i milknie, bo na górze coś zachrobotło. — Jakie, tego, kawały opowiadać... czas szybciej schodzi.

— Gadaj, jak chcesz — zachęca Prządak.

Jasiński zamyśla się. Tyle ich znał, a teraz żaden nie przychodzi mu na myśl. I to właśnie akurat teraz.

— Najbardziej chce się żyć wtedy, kiedy się wie, że można zginąć — mówi zupełnie nieoczekiwanie dla siebie i dla wszystkich.

Prządak czerwienieje. Czuje się jak dowódca tego małego oddziałku i rozumie, że coś tu nie tak, że musi „wkroczyć”.

— Głupstwa gadacie! — mówi szorstko. — Co wam też do głowy... — Głos brzmi nieszczerze. Wszyscy i tak wiedzą, że jemu też „takie rzeczy” przychodzą do głowy. Teraz wszyscy milczą. Bywa tak, że można widzieć nie patrząc. Można też słyszeć nie słuchając. Teraz na przykład, nikt nie słucha, a wszyscy słyszą najmniejszy odgłos dochodzący z zewnątrz.

Prządak patrzy na Jasińskiego i zastanawia się, czy on też ma „takie oczy”. Wyczuwa istniejącą między nimi dziwną zgodność. Wszyscy boją się i wszyscy chcą siebie wzajem uspokoić. Tylko nie wszystkim jednakowo to się udaje.

Ileż to czasu tak idą. Cztery, pięć godzin? Prządak patrzy na zegarek, potrząsa nim, przykładą do ucha. Nie, jest w porządku — dobrze chodzi. Minęło zaledwie pół godziny. A i licząc uderzeniami pulsu, czas ten można by rozciągnąć na całą dobę.

„Lepiej o tym nie myśleć — mówi do siebie Prządak i... myśli. — Do diabła, jakżeż człowiek potrafi komplikować sobie życie”. Idą ku wolności ocierając się o nią. Czyż nie prościej dać „prawo na burt” i skończyć z tym wszystkim? Widocznie to byłoby za proste, aby mogło być uczciwe. Niezgodne z... Z czym znowu niezgodne? Z honorem, sumieniem... Jakże wiele trzeba nieraz poświęcenia i ofiar, żeby zdobyć sobie prawo jasnego spojrzenia ludziom w oczy... To „coś” albo tkwi w człowieku i jest z nim zrosnięte, albo go po prostu nie ma.

— Panie bosmacie — zaczyna starszy marynarz.

— No?

— Tak bym się, cholera, czegoś napił...

— Sami przecież wiecie...

— Wiem. Ja tylko tak... Ech!

— Ciężko?

— Co ma być letko. Już tę Anglię chyba całą wysuszę...

Prządak zerka do centrali i nachyla się nad Jasińskim.

— Skocz no do kuchni — szepce — tam w kotle jest kawa, rozumiesz?

Jasiński jeszcze nie wierzy.

— A jakby co?

— To już moja w tym głowa. Oni — wskazał na górę — mają powietrze. Musi być sprawiedliwie...

Jasiński wraca z kubłem. Na jego wargach ciemna wilgotna smuga.

— No, co z tą Anglią?

— Ale pić, tobym się jeszcze napił...

Prządak podaje Grewce, tamten nadpija i oddaje bosmatowi. Oddychają z ulgą. Robi się jakoś weselej. Jasińskiemu zachciewa się nagle gwizdać, śpiewać. Zwija usta w trąbkę, ale w tej chwili rozlega się zgrzyt i wszystkim się zdaje, że okręt staje dęba.

Grewka skacze do włazu. Jasiński szarpie Prządaka za ramię. Obaj stoją patrząc sobie w oczy. Zgrzyt ustaje. Z centrali dochodzi teraz głos Piaseckiego. Porucznik powtarza jakąś komendę. Bosmat daje powietrze do balastów dziobowych i „Orzeł” unosi kadłub.

— Mała wstecz...

— Mała wstecz!

A więc to nie mina. „Orzeł” schodzi z mielizny. Silniki na moment cichną i po chwili znowu grają równym rytmem. Okręt idzie pomału naprzód.

— Myślałem, że już — szepce Jasiński.

— Kiedy będzie „już”, nie zdążysz pomyśleć.

— I to racja.

Teraz mielizny zdarzają się częściej. Każda z nich wywołuje nieodmiennie tę samą obawę: „już czy nie już”, chociaż każdy wie, że swojego „już” i tak nikt nie spostrzeże.

„Jeżeli przeskoczym — myśli Grewka — to...” — i sam nie wie, jakie powziąć postanowienie. Że się urznie do nieprzytomności, to jasne. Ale to byłoby za mało, jak na taką okazję. „To... kurdebalans”... — kończy swoją myśl groźnie, ale niekonkretnie.

— No, opowiedz jakiś kawał — zaczepia Jasińskiego. Ten zamyśla się, ale i tym razem nic mu do głowy nie przychodzi.

— To było tak — zaczyna w końcu. — Rozumiecie, sztorm jak diabli. Przychodzi taki sobie pasażer do kapitana i mówi: „Jak tam, panie kapitanie...”

I znowu szurnięcie po mieliznie wstrzymuje na chwilę oddechy...

— „...„Jak tam, panie kapitanie? — ciągnie Jasiński. — Ocalimy się czy zginiemy?” A kapitan prowadzi go do mapy, pokazuje mały punkcik i mówi... i mówi...

Znowu lekkie szurnięcie.

— Co on, do cholery, mówi?!

— Panie bosmacie — Jasińskiemu zmienia się głos.

— No?

— Można... można tego... zapalić?

Prządak wytrzeszcza oczy. Palić w pomieszczeniu? „Czyście zwariowali?!” — chce zgromić Jasińskiego ale w tej chwili nowy zgrzyt przejeżdża pod stopką. Bosmanmat nadstawia uszu, po czym macha ręką.

— Palcie...

Jasiński wyjmuje papierosy, częstuje Grewkę i chowa je do kieszeni. Prządak wyciąga rękę.

— Daj sztachnąć!

— Pan... pan przecież...

— No, nie palitem — to co z tego? Raz spróbować można, no nie?

„Orzeł” tymczasem zbliża się do wyspy Saltholm. Kilka statków odłączyło się od karawany i skierowało się na Kopenhagę. Z dała wyblaskują światła latarni Oskarsgrund. Malmö rozplómiła się na niebie szeroką łuną. Wypadnie iść pod samym portem. Kilka reflektorów drąży ciemności, długimi palcami obmacując burty statków. „Orzeł” wtulony w wodę jest niski — reflektor przemyka nad nim. Ilekroć jego smuga zawisa nad pokładem, marynarze kurczą się, jak gdyby w obawie, że może ich porazić.

Statek idący przed nimi skręca do Malmö. Przez chwilę są odsłonięci. „Hamburg” powoli odwraca do nich swoją prawą burtę. Trzeba przeczekać, zanim nie zniknie zupełnie. Dopiero potem będzie można dołączyć do rozkawałkowanej karawany. Za Malmö będzie łatwiej. Większe głębokości dochodzące nawet do dwudziestu metrów zapewniają kryjówkę.

Z prawej wyskakują dwa okręciki. Dzioby ich lekko unoszą się w górę, na rufach działka.

— Ścigacze — wskazuje Mokwski.

Grudziński nie odpowiada. Wciąż ma pod dłoń przy-cisk klaksonu. Jeden nieopanowany ruch — alarm. Nieznane skutki. Obskoczą zowsząd jak psy rannego zwierza. „Orzeł” będzie się bronił, ale jak długo?

Ścigacze nie dostrzegają ich. Wesoło przemykają zataczając malownicze kręgi.

Wyspa Saltholm zostaje po lewej. Po prawej przesuwa się Malmö. Serca uderzają raźniej. Teraz przed nimi roztacza się szeroka przestrzeń cieśniny. Zwiększone głębokości dają konkretne nadzieje.

W październiku noce potrafią być potwornie krótkie, chociaż każda godzina rozciąga się w nieskończoność. Grudziński z niepokojem obserwuje wschód, w obawie, aby świt nie zburzył nadziei.

Trzeba etap pokonywać po etapie. Najtrudniejszy będzie przesmyk Helsingör — Hälsingborg — to tam, gdzie dwa lądy podają sobie dłonie.

Z lewej strony zamajaczył zarys lądu, z prawej rozbiły światła Landskrony.

— Wyspa Ven — szepce Mokrski wskazując na lewo.

Grudziński kiwa głową na znak, że rozpoznaje.

Suną cieniem za nieznanym frachtowcem, który od Malmö zmienił „Hamburga”. Brzegi ściskają ich coraz bardziej. Raz po raz macnie reflektor, przesunie się i uwrwie. Ręka drży na klaksonie.

„Jakby co — do brzegów szwedzkich...”

Dlatego Grudziński trzyma się wód Szwecji. Piasecki czuwa na dole. Kapitan z podziwem spostrzega, że Piasecki wykonuje wszystkie polecenia prawie w momencie ich wydawania, jakby obaj stanowili jeden wspólny organizm. Nastąpiło niezwykle scalenie się, zharmonizowanie myśli i ruchów tych dwu ludzi. A może to jedna i ta sama wola, jeden i ten sam cel potrafi tak sprzęgać? Jak to dobrze nie być samotnym! Zwłaszcza w takich momentach, kiedy ciężar dowodzenia przygniata poczuciem odpowiedzialności. Bezgraniczne wzajemne zaufanie może zrodzić potężną siłę. Taką siłę ma teraz „Orzeł”.

Światła Helsingöru i Hälsingborgu rozpinają nad przesmykiem triumfalny łuk. Pod tym łukiem przeciska się wśród frachtowców mały, wąty okręcik, w którym sześćdziesiąt serc uderza teraz rytmem wielkiej radości, wielkiego triumfu.

W szarej poświacie świtu milkną ostatnie mrugnięcia latarni przyładka Kullen.

Grudziński mocno i głęboko oddycha powiewem pełnego morza i daje znak. Włazy wypełniają się ludźmi.

Jasiński spogląda na niezgrabne, opierścienione korkiem sylwetki marynarzy.

— A co u was?

— W porządku.

— Jak na górze?

— Oho, bracie...

— Spróbowałbyś tu!

— Też niczego.

Kładą korki na miejsca, wypakowują dokumenty, fotografie, drobiazgi. Któryś tam zerknął do lusterka, przygląda włosy, przygląda się podcienionym oczom. Wachta obejmuje opiekę nad osieroconymi mechanizmami. Padają zwykle komendy. „Orzeł” pruje wody szerokiej przestrzeni Kattegatu.

I nagle... Przeciągly, długi dźwięk klaksonu paraliżuje serca.

Alarm. Teraz jest alarm dla wszystkich. Nie ma „tych z dołu” i „tych z góry”. Jasińskiemu palce skaczą jak opętane.

— Prędzej, do cholery!

Ktoś pnie się już w górę. Ktoś tarasuje drogę.

Z każdą sekundą zwiększa się tumult.

W ten gwar i szum wpada nagle głos Piaseckiego:

— Stać!

Wszystko zamiera w miejscu. W ciszy terkocą jednostajnie, obojętnie silniki. Syrena nie przestaje wyć.

— Kto zarządził alarm?

— Kto zarządził alarm?!

Piasecki i Grudziński patrzą na siebie z niepokojem. Elektrycy kontrolują przewody. Na załamaniu ścianki wykrywają wreszcie przyczynę niezamierzonego alarmu.

— Spicie...

— Cholera, akurat w takiej chwili...

— Dobrze, że nie godzinę temu...

Wszystkich opanowuje nagle wesołość.

— A gdybyś się tak pośpieszył i skoczył na łeb za burzę...

— „Orzeł” narobiłby bigosu...

Torbuz słyszy to ostatnie zdanie i twarz mu pochmurnieje.

— A ja inaczej myślę...

Ponieważ widać, że tai w sobie jakąś szczególną wiedzę niedostępną dla ogółu, skupiają się koło niego wszyscy.

— To nie przypadek — mówi z głębokim przekonaniem. — Ja zawsze mówiłem, że „Orzeł” to taki okręt, który morze ukochało szczególnie. I to on sam skorzystał z klaksonu, żeby się ucieszyć na widok „prawdziwego” morza.

Po tych słowach nikt, jak to zazwyczaj bywało, nie zadzwiał z Torbusa. Wszyscy przyjęli jego twierdzenie jak najpoważniej.

Dziwili się tylko sobie, że przedtem nie wzięli pod uwagę tak prostej i oczywistej prawdy,

VI. Spotkanie na morzu

Kapitan Smith przeciągle ziewnął, ułożył się wygodnie na kanapie i bezmyślnie popatrzył w sufit. Przyszło mu do głowy, że świat jest urządzony głupio i on, Smith, gdyby to od niego zależało, urządziłby go zupełnie inaczej. Zaczął już snuć konkretne plany na ten temat, kiedy do drzwi ktoś zapukał.

Smith przez chwilę próbował domyślić się, kto to może być. Nie mógł to być nikt z obsługi „Mathews-Hotel”, bo wiadano powszechnie, że o tej porze kapitan Smith odpoczywa i nie należy mu w tym przeszkadzać, by nie narazić się na wielką nieprzyjemność. Nie mogła to być Dolly, gdyż wczoraj kategorycznie oświadczyła, że nawet nie myśli go odwiedzić, a pod tym względem można było jej wierzyć. Nie mógł to też być żaden z kolegów, gdyż w tym czasie, nudząc się straszliwie w tej przekłetej dziurze, z całą pewnością wyszli na przechadzkę. Mógłby to być więc jedynie ktoś z dowództwa, i to w jakiejś pilnej sprawie. Jeżeli zaś ktoś z dowództwa, to nikt inny jak tylko ten piegowaty i rudawy Fred. Aby sprawdzić, czy jego rozumowanie jest słuszne, powiedział głośno:

— Wejść!

Spojrzał w kierunku drzwi i odczuł coś w rodzaju triumfu.

Przed nim uśmiechała się głupkowato pucołowata,

sympatyczna twarz Freda. Smith popatrzył na jego czerwone policzki i pomyślał, że takich policzków pozazdrościłaby mu nawet urodziwa panna.

— Co tam? — zapytał łagodnie.

— Dowódca prosi pana do siebie — zsalutował marynarz. — Powiedziano mi, że sprawa pilna.

Smith usiadł na kanapie.

— Dziękuję ci, Fred! — powiedział do chłopca. — Zaraz tam będę.

Jego cywilna dusza wciąż jeszcze nie mogła się nagiąć do wojskowego trybu życia. Dziwił się, że nawet poważni ludzie zaprzatają sobie głowę wojną i wymyślają wciąż nowe kłopoty. Wojna podobno była. Czytał o niej w gazetach, słyszał przez radio, ale osobiście do tego czasu nie zdarzyło mu się zetknąć z nią bezpośrednio. Rozkazy wykonywał sumiennie i starannie, ale bez większego przekonania, że naprawdę służą one jakiemuś konkretnemu celowi.

W dowództwie wręczono mu kopertę i polecono wyjść na morze. Smith obracał kopertę w dłoniach jak intrygującą zabawkę. Trochę go śmieszyła ta tajemniczość, ale znacznie więcej bawiła.

Jego destroyer „Valorous” stał w porcie, zawsze gotów do wyjścia. Smith zawdzięczał to w dużej mierze swemu zastępcy Corbesowi, który w przeciwieństwie do niego przejmował się bardzo swoją rolą. Mimo różnych charakterów obaj w dość krótkim czasie zdążyli żyć się, a nawet polubić. Corbes był młodszy, ale już miał żonę i dziecko, podczas gdy Smith poprzysiągł sobie kawalerstwo do końca życia. To mu jednak nie przeszkadzało cierpliwie wysłuchiwać opowiadań Corbesa o niezwykłych wprost talentach Corbesa juniora liczącego trzy miesiące oraz o niezrównanej słodyczy jego matki.

Corbes z chwilą wyjścia za reddy stawał się tak czujny

i pilny, iż obserwując go Smith stwierdzał, że jego czujności i uwagi starcza akurat na nich obu.

Wyszli z Rosyth późnym wieczorem, kiedy morze było pochłonięte przez mrok. Smithowi wydawało się głupie to wygaszanie świateł, ale opinią swoją nie podzielił się z Corbesem. W pół godziny po wyjściu koperta w kasie pancерnej zaczęła Smitha denerwować. Równy w godzinę później rozerwał ją niecierpliwymi dłońmi, przeczytał i zmarszczył czoło.

— Popatrz, jakiś Polak... — podał pismo Corbesowi. Dowództwo podawało współrzędne, w których mieli się spotkać z jakimś polskim okrętem podwodnym o dziwnej nazwie oraz poprowadzić go do Rosyth.

Kapitan poczuł się zawiedziony. Spodziewał się znacznie ciekawszego zadania. W Rosyth poznał już kiedyś pewnego polskiego kapitana. Przez dłuższą chwilę nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska. Było też dziwaczne: Kawczyk, Krawczyk czy coś takiego. Ten człowiek imponował mu zachowaniem się pełnym skromności i godności jednocześnie. Znacznie niższy od niego, przy rozmowie patrzył prosto w oczy, tak jakby nigdy nie miał nic do ukrywania i jakby zawsze miał rację. Opowiadano o nim, że dokonał w czasie tej wojny niezwykłego wyczynu, ale o co chodziło Smith już dokładnie nie pamiętał.

Korzystając z tego, że Corbes urzędował na pomoście, Smith wypoczywał w mesie.

HMS „Valorous”, destroyer nie pierwszej młodości, bo zbudowany w 1917 roku, był jeszcze niezłym okrętem. Wprawdzie nie miał zbyt wielkiej szybkości, ale Smithowi, jak wiadomo, nigdy i nigdzie się nie śpieszyło. Oficjalna szybkość: dwadzieścia cztery węzły, nie była w zgodzie z praktyczną — szesnaście, osiemnaście węzłów, ale i to było całkowicie wystarczające. Co prawda wracać będą

znacznie wolniej, gdyż taki okręt podwodny... zaraz, ileż on może robić węzłów? Jeśli niektóre okręty z dywizjonu „T” — „Tryton”, „Tryumph”, „Trident” — praktycznie robiły dziesięć — dwanaście węzłów, to ten Polak na pewno nie więcej, a raczej tylko mniej. A więc osiem — dziewięć. „Dobre i to” zgodził się Smith i ułożył się wygodniej, żeby się zdrzemnąć.

Sen jednak nie nadchodził i kapitan zaczął snuć swoje plany na temat lepszej organizacji świata.

Corbes z wysokiego pomostu spoglądał na pokład. Na dziobie spoczywały nieruchome, ciemne kształty luf artylerii głównej, za nimi jeżyły swe kolce najcięższe karabiny maszynowe zwrócone ku niebu. Pod taką opieką czuł się pewniej i bezpieczniej.

„Valorous” szedł równo, odkładając pieniste skiby wodne. Noc była ciemna i chłodna. Corbes rozcierał zziębnięte dłonie, rzucił okiem na mapę i stwierdził, że od celu drogi dzieli ich jeszcze parę godzin. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po chustkę i namacał kancik twardego kartonu. Wyjął go i przyjrzał się. Z fotografii patrzyły na niego duże, wyraźne oczy dziecka o pełnej, okrągłej twarzy.

— Bobby... — szepnął Corbes i schował fotografię do kieszeni. Rozejrzał się dokoła i stwierdził z zadowoleniem, że nikt nie był świadkiem tej chwili słabości. Przesunął rączkę telegrafu maszynowego. Z dołu odpowiedziano mu dzwonkiem i szybszymi obrotami. Zaczął się niecierpliwić. Wiedział jednocześnie, że gdyby już byli w drodze powrotnej, niecierpliwość ta byłaby jeszcze większa. Pojutrze miał dzień wolny i zamierzał zajrzeć do domu. Teraz jednak starał się o tym nie myśleć.

W kilka godzin później horyzont zaczął szarzeć świtem. Zrobiło się jeszcze chłodniej. Smith jakby wyczuł zmęczenie kolegi, gdyż zajrzał na pomost. Corbes po-

patrzył na niego. Nie miał powodu, żeby mu nie ufać, ale zawsze wydawało mu się, że ilekroć nie jest na pomoście, okrętowi grozi niebezpieczeństwo i tylko on potrafi go przed nim uchronić.

Jednak mimo pewnego niepokoju ustąpił miejsca i zszedł do mesy.

Smith spozjrzał na zegarek. Dochodziła godzina ósma. Powinni już być w pobliżu miejsca spotkania. Przejechał lornetką po horyzoncie. Ciągnął się dokoła równą kolistą linią. Smithowi wydawało się nagle, że jest w samym środku świata. To było śmieszne uczucie.

Nie zmieniając kursu ani szybkości szli naprzód. W pół godziny później Smith zaczął się poważnie niecierpliwić. Jeśli ten polski okręt nie zbłądził, powinien lada chwila się pokazać. Teraz już lornety nie wypuszczał z ręki.

Corbes tymczasem kręcił się na miejscu, przewracał się z boku na bok i nie mógł zasnąć. Drepczyła go myśl, że niepotrzebnie opuścił pomost. Wprawdzie admiralicja nie sygnalizowała w tym rejonie żadnych niebezpieczeństw, ale admiralicja nie może przecież wiedzieć o wszystkim. Nie wiadomo, czy depeszy, nadanej przecież otwartym tekstem przez polski okręt, nie przejął jakiś inny, niemiecki okręt podwodny. I teraz właśnie, kiedy wchodzą w rejon spotkania, sylwetka „Valorousa” być może rysuje się w całej swojej okazałości w okularze peryskopu podwodnego rozbójnika. Może teraz właśnie dowódca „ubotu” manewruje, aby zająć dogodną pozycję do ataku i za chwilę dwie torpedy wyskoczą z apartów, aby dosięgnąć burty destroyera...

Corbes cały spocony stanął na równe nogi, nasunął czapkę i pędem poleciał na pomost. Smith stał najzupełniej spokojnie. Corbes podszedł bliżej.

— Duszno, wolę już świeże powietrze — powiedział na widok zdziwionych oczu Smitha. — A poza tym lu-

bie patrzyć na morze — przesunął wzrokiem po rozfalowanej powierzchni. — Podłuch nic nie meldował? — zapytał.

Kapitan zaprzeczył głową.

Corbes chciał jeszcze o coś zapytać, kiedy nagle wydało mu się, że jakiś ciemny drążek przejechał po dolinie fali i natychmiast przykryty został nadbiegającym wałem wodnym. Zjawisko to trwało tak krótko, że byłby już skłonny wziąć je za złudzenie, gdyby nie to, że w odległości niecałych dwu kabli jedna z fal znieruchomiła, spieniła się i całkowicie sparaliżowany zdumieniem Corbes ujrzał, jak z głębin wysuwa się podłużny, ociekający wodą kształt kiosku, a następnie spiczasty dziób okrętu podwodnego.

Stało się to tak nagle, że Corbes nie zdążył nic powiedzieć i tylko trącił Smitha w łokieć. Obaj patrzyli z najwyższym podziwem na widoczny już całkowicie kadłub okrętu. Obaw już nie mogło być żadnych. Musiał to być ten właśnie, polski okręt, któremu szli na spotkanie. Nieprzyjaciel zachowałyby się zupełnie inaczej.

— Co pan myśli o naszym podłuchu? — zapytał zdenerwowany Corbes.

— Myślę to samo, co i pan — odpowiedział flegmatycznie Smith — tylko może w mniej brzydkich słowach. Zresztą nie wiadomo, czy w tym wszystkim więcej jest winy naszego podłuchu, czy umiejętności tamtych.

— Tak czy inaczej, warto o tym pamiętać.

„Orzeł” na małych obrotach podchodził od zawietrznej. Smith dał „stop” i „Valorous” zakołysał się na fali. „Orzeł” stanął opodal.

Smith wziął tubę i przechylił się przez reling.

— Jak się macie? — zapytał. — Czego wam brak?

Wiatr porwał słowa i rzucił je na fale. Kapitan musiał powtórzyć. Z dołu poproszono o wodę. O nic więcej.

W pół godziny później Smith objął dowództwo.

— Pójdziecie moim śladem — przykazał na „Orła” i zaczął wykręcać na powrotny kurs. Kapitan obejrzał się. Polak szedł równo za nim. Szybkość ośmiu węzłów denerwowała Corbesa, ale nic nie mówił. „Trudno wymagać” — pomyślał i machnął ręką. Ale Smith odgadł jego myśli. Jego też podobne tempo zaczęło nudzić.

— Możecie robić dziesięć węzłów? — zapytał „Orła”.

— Możemy.

— All right. Trzymajcie kurs. My będziemy zygzakować!

Pomysł Smitha spodobał się Corbesowi. Choć nie zbliżali się przez to szybciej do celu, jednak zygzakowanie sprawiało takie wrażenie. Poza tym HMS „Valorous” rzeczywiście nie mógł iść mniejszą prędkością. Stawał się niesterowną i niezgrabną łajbą. Smith obserwował przez jakiś czas „Orła” i z zadowoleniem stwierdził, że doskonale daje sobie radę z tą szybkością.

— To niezły okręt! — podzielił się swą opinią z Corbesem.

— O, tak...

Corbes też nie miał powodu się uskarżać. Z lubością dotykał fotografii w wewnętrznej kieszeni. Jednodniowy wypad do Edynburga stawał się bardziej realny niż przed godziną. Smith był zadowolony z siebie, Corbesa, „Valorousa” a nawet z tego polskiego okrętu. Pogoda była niezła i wszystko sprzyjało. To go nastrajało optymistycznie. Postanowił ucieszyć się jeszcze bardziej. Zbliżył się do „Orła” i zapytał:

— Wszystko w porządku?

— Tak jest, wszystko...

Smith się uśmiechnął trochę złośliwie, a trochę dziecinnie.

— Możecie robić dwanaście węzłów?

— Możemy.

— Very well! Trzymajcie kurs, my będziemy zygakować... — powiedział wesoło i zwrócił uśmiechniętą twarz do Corbesa.

— W ten sposób będziemy w domu wcześniej — dodał i obaj uśmiechnęli się przyjaźnie do siebie i do nie znanego im jeszcze bliżej okrętu, którego kształt przemykał rażno wśród fal niezmiennym kursem.

Smith jednak nie byłby Smithem, gdyby nie opanowała go nagle gorączka gry. Wyciągnął dłoń do Corbesa i powiedział:

— Założę się, że oni pójną na czternastu węzłach także.

Corbes uśmiechnął się sceptycznie.

— Słyszałem, że mają uszkodzenia...

— Tym większe ma pan szanse wygrania.

Corbes zawahał się. Jeśli zrezygnuje z zakładu Smith nic tamtych nie zaproponuje i będą szli tak jak teraz. Jeśli zaryzykuje, to jego przegrana i tak będzie wygraną: będą wcześniej w domu.

— Stoi! — podał rękę.

Podeszli znowu do „Orła”.

— Dobrze idziecie! — pochwalił Smith, żeby przygotować grunt pod nową propozycję.

— Tak chcieliście...

— Bardzo dobrze... — powtórzył i zaczął chwilę, żeby zrobić tym większe wrażenie.

— A czternaście węzłów — możecie?

Na okręcie podwodnym zapadła cisza.

— Możemy...

Corbes podskoczyłby chętnie do góry. To samo uczyniłby z pewnością Smith, gdyby to oczywiście w tej chwili wypadło.

— Świetnie! — odpowiedział. — Trzymajcie kurs, my będziemy zyg... — Ugryzł się w język — zygakowanie

stawiało się w zasadzie już niepotrzebne. Potrzebna natomiast stawała się obrona honoru „Valorousa” — ...będziemy zygzakować — dokończył mimo wszystko, ale trochę ciszej.

Ten jednak dzień Smith musiał zaliczyć do dni pełnych niespodzianek. „Orzeł” przejął wezwanie na szesnaście, a następnie i na osiemnaście węzłów. Teraz rzeczywiście „Valorous” nie potrzebował zygzakować. „Orzeł” ani na chwilę nie pozostawał w tyle, podążając w ślad za destroyerem jak gdyby związany z nim niewidzialnym holem.

Smith zszedł na rufę i obserwował idący z tyłu okręt podwodny. Podziwiał jego nowoczesną linię i zgrabną sylwetkę. Zapragnął czym prędzej poznać ludzi, którzy nim dowodzili i którzy go obsługiwali. Na pokładzie okrętu stało kilka osób, było jednak za daleko, by nawet przez lornetkę rozpoznać ich twarze.

Powrócił więc na pomost, gdzie oczekiwał go Corbes. Oficer był dobrej myśli. Teraz najprawdopodobniej nic mu nie przeszkodzi w spędzeniu miłego dnia w Edynburgu. Czuł wielką wdzięczność i sympatię do ludzi z polskiego okrętu. Zapowiadali się na dobrych towarzyszy broni, jeśli mimo uszkodzeń okrętu, o jakich im sygnalizowano w Rosyth, nadąży on za w pełni sprawnym destroyerem.

„Orzeł”, idący śladem torowym „Valorousa”, nagle zboczył z kursu, wysunął się do przodu i szedł tak na wysokości pomostu destroyera. Smith mógł mu się przyjrzeć teraz lepiej. Z boku wyglądał jeszcze ładniej. Zaintrygował go manewr podwodnego okrętu. Czyżby mieli już dość tej szybkości? Prawdę powiedziawszy, nie dziwiłby się temu. Oni nawet „Valourosem” nie chodzili szybciej niż osiemnaście węzłów. To była ich praktyczna maksymalna. Nie zauważył jednak na pomoście pod-

wodnego okrętu żadnego ruchu. To go uspokoiło. Szli tak przez jakiś czas, burta w burłę.

Trochę staromodna linia „Valorousa” kontrastowała z „Orłem”. Destroyer w zestawieniu z okrętem podwodnym wydawał się duży i potężny. Wysoka wieża przesunięta na dziób sterczała wyniosłe nad morzem. „Orzeł” przy nim nikł i rozpływał się w wąską, długą kicę, nie wiadomo jakim cudem zdolną do szybkiego przemykania wśród fal.

Smith jednak nie mylił się. Okręt podwodny rzeczywiście chciał z nim rozmawiać. Zmniejszono szybkość.

— Jak się macie? — zapytał „Orzeł” trochę zaskoczonego tym Smitha.

Można, rzecz jasna, być uprzejmym, ale dlaczego owe uprzejmości wymieniać właśnie teraz? Ostatecznie przywitano się jak należy, a na nawiązanie bliższych stosunków będzie czas w porcie. Mimo to odpowiedział:

— Dziękuję, bardzo dobrze!

— A czy możecie robić dwadzieścia węzłów?

Smith zbaraniał. Czy tamci kpią, czy też naprawdę... Odmówić nie można za żadną cenę. Ale poczciwego „Valorousa” też mu się nie chciało za bardzo eksploatować. Ambicja jednak przeważała.

— Możemy! — zdecydował się.

— Very well! — posłyszał w odpowiedzi. — Trzymajcie kurs, my będziemy zygzakować...

„Orzeł” rzeczywiście wysunął się przed dziób destroyera i zaczął zygzakować.

Smith z początku spochmurniał, a później roześmiał się na cały głos.

— To jest dobre, to jest dobre... — powtarzał do nie mniej zaskoczonego Corbesa. — Nie słyszałem jeszcze, żeby podwodny prześcignął destroyera. Brakuje, żeby nas wzięli na hol...

Tego dnia wieczorem oba okręty zacumowały w Rosyth. Smith zostawił Corbesa i czym prędzej poleciał na „Orła”. Kiedy wprowadzono go do Grudzińskiego, uścisnął jego rękę i powtarzał coś w kółko. Grudziński niestety nie rozumiał, więc tylko z uśmiechem mógł dzielić radość tamtego. Z pomocą przyszedł Piasecki.

— Pan kapitan twierdzi — tłumaczył porucznik — że z czymś podobnym nie spotkał się jeszcze. I ma do nas pretensję...

Smith kiwał głową domyślając się słów Piaseckiego.

— O, yes, yes, pretensje...

— Ale o co chodzi? — zdziwił się Grudziński.

Piasecki wysłuchał Smitha i nagle parsknął śmiechem. — Zobacz... — wskazywał na komin „Valorousa”, szerniały i spalony od nadmiernej szybkości.

Smith z ciekawością oglądał urządzenia „Orła”. W pewnej chwili zatrzymał się.

— Byłbym zapomniał — wymachiwał ręką — w Dundee jest przecież wasz drugi okręt podwodny.

— Czyżby? — zdziwił się Piasecki.

Smith zmarszczył czoło i brwi, cmoknął kilka razy, ale nazwy okrętu jakoś nie mógł sobie przypomnieć.

— O! — wykrzyknął wreszcie. — Jest: „Uajlk”.

— „Uajlk”?

— „Uajlk”!

Piasecki uśmiechnął się.

— To nie nasz!

— Wasz — skinął głową z przekonaniem Smith. Wyjął i napisał na kartce papieru: „Wilk”.

— „Uajlk” — przeczytał.

Teraz dopiero Grudziński i Piasecki przypomnieli sobie meldunek Koteckiego, w który Kłoczkowski nie mógł czy też nie chciał wierzyć.

Wiadomość podaną przez Smitha potwierdzili wszyscy

goście, którzy tłumnie zjawili się na „Orle”, ściągnięci nieprawdopodobną historią, rozgłoszoną już przez załogę „Valorousa”. Przybył także lekarz, dokonał pobieżnych oględzin pozostawiając na dzień następny gruntowniejsze badania.

Przed snem Brzęczka i Prządak wyszli na pokład. Port w Rosyth przerażał swą rozległością, która zwłaszcza teraz, wieczorem, wydawała się jeszcze bardziej nieogarniona i obca. Po emocjach ubiegłych dni obu ogarnął dziwny spokój. Nie odczuwali jednak pełnej radości. Obaj milczeli, ale ich myśli musiały się gdzieś spotkać, gdyż w pewnej chwili Jasiu kiwnął głową i westchnął głęboko.

— Och! Kurdebalans...

— Tak — zgodził się Prządak — żeby to była Gdynia!

Brzęczka zdziwił się:

— Ty skąd wiesz, że ja...

— To chyba jasne.

VII. Na łądzie

„Orzeł” po przeszło dwumiesięcznej kuracji w Dundee powrócił do bazy w Rosyth.

Jesień tego roku była ospała, niechętna i niemrawa. Mgła wisiała szaro i nudnie nad Rosyth, Dundee i Dumperline i zdawałoby się, że swą wilgotną pajęczą nicią pokrywa cały świat.

W Dundee, kiedy „Orzeł” stanął na doku, inżynier, który miał pokierować remontem, obejrzawszy okręt ze wszystkich stron, złapał się za głowę. „Jak można było na takim czymś się dowlec?” — zapytywał sam siebie i każdego, kto był w stanie poinformować go szerzej o przygodach dziwnego okrętu. Rzecz jasna, inżynier żadną miarą nie chciał uwierzyć w to, że „Orzeł” nie tylko sam się dowłókł, lecz prześcignął brytyjski destroyer, który wyszedł mu na spotkanie.

Okręt rzeczywiście wyglądał nieszczególnie. Kiosk był postrzelany jak sito. W jaki sposób nikt ze znajdujących się w nim w czasie ucieczki z Tallinnu nie został zabity lub ranny — było zagadką nawet dla samej załogi. Dziób wraz z piłą do przecinania sieci nosił ślady nieміłego zetknięcia się z tallińskim falochronem, a kiedy i gdzie została zgubiona osłona steru, tego już nikt nie był w stanie powiedzieć. „Lewicowe” skłonności „Orła” wyjaśnione zostały całkowicie dzięki wykryciu skrzywienia

steru kierunkowego. Zagadką jednak pozostawała nadal prawie nie zmniejszona prędkość „Orła” przy wyszczerbionych piórach obu śrub.

Wobec tych wszystkich uszkodzeń awaria sprężarki, którą Kłoczkowski uznał swego czasu za jeden z zasadniczych powodów zawinięcia do Tallinnu, wydawała się niepoważna.

Inżynier patrzył, oglądał i kiwał głową. Jeden Torbus nie był ani zaskoczony, ani zdumiony.

— „Orzeł”, e, „Orzeł”! — jak zawsze w jednakowych dwu słowach wyrażał zachwyt, dając jednocześnie do zrozumienia, że jego okręt potrafi dać sobie radę nie tylko z tym.

A „Orzeł” się leczył. Pod czułą opieką oficerów i marynarzy, którzy odwiedzali go codziennie w doku, leczył rany, zdrowiał.

Żałoga zamieszkała w „Sailor’s home”, oficerowie w hotelu „Mathews”. Pracę w stoczni nadzorowali tylko w tych godzinach, w których trwała robota na „Orle”. Reszta dnia była wolna. Jakoś trzeba było ten czas zapłacić. Nie można powiedzieć, aby się o nich nie zatroszczono. Każdy otrzymał wolny wstęp do kina, na sztuczne lodowisko lub basen. Ale to jeszcze nie wszystko. Tam gdzie kończyła się opieka władz oficjalnych, zaczynała opieka nieoficjalna miejscowej ludności, a zwłaszcza jej żeńskiej połowy.

Którejś niedzieli, kiedy wszyscy już układali się do snu, w ostatniej chwili wpadli na salę Olejnik, Piegza i Pokrywka.

Piegza podszedł do swego łóżka, rozebrał się i usiadł na krawędzi. Olejnik popatrzył w jego stronę i nic nie powiedział. Pokrywka zdjął z trzaskiem trzewiki, westchnął, nakrył głowę kocem i zwinął się w kłębek.

— Śpisz? — zagadnął go Piegza.

Tamten wysunął głowę, chwilę patrzył uważnie.

— Masz tu dobrze? — Puknął się w czoło. — Kiedy miałbym zasnąć.

— A mnie się spać nie chce.

— To nie śpij! Kto ci każe? — Znow nakrył się kocem.

Piegza przespacerował się, usiadł na krawędzi łóżka.

— Daj mu spokój — wtrącił się Olejnik. — Co ciebie napadło?

— Ech, niby koledzy — westchnął Piegza — a pogadać nie ma z kim. Męcz się, duszo, sama, kiedyś głupia.

— Masz coś na wątrobie? — zatroszczył się Olejnik.

— Wiesz... poznałem taką jedną... Nieładna, a ciągnie. Co to może być? Siedzę, patrzę na nią i myślę, że nasze były fajniejsze, ale ta też jakaś taka... sam nie wiem. Jak siedzę z nią, to mi nudno. Na migi gadamy. Ale jak odchodzę, to mi żal. Ot, głupi człowiek! — plasnął się w czoło. — Jak myślisz, Janek, nie głupi?

— Ja wiem... — burknął Olejnik. — A ona, co? Lubi ciebie?

— Chyba tak... to znaczy tak mi się zdaje. Nie wiem. Włosy to ma takie bardziej jasne, kręcone, lubię takie, Eleonora ma na imię, wiesz? Z Crossmouths...

— Skąd?

— Przecie mówię: z Crossmouths...

Olejnik uniósł się z łóżka, usiadł na jego krawędzi, nogi bose dyndały śmiesznie tuż nad podłogą.

— A oczy ma jakie nie szare?

— Może i szare, ale po mojemu bardziej niebieskie niż szare. Znasz ją?

— Kto, ja? — Olejnik ocknął się z zamyślenia. — Nie... chyba nie. Moja — to Ewelina. Tylko że też z Crossmouths. Dziwne, nie?

— Dlaczego dziwne?

— Bo też ma takie włosy, jak ty mówisz, kręcone i jasne.

Pokrywka nie mógł zasnąć. Zsunął koc z głowy, patrzył na nich podejrzliwą dociekliwością.

— Co się zgrywacie? — głos miał ochryply, wyrwany z senności. — Który z was widział ją ze mną?

— Niby kogo i z kim? — spytał spokojnie Olejnik, chociaż widać było, że go ruszyło.

— Mnie z Elisabeth. Co robicie ze mnie wariata? Myślicie, że się was boję? Proszę bardzo, umówiłem się z nią na jutro na szóstą...

— A co mnie obchodzi twoja Elisabeth? — burknął Piegza.

— Mnie też nic — zdeklarował się Olejnik.

Pokrywka nie wytrzymał. Odrzucił koc, usiadł na łóżku, przerzucał wzrok z Olejnika na Piegzę i z powrotem.

— Bałwany! — orzekł po tej dość długo trwającej obserwacji. — Bałwany — powtórzył kładąc akcent na drugiej sylabie. — Moja Elisabeth jest z Crossmouths, ma włosy takie, jak mówicie i oczy szaroniebieskie. Przyjrzałem się dobrze. Mogę wam powiedzieć nawet, że bardzo dobrze — z bliska. I ona was obu robi w konia, jasne?

— Skąd wiesz, że to jedna i ta sama? — Posiane ziarno wątpliwości zaczynało w Olejniku kiełkować. Zawarł szczęki, oczy nabrały blasku, palce zaciskały się nerwowo i nawet ruch dyndających nóg stał się szybszy.

— Skąd, skąd? — kpił Pokrywka. — W cuda wierzysz? Eleonora, Ewelina i Elisabeth, wszystkie z Crossmouths i wszystkie takie same? Jedna jest prawdziwa — moja! Elisabeth. Możecie jutro zobaczyć!

— Nie zobaczę — ponuro odparł Olejnik. — Umówiłem się na piątą.

— A ja na czwartą — dodał Piegza.

— O, tyle przyjdzie! — Pokrywka demonstrował „figę”. — Chociaż... na czwartą... piątą... szóstą...

— To zobaczymy!

— Zobaczymy!

Tej nocy, żaden z nich nie miał spokojnych snów. W ciszy, w rozmyślaniach odgrażali się sobie wzajemnie, obiecując nieokreślone jeszcze odwety.

Nazajutrz Piegza wyruszył pierwszy. Z niepokojem oczekiwał Eleonory. Odetchnął z ulgą, kiedy przyszła. Pocałował ją w rękę, co skwitowała wilgocią oczu pełnych ufności i oddania. Spacerowali po mieście, oglądali witryny sklepów, Piegza dyskretnie obserwował zegarek, kiedy zbliżała się godzina piąta, a Eleonora nie zdradzała chęci powrotu do domu, był pełen szczęścia i dumy. „Olejniki przepadli” — myślał złośliwie. Pozostawał jeszcze Pokrywka.

O godzinie szóstej swój triumf mógł uznać za całkowity: jeszcze nigdy Eleonora nie wydawała się tak szczęśliwa, jak tego wieczoru i sprawiała wrażenie, że smuci ją jedynie zbliżająca się godzina rozstania.

Na dworcu przed odejściem pociągu z pełną satysfakcją oczekiwał przybycia rywali. Eleonora trzymała go wciąż pod rękę. Był wdzięczny jej za to. Niech widzą, niech zobaczą, jaka jest prawda!

Olejniki przyszedł drugi. Z Ewelini. Tak ją przedstawił. Pokrywka też nie kłamał. Jego Elizabeth mogła uchodzić za siostrę Ewelini i Eleonory.

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie i ryknęli nagle tak głośnym śmiechem, że przechodzący stary kolejarz zatrzymał się, obejrzał ich z góry na dół i kiwając głową powlókł się zamyślony wzdłuż peronu.

— Dobra jest — podsumował całe wydarzenie Pokrywka. — Sprawa wyjaśniona. A przepustka może być teraz wspólna dla wszystkich: jeden plus dwóch...

Z Dundee do Rosyth było zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Ze stoczną więc i miastem nie żegnano się „na zawsze”. Niejednemu zresztą trudno było jednym cięciem zerwać, jak to określił Torbus, „subtelne z charakteru, lecz mocne z natury” więzy.

Po powrocie do Rosyth „Orzeł” przydzielony został do II Flotyli Okrętów Podwodnych.

HMS „Forth”, nowoczesny okręt zbudowany zaledwie rok temu, stał się bazą Flotyli. Jak wielka kwoka tulił do swego kadłuba małe okręciki-pisklęta, których było tu sporo. Dywizjon „T” brytyjskich okrętów podwodnych „Tryton”, „Tryumph”, „Trident” i inne korzystały z bazy tak samo jak „Wilk” i „Orzeł”.

Pierwszego dnia po przybyciu Brzęczka natknął się na piegowatego i pucółowego marynarza w mundurze angielskim. Spotkali się na długim wąskim korytarzu i Brzęczce zdawało się, że marynarz chce zastąpić mu drogę. Jasiu skrzywił się i mięśnie na twarzy mu zagrały. Miał już na języku ostre: „spływaj, bracie”, kiedy okrągła twarz rozjaśniła się w rozbrajającym uśmiechu.

— Fred — wyciągnął tamten rękę.

— Jasio — odpowiedział z powagą Brzęczka.

Tego samego dnia Brzęczka poznał Freda z Felkiem Prządakiem, Piegzą i Pokrywką. Fred wytrzasnął skądś butelkę najprawdziwszej whisky i przyjaźń została przypieczętowana. Fred okazał się nader gościnnie, był bardzo chętnym przewodnikiem, przejawiał wielką chęć do nauki języka polskiego. Tego, że zaczął od przekleństwa, nie trzeba brać za złe ani jemu, ani jego nauczycielom. Tak się akurat złożyło.

Fred miał szczęście do Polaków. To on właśnie zawiadomił Smitha o tym, że ma wyjść na spotkanie „Orła”. Później przeniesiono go do dowództwa, gdzie pełnił obowiązki radiotelegrafisty utrzymującego łączność z okręta-

mi podwodnymi na morzu. Jako zadomowiony lokator HMS „Forth” oprowadzał swoich gości po tym wygodnie i niemal luksusowo urządzonej pływającym hotelu.

Przyprowdziwszy swych gości do jednego z pomieszczeń, wskazał na długie rzędy szafek.

— To wasza szatnia i magazyn.

W sąsiednim pomieszczeniu inny marynarz angielski przechodził obok identycznych szafek i starannie je plombował.

Fred spojrzął i jego wesoła twarz zasepiła się.

— Co on robi? — zainteresowali się.

Fred nie od razu odpowiedział. Śledził kroki marynarza uważnie, jak gdyby jego czynności miały szczególne znaczenie.

— Widzicie, u nas jest tak — westchnął — jeżeli któryś z okrętów nie powróci z patrolu, plombują osobiste rzeczy załogi i później wysyłają je do rodziny. No i właśnie...

Zwykła czynność plombowania szafek wydała się nagle wszystkim tak przykra, jak przymykanie wieka trumny. Nie znali tych marynarzy, nie wiedzieli nawet z jakiego są okrętu, a jednak żal ścisnął gardła.

— Czy oni się nie pośpieszyli z tymi szafkami? — zapytał cicho Piegza. — Mogło być opóźnienie, awaria...

Fred machnął zdecydowanie ręką.

— Jeżeli plombują, to znaczy...

Szef Sztabu Flotyli, komandor Ionides, nie śpieszył z wyznaczeniem zadań bojowych załodze „Orla”, mimo że pobyt na lądzie zaczął dokuczać już każdemu. Ślizgawka, kino, teatr przestawały być atrakcją. Grudziński obawiał się rozluźnienia dyscypliny, czego oznaki były już widoczne. Nie chodziło tu tylko o dyscyplinę formalną, niepunktualność lub niestaranność, ale o coś, co groziło poważniejszym rozprężeniem. Kapitan zaczął nast-

wać na jak najszybsze wyjście na morze, przypuszczając, że warunki życia na morzu, zwłaszcza przy wykonywaniu zadania bojowego, sprzęgną wszystkich jak dawniej. Tymczasem wciąż jeszcze wyjść na morze nie można było. „Orzeł” wprawdzie odzyskał swe dawne zdolności morskie, ale bez uzbrojenia przedstawiał jedynie bezbronny obiekt, łatwy do zniszczenia.

Anglicy nie mieli torped francuskich, których używał „Orzeł”. Kaliber 550 mm trzeba było więc zmienić na 533 mm. Trzeba było przygotować aparaty, wstawić reduktory, przeprowadzić próby, zmienić działo, które nastroczało najwięcej kłopotu.

Oczekiwanie z dnia na dzień wyjścia na morze zaczęło wszystkim dokuczać. Komandor Ionides dziwił się tej niecierpliwości Polaków i nie potrafił jej zrozumieć. Śpieszyli się jak gdyby w obawie, że wojna się skończy bez ich udziału.

A Piasecki z Grudzińskim niepokoili się coraz bardziej. Mieli dziwne uczucie, że popełnili wobec załogi błąd. Bolesny, tym boleśniejszy, że nie do naprawienia. Zresztą zdarzały się fakty, które mogły uzasadnić nastroje załogi i rozczarowania, jakie opanowały załogę.

Przede wszystkim oficjalne uroczystości.

Przywitano ich tak, jak tylko mogli o tym marzyć. Grudziński otrzymał wysokie odznaczenie angielskie D.S.O. Załoga musiała zadowolić się jedynie słowami zachwytu, ale nie miała o to pretensji do gospodarzy. Żale przyszły dopiero później. Przede wszystkim wobec tak licznych dowodów uznania ze strony Anglików tym boleśniej odczuwano brak jakiegokolwiek zainteresowania się nimi władz polskich w Londynie. Dopiero w jakiś czas później przyjechał z Londynu attaché morski, komandor Stoklasa. Gładki, przystojny, elegancki. Bardziej dyplomata niż marynarz — jak o nim mówiono. Rozmawiał z Grudziń-

sk... kapitanem Krawczykiem, dowódcą „Wilka”, po czym po jego wizycie rozeszła się wieść:

— Admirał ma przyjechać z Paryża.

Niektórzy się nawet dziwili, co admirał ma do roboty we Francji, kiedy cała flota jest w Anglii, ale machnięto w końcu na to ręką. Niech przyjeżdża, i to jak najprędzej! Głupio tu jakoś siedzieć niby sieroty. Anglicy — nie można powiedzieć, zaopiekowali się dobrze, urządzili, nawet wypożyczyli własne mundury, ale zawsze co Anglik, to nie swój. A poza tym, co tam dużo gadać, człowiek jest człowiekiem. Spodziewano się czegoś po tej wizycie. Jedni przebąkiwali o awansach, inni o odznaczeniach. Tak czy inaczej wzmogła się ciekawość i niecierpliwie szykowano się do powitania dowódcy.

W przeddzień przyjechał znów Stoklasa. Sprawdził, zlustrował wszystko jak należy, tu poszperał, tam miał jeszcze jakieś uwagi — wiadomo, chciał, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. To, oczywiście, spotęgowało jeszcze bardziej nastrój oczekiwania. Wreszcie w rozkazie zawiadomiono załogi o niecodziennej wizycie.

Nazajutrz wyrównane pod sznurek szeregi oczekiwały na dziedzińcu koszar. Kontradmirał był punktualny. Przyszedł wraz z całą świtą. Zaraportowano mu regulaminowo, z traskiem, dziarsko, mucha nie siada. Raport przyjął z właściwą wielkością małą uwagą, podał rękę dowódcom i wzrokiem przesunął po szeregach.

Marynańskie serca zabiły mocniej. Za chwilę popłyną słowa uznania dla ich czynów, które rozgłosiły ich sławę na cały świat. Chciało się tego posłuchać, aby mile połechtano po sercu, bo to przecież zawsze przyjemnie spotkać się z uznaniem.

Kontradmirał przyglądał się badawczo. Widocznie odwlekał chwilę, żeby się głębiej namyślić. Ważkie to muszą być słowa i niecodzienne. Takie, które zapadają do

serca na zawsze, o których się później wnukom opowiada. Kontradmirał odchrząknął. W szeregach — jak makiem zasiał. Żaden niepotrzebny ruch, żaden dźwięk, który by mógł zakłócić powagę chwili, nic, cisza. Oczy wszystkich utkwione w dowódcę. On zaś postępuje jeszcze krok naprzód. Na twarzy pojawia się niemiły grymas.

— Okropność! W takich mundurach...

Po czym odwraca się i odchodzi...

W dwa tygodnie później rozpoczęły się targi. Przyjechał znowu Stoklasa, donosząc, że Naczelnny Wódz generał Sikorski polecił przedstawić nazwiska kandydatów do odznaczeń. Grudziński i Piasecki naradzali się, kogo zaproponować. Krawczyk z „Wilka” nie namyślał się długo: wysłał po prostu listę całej załogi. Marynarze z „Orła” mieli żal do swych dowódców. Stoklasa zwrócił listę Krawczykowi. Że to jest niepoważne. Krawczyk odesłał listę z powrotem. „To też jest niepoważne”. Stoklasa przywiózł listę. Krawczyk ją odwiózł.

A „orłowcy” śledzili ten pojedynek z zapartym tchem. Uda się czy się nie uda?

Krawczyk zwyciężył. Cała jego załoga otrzymała odznaczenia. Wzrósł żal „orłowców” do Grudzińskiego i Piaseckiego. Że nie walczyli, jak Krawczyk. Kapitan i porucznik spostrzegli swój błąd za późno. Z nieprzyjemnych kwasów wytworzyła się niezdrowa atmosfera.

Grudziński nie poznawał ludzi. Rozmawiał na ten temat z Piaseckim i porucznik kiedyś wyjaśnił całą rzecz tak:

— Pamiętasz, kiedyś ci o tym mówiłem, ale nie chciałeś wtedy słuchać. Widzieliśmy załogę, ale nie widzieliśmy ludzi.

Nie dziw się ich kwasom, to oni mają rację, nie my! Pomyśl, jak to wygląda? Dla siebie postaraliśmy się, a dla nich co, figa! Głupio wypadło. Wiesz, nigdy w ży-

ciu nie chciałem być takim dowódcą, który zasługi całej załogi sumuje na własne konto i podaje je jako wyłącznie swoją zasługę. To jest okradanie ludzi. Tak, tak — wiem, że powiedziałem ostro, ale innej nazwy dla tego nie mam. Czuję się tak, jakbym ich oszukał.

— Przesadzasz — Grudziński był rozdrażniony. — My przecież też zrobiliśmy coś niecoś.

— To prawda. Ale sami, bez nich, nie zrobilibyśmy nic. Każdy miał swój udział. Zapominamy o tym zbyt łatwo, ale oni mogą nam to przypomnieć w najbardziej dla nas niedogodnej chwili. To nie strach przeze mnie przemawia. Staram się być po prostu uczciwy wobec siebie i wobec nich. Niech to szlag trafi! Jak można popsuć wszystko!

— Nie mają nic do roboty i stąd te pretensje. Wyjdziemy na morze — zapomną, zobaczysz.

— Nie, Janku! Nie zapomną. Owszem, zrobią, co trzeba, bo tacy już są, ale my ich dla siebie nie odzyskamy już chyba nigdy. A jeśli tak, będziemy musieli drogo za to zapłacić.

Grudziński przyznawał mu rację. Sam również brzydził się tymi, którzy całą swoją energię, pomysłowość, spryt i tupet wykorzystywali tylko w tym celu, aby lawirując między gwiazdami pierwszej wielkości piąć się coraz wyżej, nie ryzykując ze swej strony niczym. Ani siebie, ani Piaseckiego nie zaliczał do takich. Przerazał się na samą myśl o możliwości powstania takiego posądzania. Dlatego bronił się przed zarzutami Piaseckiego, w duchu zarzucając sobie, że nie okazał się tak twardy, jak Krawczyk.

Inna rzecz, że tryb życia na lądzie nie odpowiadał marynarzom. Z początku byli zmęczeni — teraz czuli się już wypoczęci. Z początku interesowało ich wszystko, co nowe, teraz oswoili się już z osobliwościami tego skrawka nie znanego im dotychczas kraju.

Najulubiejszym miejscem wycieczek było niewielkie, położone w pobliżu Rostyh miasteczko Dumpferline. Uroczą ślizgawka, parkiet, muzyka, bufet, ściągaly tam zarówno oficerów, jak i marynarzy. Tu zawierano też nowe znajomości i zacieśniano owe więzy „subtelne z charakteru, a mocne z natury”.

Zima była już w pełni, ale zupełnie inna niż w kraju, smutna i przykra. Na święta przyszła bolesna tęsknota.

W kilka dni po świętach komandor Ionides poprosił do siebie Grudzińskiego. Zapytał o stan załogi i okrętu, ale z rozmowy z nim wynikało, że orientuje się doskonale tak w jednej kwestii, jak i w drugiej. Po krótkim wstępie zaproponował Grudzińskiemu rejs. Nie polecił, ale właśnie zaproponował. „Orzeł” bowiem, podobnie jak i „Wilk”, nie został wcielony do Flotyli jako jej składowa część, ale działać miał jako samodzielna jednostka Polskiej Marynarki Wojennej. Dlatego też Ionides „uzgadniał” i „proponował”.

„Orzeł” nie był jeszcze całkowicie gotów. Działo nadal stanowiło jedynie straszak dla naiwnych. Mimo to Grudziński propozycję przyjął z radością.

Wreszcie miał się zacząć prawdziwie bojowy okres w życiu „Orła” i jego załogi.

VIII. Pierwsze zadanie

Morze było zsiniałe z zimna, miało kolor ołowiu. Rozproszone stada okrętów wyglądały jak rzucone beztrąsko na staw pątyki. W środku tego stada szedł krążownik komodora. Wydawało się, że stado stoi wrośnięte w miejscu czy też zastygło w wodzie tak zimnej, iż stawało się niezrozumiałe, dlaczego jeszcze nie pokrytej lodową powłoką. Komodor z wolna i cierpliwie przestawiał owe pątyki, aż w końcu zaczęła się formować regularna figura.

Mat Torbus orzekł, że zanim osądzi ostatecznie co i jak, musi swoim zwyczajem „przeanalizować rzeczywistość”. Wszedł na pokład i rozejrzał się wokoło.

Zgubiony wśród stada okrętów „Orzeł” musiał wyglądać śmiesznie i niepoważnie.

Szedł powoli, ostrożnie jak rekonwalescent po ciężkiej operacji. Aczkolwiek żadna z prób przeprowadzonych przed rejssem nie wykazała nieprawidłowości, wzmożono kontrolę nad mechanizmami, obserwowano manometry, zegary, stery. Bosman Kamecki tak jak Torbus ufał okrętowi i uważał, że jest to zapobiegliwość zbyt duża. Jeśli w swoim „sektorze” był pilniejszy niż zwykle, to nie z braku zaufania do okrętu, ale by zadośćuczynić dyscyplinie i regulaminowi.

Krótką obserwacją wystarczyła Torbusowi, żeby po powrocie na rufę ocenić:

— Z obiadu nici — sztorm idzie...

Przerażenia to nie wywołało. Większość załogi przeszła już sztorm na „Orle”, jeszcze w trzydziestym dziewiątym przy odbieraniu okrętu. Szli wtedy z Norwegii do Holandii. Na pokładzie było kilku Holendrów. Ścieło ich z miejsca. Ani ręką, ani nogą. Jeden kok trzymał fason i uratował honor ojczyzny tulipanów. Większość „orłowców” zacisnęła zęby, dosłownie i w przenośni, i trzymała się. Byli i tacy, którzy podzielili los Holendrów. Sztorm wiele poniszczył. Stoczniovcy mieli znowu ręce pełne roboty.

I tym razem wszystko wskazywało na to, że znowu szli na wody Norwegii. Czyżby historia miała się powtórzyć?

Oczkowski miał pecha albo, jak kto woli, szczęście. Bo jedni twierdzili, że w czasie sztormu najlepiej na górze, inni, że w pomieszczeniach. Oczkowski był teraz na górze.

Chłodny, północny wiatr uderzał w twarz drobnym pyłem wodnym zrywany z grzbietów fal. Zanosilo się na nieprzyjemny i nieciekawy rejs, a jednak każdy był zadowolony, że wreszcie znalazł się na morzu.

Grudziński miał rację: morze sprzęgało ludzi. Tu właśnie, w tych ciasnych pomieszczeniach wśród gęstwy mechanizmów, najbardziej rozumiało się wzajemną współzależność, konieczność zharmonizowanej współpracy, potrzebę dyscypliny. Jeśli były jeszcze ukryte niechęci i żale, to tliły się one gdzieś w środku, niewidocznie i nieszkodliwie.

Sylwetki okrętów rozrzuconych w najbliższym rejonie dawały poczucie siły i bezpieczeństwa. Jeszcze nigdy od początku wojny nie czuli się tak pewnie. W pierwszych dniach września byli zwierzyną tropioną przez ścigacze i samoloty, później poznali całą gorycz sierocej samotności, przeżyli groźbę niebezpieczeństw, którym trudno byłoby stawiać czoło z nadzieją na zwycięstwo.

Obecna sytuacja w niczym nie przypominała grozy tamtych dni. Sztorm wydał się więc tylko przygodą.

Oczkowski wpatrywał się w pędzące z furją wały wodne. Wiatr boleśnie uderzał w twarz odrobinami lodu, policzki tężały, w oczach pojawiły się zasnuwające światły. Został tylko rozkołysany bezmiar morza. Konwój to zniknął nagle poza wyrosłą żywą ścianą wody, to znów ukazywał się gdzieś daleko w dole. Nikt nie mógł zrozumieć, w jaki sposób „Orzeł” utrzymuje się jeszcze w tym rozhuśtanym, huczącym świecie, i wydawało się, że przykryty pianistą kipiela już nigdy nie zdoła wydobyć się z otchłani. Dziób okrętu przechylał się w dół, zjeżdżał po zboczu fali, by po chwili z trudem rozpocząć wspinaczkę na wyrosłą tymczasem nową ścianę wody. Czasami trzym był tak duży, że wynurzone śruby bezradnie trzepotały w powietrzu, zanim nadbiegający wał wodny nie przykrył ich ponownie.

Utrzymanie kursu było nie lada wyczynem. Dziób unoszony falą odchyłał się od kursu. Olejnik sterując kłął w duchu każdą poprawkę.

Świebocki zmarkotniał. Jego uroczysty obiad diabli wzięli. O, właśnie na dziś, na ten pierwszy rejs, wykombinował menu jak nigdy. Mat kończył swoje cuda, kiedy zaczęło kołysać. Początkowo wyglądało to niegroźnie: ot, zwyczajna huśtawka, jedna z wielu, jakie przeszli. Kiedy jednak w pewnej chwili woda chlusnęła w centrali, Świebocki popatrzył i powiedział do siebie coś tak brzydkiego, że sam się zawstydził. Z żalem spojrzął na Szuberta. Jego twarz była kamienna w wyrazie, a fioletowa w barwie. „Takiego to i liście bobkowe nie ruszą” — pomyślał o nim z pogardą. Na dole spał po wachcie Pokrywka. Kołysanie sprzyjało jego błogiemu wypoczynkowi, o czym świadczyły rozwarłe usta i głęboki, równomierny oddech.

W pewnej chwili Świebocki poczuł, że podłoga zaczyna naciskać od spodu na jego stopy, po czym nagle oderwała się i kokowi wydało się, że zawisł w powietrzu. Żołądek niespodziewanie znalazł się tuż pod gardłem. Świebocki wytrzeszczył oczy, przełknął z trudem ślinę i... wszystko wróciło na miejsce. Zastanawiał się, czy aby nie zacząć z obiadem. Prawdę powiedziawszy, byłoby szkoda. Co świeże, to świeże. Później już nie odczują tego smaku. Ale teraz im podawać — także nijak. Apetytu nie mają i co gorsza... Mat z przerażeniem pomyślał o niezaszczytnym losie, jaki mógł spotkać owoce jego chwalebego trudu. Z troską popatrzył na Pokrywkę. W tej chwili „Orzeł” gwałtownie osunął się w dół, z haków sztormowych zerwał się powieszony tam przez Prządaka czajnik i wylądował na głowie Pokrywki pogrążonego w błogim śnie.

Pokrywka pomacał się po głowie, obwąchał palce łepiące się od słodkiej cieczy, uniósł się na łokciach i rozejrzał w koło. Wzrok jego zatrzymał się, na — jak mu się wydało — bezczelnie uśmiechniętej twarzy Świebockiego. Gorąco uderzyło mu w policzki. Zmrużył oczy i zacisnął zęby.

— Te, parzygnat w kaczy kuper smolony, ty co?

Świebocki w tej chwili myślał o najwspanialszym ze wspaniałych kompocie i na zaczepkę Pokrywki szeroko otworzył oczy. Pokrywka nie dał się zwięść.

Rozejrzał się po otoczeniu. Zastanowił go Szubert. Siedział wciąż nieporuszony trzymając się za żołądek. Spojrzał groźnie na niego. Ten nie przeraził się.

— Ty...

Nie dokończył. Zimna woda lunęła wprost na jego głowę. Mat pochylił się, zmoczone włosy opadły mu na czoło, zakrywały oczy. Językiem przesunął po wargach. „To nie Świebocki — pomyślał — za słona”. Ktoś poda-

wał mu ręcznik. Podniósł się. Przed nim stał kok. Pokrywcę zrobiło się głupio. Nie wiedział, co powiedzieć. Wycierał się do sucha, starannie, wykorzystując ten czas do namysłu. Wreszcie wyciągnął rękę.

— Nie gniewaj się, Ignac...

— Też... — Świebocki wzruszył ramionami.

— Myślałem, cholera, że to ty ten czajnik... — pomaçał się po głowie, na której zdążył wyrósć potężny guz.

— Ale żeś kimał, to kimał!

— Zdarza się.

— Popatrz na Wacka — wskazał na Szuberta — temu już nic nie trzeba...

— Kto go tak zaprawił?

— Nikt. Huśtawka. Żał patrzeć.

Pokrywka pociągnął nosem.

— O!

— Czujesz?

— Ja bym nie poczuł!

— Krupnik, ale... — cmoknął w dwa palce — buzi...

— Pokaż!

— Będziesz żał?

— Się pytasz?

Serce Świebockiego zmiękło. Przecież znalazł się ktoś, kto ma apetyt na krupnik. Przeszli do kuchni. Zapach liści bobkowych jeszcze mocniej podrażnił apetyt.

— Fiuu! — gwizdnął przez zęby Pokrywka. — Zdejm no ten dekiel.

— Pokrywkę!

— Dekiel — mówię ci.

Spojrzeli na siebie i obaj uśmiechnęli się.

— Czort z nim, niech będzie.

Pokrywka rzeczywiście miał apetyt, a krupnik rzeczywiście był niezły. Mat zjadł drugie danie, popił kompo-

tem i... powrócił do krupniku. Świebocki patrzył na niego i myślał, że jednak sprawiedliwości na świecie nie ma. Jak by to było wspaniale, gdyby właśnie Dekiel był dowódcą. Nikt chyba z załogi nie znał się tak na sprawach kulinarnych jak właśnie on. A przecież kuchnia na okręcie przede wszystkim. Przez kilka dni nie dać nic jeść, to i torpedy nie potrzeba. Albo gdyby zgotować, ale niefachowo. Przesolić albo przepieprzyć na przykład. To to samo co zmniejszyć gotowość bojową okrętu. Kto więc najbardziej czuwa nad tą bojowością? On właśnie — Świebocki, nikt bardziej niż on.

Pokrywce zakwitły rumieńce na policzkach. Przeciągnął jeszcze raz i drugi łyżką po dnie, popił kompotu i usiadł ciężko, marząc o papierosie.

„Orzeł” wykonał jeden ze swych skoków w dół i w centrali woda chlusnęła ponownie.

Pokrywka dodał Świebockiemu apetytu. Zjadł także dwie porcje krupniku. Nie potrzebował dziś sobie żałować. Sądząc po minach załogi, zgodnie z oceną Torbusa, dziś z obiadu — nici. Wzmagające się wciąż huśtanie upewniło go w tym jeszcze bardziej.

Z centrali popłynęły rozkazy. Świebocki przyłgnął uszami do rury głosowej. Posłyszał tylko dwa słowa: „pompa osuszająca”. „Oho — pomyślał — w zęzach mokro”. Po chwili bosmanmat Olesiński zameldował gotowość. Do grzmotu przelewającego się w górze morza dołączył się szum pomp.

Sztorm nie ustawał. Wichura wzmagła się i cichła, przechodząc chwilami we wściekły szkwał uderzający z furią w ściany kiosku. „Orzeł” tańczył na falach, z trudem przebijając się przez wyrastające pod nim coraz to nowe zwały wody. Noc potęgowała nastrój grozy. Konwój znikł w ciemności i wydawało się, że „Orzeł”, jak dawniej, jest samotny, zagubiony wśród morza;

Dopiero nad ranem wiatr ścisł, fale straciły swą moc.

W niedługi czas po tym na horyzoncie wyrosło szare pasmo norweskiego lądu.

Kilkudniowy postój w porcie poświęcono głównie przeglądowi mechanizmów, co znów było powodem uznania dla okrętu ze strony Torbusa. Jego „Orzeł, e, Orzeł” — stało się teraz ogólnym zawołaniem całej załogi.

Droga z Norwegii odbyła się bez przygód. Ten pierwszy rejs zapoczątkował serię „wycieczek” z konwojami. Okręt wszedł w swą rolę, ale dla załogi nowy tryb życia z czasem stracił swą atrakcyjność.

— Za pannę do towarzystwa mają „Orła”, nie innego — pierwszy zbuntował się Pokrywka. — Eskorta owszem, ważna rzecz, ale patrol, ot co...

Któregoś dnia, kiedy po powrocie do Rosyth Prządak zabrał się do przemywania torped spirytusem, Bim popatrzył markotnie na tę czynność i wyraził pogląd, że cała ta robota diabła warta. Prządak poczuł się dotknięty, sądząc, że Narkiewicz ma zastrzeżenia do jego pracy. Bim jednak miał co innego na myśli.

— Wycierasz, wycierasz, a one i tak pordzewieją u nas. Szkoda tego... — wskazał na bańkę ze spirytusem.

— Szkoda, nie szkoda — od tego jest!

— Ech, marnuje się to wszystko, marnuje — westchnął Narkiewicz.

Prządak udał, że nie rozumie, o co mu chodzi, i pucował dalej.

— No? — zaczął Bim.

Bosmanmat się nie odezwał. Wtedy Narkiewicz stracił cierpliwość.

— Nie machaj mi tu szmatą — pociągnął nosem — bo, jak pragnę szczęścia, nie wytrzymam.

Prządak się wyprostował.

— Panie bosmanie... — powiedział dość opryskliwie.

Narkiewicz zaczął innym tonem.

— Felek, nie mógłbyś ty tego, no?

— Przecież to torpedowy! — zdziwił się Prządak.

— Czysty masz też, nie?

— No to co, że mam? — zerknął w stronę Stelmaszyka.

Stelmaszyk udawał głuchego. Lubił Narkiewicza i wiedział, że go tak czasem „chandra” potrafi przydusić. Wtedy trzeba go poratować. Wprawdzie Bim po pijanemu był spokojny i nie rozrabiał, ale baru z przedziału torpedowego Stelmaszyk też nie chciał robić. Dlatego zwlekał. Narkiewicz jednak albo był dzisiaj szczególnie wytrwały, albo go zmogła niezwykajna chandra i Stelmaszyk musiał się poddać.

Chandra gniotła dziś niejednego. W perspektywie było pięć, sześć dni lądu: trochę służby, trochę zabawy, i następny rejs w towarzystwie pękatek łajb poprzez Morze Północne. Załoga w tych dniach wsiąkała w kluby, kina, teatry i mieszkania prywatne.

Szóstego dnia Grudziński przyszedł na okręt bardziej podniecony niż zwykle.

— Idziemy sami — powiedział Piaseckiemu wystarczająco głośno, aby słyszeli to i inni.

„Sami” — to było już coś. To nie była owa przechadzka przez morze w charakterze konwojenta zbiorowiska frachtowców, to musiał być patrol!

Jeszcze tego samego dnia wieczorem odprowadziły ich dwa eskortowce. Grudziński niecierpliwie rozerwał koptę. Zgadzało się: patrol u wybrzeży Holandii. Znajome wody. Przechodzili tamtędy nieraz w trzydziestym dziewiątym w czasie prób odbiorczych. Może by tak zajrzeć do Vlissingen? Ciekawe, jak tam jest teraz? Wtedy, to znaczy zaledwie rok temu, nie przypuszczali nawet, że znajdą się na tych wodach już w zupełnie innym charakterze. „Orzeł” wracał do miejsca swoich narodzin.

Zgodnie z przyjętym w brytyjskiej flocie zwyczajem szli do sektora w stanie wynurzonym. Wracając mieli iść w zanurzeniu. Ostatnie pożegnanie z eskortowcami i „Orzeł” został sam. Na dole w centrali urzędowało trzech nowych członków załogi — Anglików: oficer szyfowy, radiotelegrafista i stersygnalista.

Kiedy wprowadzono ich po raz pierwszy przed rejsem do Norwegii, wśród załogi rozszedł się szmer: „Nie dowierzają nam czy co do cholery? Wkrótce jednak przekonano się, że nie o to chodziło. Okręt musiał być podporządkowany zasadom obowiązującym we flocie brytyjskiej, a wyszkolenie specjalistów polskich trwałoby za długo. A ponieważ „nabytek” okazał się zupełnie do rzeczy, zmiany personalne przyjęto z aprobatą. Dwaj chłopcy udali się całkowicie, a oficer nie wtrącał się do wewnętrznego życia załogi, zajęty wyłącznie swoją funkcją.

Nadzieje na to, że w sektorze od razu będzie ciekawiej, nie ziściły się. Cztery doby pod- i nadwodnej włóczęgi wykazały, że w gruncie rzeczy nawet na dość gęsto uczęszczanych szlakach komunikacyjnych może być nudno. Czuli się więc zawiedzeni, jak pechowi myśliwi, którzy w polecany przez leśniczego zagajniku nie napotykają zwierzaka. Ta zima sprawiała wrażenie wojny przypadkowych spotkań, dżentelmeńskich ukłonów i niechętnych bitew. Któż by przypuszczał, że tu, na tych ruchliwych zazwyczaj szlakach komunikacyjnych, może być w czasie wojny tak cicho i spokojnie.

Załoga „Orła” najzwyczajniej w świecie nudziła się. Nieliczne książki krążyły z rąk do rąk, czytane po raz któryś tam z rzędu. „Rasputin” stracił najwierniejszego czytelnika, Gwiazdzińskiego, który zaraz po przybyciu „Orła” do Anglii został przez dowódcę wyokrętowany i odkomenderowany do „Warszawy”, czyli do Plymouth — bazy Polskiej Marynarki Wojennej w Wielkiej Brytanii.

W tym czasie jeszcze nie było czym uzupełnić skromnej biblioteczki okrętowej, więc siłą rzeczy miejsce książek w dużym stopniu zajęły karty. „Oko” miało najwięcej zwolenników, nie jako hazard, lecz jako rozrywka. Zresztą w tych godzinach Wielkiej Nudy każdy szukał zajęcia właściwego dla swych zainteresowań. Foterek studiował podręcznik mechaniki. Grudziński wolny czas poświęcał na pogłębianie szczupłych wciąż wiadomości z języka angielskiego, Piasecki szkolił załogę w zawitych kwestiach broni podwodnej.

Piątego dnia Grudziński podszedł do peryskopu, by jak zwykle zlustrować powierzchnię morza. Olejnik zauważył, że dowódca ma inną niż zazwyczaj minę.

Grudziński wyjrzał jeszcze raz, potem powtórzył obserwację, chwilę przeczekał i znowu przyłgnął oczyma do okularu. W dali wynurzał się z morza jakiś statek. Płynął daleko i nieprawdopodobieństwem było ustalić jego przynależność państwową. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że nie był to okręt wojenny. Szedł bez eskorty i Grudziński nawet nie myślał o ataku. Niemniej jednak należało go skontrolować.

Kiedy statek zbliżył się na odległość dwu kabli, kapitan dał komendę do wynurzenia, sam zaś wyskoczył na postmów w chwili, gdy pokład był jeszcze pod wodą.

Na rufie frachtowca łopotała czerwona bandera przecięta białym krzyżem.

— Duńczyk! — powiedział do siebie kapitan i spojrzął przez lornetkę.

Nagle ukazanie się okrętu podwodnego wywołało na statku panikę. Taka reakcja nie dziwi nikogo, kto chociaż raz znalazł się w podobnej sytuacji. Spotkanie z okrętem podwodnym w czasie wojny nie należy do przyjemności i zawsze zawiera w sobie ryzyko. W takich chwilach nie uzbrojonemu frachtowcowi nie pozostaje nic innego jak

szybko wykonywać rozkazy napotkanego okrętu. Wszelka opieszałość może zrodzić w dowódcy okrętu podwodnego podejrzenie, którego skutki mogą się okazać fatalne.

Nic więc dziwnego, że pokład Duńczyka zdaniem Kameckiego nosił w sobie wszelkie cechy „regulaminowej” paniki. Grupy ludzi przebiegały wzdłuż statku, gromadziły się pod pomostem nawigacyjnym, zbijały się w ciemną gromadę sfloczoną przy nadburciu.

Na maszt „Orła” wspiął się sygnał: „Zatrzymać natychmiast statek — kapitan z dokumentami do mnie”.

Grudziński drżał z emocji. Pierwszy zatrzymany statek, pierwsza kontrola. Musi być surowy i poważny. Obejrzał się: za nim stał Piasecki i Anglik.

Z frachtowca spuszczone motorówkę. Grudziński wraz z Piaseckim i oficerem angielskim zeszli na pokład. Motorówka odbiła od frachtowca i równym kursem szła w stronę „Orła”. Minuty dłużyły się. Z obudowy działła wyrzwał Szubert. Był dziś tylko aktorem. Działło nadal stało bezużyteczne i poza napędzeniem strachu nie mogło nikomu wyrządzić najmniejszej szkody. Niemniej jednak lufa wymierzona w niedwuznacznych zamiarach w burłę Duńczyka wyglądała groźnie i z powodzeniem spełniała swoje zadanie.

Motorówka sprawnie dobiła do zawietrznej burty i na pokład wszedł niski, starannie ubrany kapitan o trwożliwie tańczących oczkach. Skłonił się Grudzińskiemu, który podał mu rękę i poprosił do mesy.

Duńczyk z niepokojem rozglądał się po otoczeniu, napotykając wszędzie ciekawe spojrzenia. Wyłożył papiery na stół i uczynił gest mający oznaczać, że nie ma nic do ukrywania. Niepokój jednak nie opuszczał go ani na chwilę.

Grudziński przeglądał papiery, podając je kolejno Piaseckiemu i Anglikowi. W istocie podejrzanego w nich nic

nie było. Frachtowiec był zwykłym duńskim trampem i nie można było mieć do niego pretensji o to, że szedł ze Szwecji z ładunkiem rudy. Duńczyk ani przez chwilę nie odrywał oczu od każdego, kto w danej chwili przeglądał papiery. Z wyrazu twarzy usiłował się domyślić wyroku, decyzji, która dla niego mogła oznaczać zaokrętowanie na nie znanym mu podwodnym okręcie.

Grudziński powoli pozbierał ze stołu papiery i wręczył je Duńczykowi.

— Thank you. All right — podał mu rękę.

Na twarzy kapitana frachtowca ukazał się szeroki uśmiech. Uścisnął jak mógł najserdeczniej podaną mu dłoń.

— Thank you. Thank you — kłaniał się nisko dokoła tak komicznie, że Piasecki mimo woli musiał się uśmiechnąć.

Odprawdzili go do motorówki. Siedzący w niej marynarz powitał swego przełożonego z nieukrywaną radością.

Kapitan usadowił się na swoim miejscu i rozpromienioną twarzą żegnał oficerów.

Grudziński stał przy relingu i wpatrywał się we frachtowiec. W okularach lornetki widział wyraźnie jak motorówka dobiła do burty i została podniesiona na pokład wypełniony w tym miejscu ciemniejącą grupą ludzi.

Frachtowiec stał chwilę w miejscu, po czym pod jego dziobem urosły białe wąsy powiększające się w miarę nabierania przez statek prędkości.

Pierwsze legitymowanie statku odbyło się bez niespodzianek. Grudziński czuł się bogatszy o jedno doświadczenie. Patrzył na odchodzący frachtowiec, który zmienił kurs i znalazł się teraz na trawersie dziobu „Orła”. Nagle kapitan drgnął. Nad podkład statku wleciały w górę najprzeróżniejsze przedmioty, a w parę sekund później wiatr przyniósł potężny okrzyk. „Orzeł” już to znał. Było

to wówczas w Tallinnie w najsmutniejszej chwili życia okrętu. Wtedy tamten okrzyk brzmiał triumfem i radością. Dziś tylko radością. A ta radość była zasługą właśnie „Orla”. Jakżeż inna jest dzisiaj jego rola..:

— Słyszysz? — szeptem zapytał Piaseckiego.

Porucznik skinął głową. Obaj patrzyli na niknącą rufę statku. Obaj czuli tę samą radość, co tamci. Bo dawać wolność jest często takim samym szczęściem, jak i otrzymać ją.

— Udało nam się... — powiedział nagle Piasecki;

Kapitan szczerze się zdziwił:

— Nam?

Porucznik miał wciąż zagadkową minę.

— Przypomnij sobie swoją pozycję — a gdyby to był statek-pułapka?

Kapitan zagryzł wargi. Ta uwaga dotknęła go boleśnie. Musiał w duchu przyznać, że Piasecki miał rację. Zaabsorbowany wszystkim, co działo się na statku, nie pamiętał o manewrze, który przy torpedowaniu byłby niezbędny. Ale zabolalo go nie tylko to. Sądził, że porucznik miał na myśli nie tylko manewr, ale i jego samego.

Już od pewnego czasu do uszu kapitana dochodziły słuchy, że załoga uważa go za „ważniaka” i zrozumiacza. Sam nie dostrzegał tego w sobie. Zdawało mu się, że sądy te są krzywdzące i niesprawiedliwe. Owszem, chciał podnieść swój autorytet i zamierzał to osiągnąć drogą pewnej nieprzystępności, owszem, chciał podnieść dyscyplinę i dążył do tego przez przypominanie obowiązującego regulaminu tym wszystkim, którzy go naruszali. Kiedy zgłosił się do niego marynarz z prośbą o urlop, zamiast urlopu otrzymał pouczenie, że powinien z tym zameldować się w pierw u zastępcy dowódcy. Czyż źle robił, że przypominał o tych podstawowych zasadach postępowania?

Nie, nie widział w tym nic złego, a mimo to czuł w sobie nieokreślony niepokój. Stawał się kimś innym, ale kim? Szukał wzorów, którym mógł ulec podświadomie, nie wiedząc o tym. Może to dlatego, że został formalnie zatwierdzonym dowódcą? No właśnie. Ostatnim dowódcą był Kłoczkowski. Wsluchiwał się w swoje słowa i ich brzmienie przypominało tamten głos. Podświadome wcielenie? Wzdrygnął się. To nie był dobry przykład. Nie mógł utracić tego, co dla dowódcy powinno być najcenniejsze — kontaktu ze swoimi ludźmi. Fatalny błąd z odznaczeniami mógł pogłębić ten rozdźwięk, pogorszyć sytuację. Trzeba zawrócić z tej drogi jak ze źle obranego kursu. To już przemyślał sam, nie miał jednak odwagi szczerze porozmawiać z „Pablem” na ten temat.

Miał żal do Piaseckiego, a po trosze mu i zazdrościł, że potrafił łatwiej znaleźć z załogą wspólny język. Do niego nikt się nie zgłaszał z prywatnymi sprawami, podczas gdy „Pablo” temu i owemu „odpalał” nieraz po dziesięć szylingów pożyczki, kiedy marynarskie kieszenie świeciły pustką, a ład nęcił zabawą.

Grudziński obserwował tę zmianę stosunku załogi do niego i było mu niewymownie przykro. Nie miał jednak odwagi na otwarte porozmawianie na ten temat.

I kiedy teraz Piasecki zwrócił mu uwagę na pozycję okrętu, wydawało mu się, że porucznik chciał ugodzić w to jego zarozumialstwo, w tę pewność siebie, która w pełni jeszcze nie była uzasadniona. Podszedł więc do Piaseckiego i ujął go pod ramię.

— Wiesz, Andrzej — powiedział wesoło — miałeś rację. M o j a p o z y c j a była rzeczywiście nieszczególna. Trzeba będzie stanowczo zwrócić na to uwagę.

To spostrzeżenie o podwójnym sensie miało się bardzo przydać już w najbliższej przyszłości.

IX. Zwycięstwo

Wiosna tego roku sprawiła zawód wszystkim. Nieruchawa, dziwna wojna we Francji, coraz silniejsze naloty na Anglię przekreślały nadzieję na rychłe zakończenie wojny. Nad światem zawisły groźne, ponure chmury i nie było żadnych oznak zapowiadających chociażby chwilowe przejaśnienia. Wieści z kraju porażały serca lękiem i troską o najbliższych. Ludzi nachodziły myśli, że prowadzona z dala od kraju walka jest czymś oderwanym, nie wpływa na jego losy i nie pomaga mu. W takich chwilach ciężar beznadziejności stawał się szczególnie okrutny.

„Orzeł” wciągnął się już w regulaminowy tryb służby, chodził na patrole, przywoził mniej i więcej istotne meldunki, ale... na tym wszystko się kończyło. Nie tak wyobrażano sobie swój udział w wojnie, swój odwet za klęskę.

Złośliwy los, jak dotychczas, rozmiął szlaki ich patrolu z drogami, którymi szły wrogie jednostki.

Któregoś z pierwszych dni kwietnia Grudziński, jak zwykle, otrzymał zapieczętowaną kopertę i rozkaz wyjścia na morze. Dwa eskortowce odprowadziły ich do zwykłego miejsca rozstania i pożegnały.

Kapitan rozwinął kopertę i stwierdził, że również tym razem rozkaz wysyłał ich na patrol na wody Norwegii. Nie było to nic nowego. Zgodnie z instrukcją zesłi pod

wodę i bez specjalnych przygód dotarli w zanurzeniu do wyznaczonego sektora.

Kwiecień był jeszcze chłodny, dął zimny, porywisty wiatr północny. W pomieszczeniach okrętu było ciepło, mimo że wewnętrzne ścianki osiwiwały od szronu.

Patrol odbywał się normalnie i bez przygód, czyli nudnie. Załoga powracała w swych rozmowach do planów lądowych, co było niezbitym dowodem, że tracono nadzieję na jakieś ciekawsze wydarzenia.

Siódmy dzień kwietnia przyniósł jednak nieoczekiwany zwrot. Piasecki właśnie miał wachtę, kiedy Kotecki ze słuchawkami szumonamiernika na uszach skrzywił się i szeroko otworzył oczy. Piasecki strzelił w górę peryskopem i natychmiast go opuścił. To, co zobaczył, nie było z całą pewnością okrętem wojennym, ale było to już „coś”, co zapowiadać mogło urozmaicenie patrolu.

Obcy frachtowiec szedł kursem NE, kierując się ku widzianym w dali wybrzeżom Norwegii. Był wczesny zmrok i nadbrzeżne światła nawigacyjne mrugały jak co dzień o tej porze.

„Orzeł” podsunął się bliżej. Na dziobie frachtowca Grudziński, któremu Piasecki ustąpił miejsca, dostrzegł białe litery składające się w napis „Rio de Janeiro”.

— Diabli go wiedzą — kombinował kapitan — co to za statek?

Brak bandery wzbudzał poważne podejrzenia. Zbyt wiele mieli już tego rodzaju spotkań. Ale samo podejrzenie nie może uzasadnić ataku, tym bardziej że instrukcja wyraźnie zabraniała atakowania nie uzbrojonych i nie idących pod eskortą statków.

Grudziński wołał się upewnić. Poszedł śladem frachtowca i znowu pomacał peryskopem. Żaden napis nie kałał czarnej rufy. To ugruntowało podejrzenia. Czyżby się wstydzili swojego portu macierzystego?

Podniecenie zaczęło go ogarniać coraz większe. Wreszcie zdecydował się.

— Wynurzenie! Obsługa do dział i karabinów maszynowych!

Wewnątrz zawrzało. Mokrski podał komendy. Powietrze z sykiem wtłoczyło się w zbiorniki, wypchnęło wodę z balastów. Przerzucone stery uniosły dziób. Szubert w pośpiechu sprawdził pasek pod hełmem. Stał przy schodni gotów do wyjścia. Grudziński wyskoczył pierwszy, za nim Piasecki, Mokrski, Anglik. Szubert zatrzasnął drzwiczki obudowy dział i pomyślał: „Znowu będę straszyć”.

Frachtowiec, lekceważąc sobie zupełnie nagłe pojawienie się okrętu podwodnego, sunął dalej tym samym kursem.

Na maszt „Orła” wspiął się sygnał: „Zatrzymać statek, kapitan z dokumentami do mnie”.

Grudziński obserwował przez lornetkę. Na pokładzie nie widać było żadnych skutków wezwania. Rzucił okiem na pozycję „Orła”. Była bez zarzutu. „Tym razem nie będzie powodów do uwag” — przelotnie pomyślał o Piaseckim.

„Zatrzymać statek, bo strzelam” — poszło nowe ostrzeżenie.

„Rio de Janeiro” musiał być statkiem wyjątkowo upartym lub... o niezbyt czystym sumieniu. To nowe ostrzeżenie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Wtedy Grudziński stracił cierpliwość.

— Pal!

Karabiny maszynowe bluznęły ogniem. W ciszy morza echo ich rozniosło się daleko, aż gdzieś pod horyzont.

To poskutkowało. „Rio” zastopował maszyny i zakotwił się swobodnie w miejscu. W okolicach pomostu nawigacyjnego zaczął się jakiś ruch. Na szlupbelkach zwiśla łódź z kilkoma ludźmi i zaczęła wolno opadać ku morzu.

Grudziński zatarł ręce. „Z tym to inaczej pogadamy niż z Duńczykiem — obiecywał sobie. — Trzeba będzie go zatrzymać, a statek skontrolować — wyjątkowo uparta bestia”.

Łódź spadła na morze i przez chwilę kołysała się na falach. „Co za ofermi — myślał kapitan ze złością — porządnej motorówki nie mają, na wiosłach będą tu pół godziny zapychać”.

Łódź tymczasem odeszła od statku i najspokojniej w świecie przedelfowała przed nim, po czym podeszła do dziobu i znikła po drugiej burcie. Było to tak niezwykle, że oficerowie spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Panie kapitanie... panie... kapitanie — Kotecki wpada z nagłym meldunkiem. — Słyszę sygnały radiowe z bliska, niezrozumiałe sygnały radiowe z bardzo bliska...

Grudzińskiemu to wystarczyło.

— Ach, to tak... — zacisnął wargi. — Radiokabina! Szyfrem do dowództwa: *Torpeduję napotkany frachtowiec po ostrzeżeniu.*

— Aparaty torpedowe, jeden, dwa, uwaga.

— Dziobowe, jeden, dwa, gotowe.

Grudziński jeszcze raz sprawdził pozycję. Natłok chaotycznych myśli potęgował podniecenie. Kiedy skłonił głowę do namiernika, palce mu skakały jak opętane. Na dole Bim pochylił się przed pokrywami aparatów torpedowych, jakby za chwilę miał skoczyć komuś do gardła.

Pozycja okrętu była wymarzona. Grudziński nie czekał.

— Uwaga!

— Jeszcze sekunda i wreszcie:

— Pal!

Narkiewicz dał impuls. Okręt drgnął i torpedy jak spuszczone ze smyczy kąśliwe psy skoczyły naprzód. Grudziński przykrywa dłońią przycisk klaksonu,

— Wszyscy na dół!

Szubert wyskakuje spoza działa. Wtapia się w wąż. Pokład pustoszeje.

— Zanurzenie!

Dziób okrętu przykrywa się morzem. Fale wślizgują się na jego pokład, przebiegają na drugą jego stronę, łączą się w jeden ruchliwy, kłębiący się wir.

— Głębokość peryskopowa!

Nagle wszystko się uspokaja. W okręcie panuje głęboka cisza. Grudziński przysunął się do peryskopu. Prządak nacisnął stoper.

Wskazówki pokazywały każdy metr przebywanej przez torpedy drogi. Bosman Kozowy, następca Gwiaździnińskiego, wlepił oczy w rozdziawione oczekiwaniem marynarskie gęby: „Trafi, nie trafi”.

— Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści...

Bliski wybuch wstrząsnął „Orłem” tak silnie, że zza wręg pospadały talerze. Kozowy zmrużył oczy.

— Łajdaki — przesunął wzrokiem po marynarzach — nie macie gdzie ich chować! — pogroził palcem.

— Dostał skurczybyk!

Grudziński obserwował przez peryskop niecodzienny obrazek. Statek stanął dęba jak raniony koń. Dziób wznosił się w górę pokazując stępkę aż po pomost. Opuustoszały dotychczas pokład zaroił się od ludzi, którzy skakali do wody ogarnięci szaleńczą paniką. Światła nawigacyjne u wybrzeży norweskich zgasły i morze wydawało się jeszcze bardziej ciemne.

„Rio” należało jednak do upartych statków. Tkwił nadal rufą w wodzie i nic nie wskazywało na to, by zamierzał osunąć się w jej głąb.

Nie przerywając obserwacji przeszli z prawej burty za rufę i stanęli z lewej. Widok był podobny. Na rufę przez nadburcie wlewała się woda, a mimo to statek tkwił wciąż na miejscu jak wrośnięty w morze dziwaczny pomnik.

Ten upór „Rio” po raz drugi dziś zdenerwował Grudzińskiego. Trwającą już blisko pół godziny agonię trzeba było przyspieszyć.

— Aparaty torpedowe, trzy, cztery — uwaga!

Przeczekał znowu chwilę, spojrzął w okular,

— Gotowe?

— Trzy — cztery — gotowe!

— Pal! — powiedział tym razem już zupełnie spokojnym głosem. Teraz ryzyko pudła nie mogło już istnieć, a los ofiary i tak był przesądzony.

Nowy wstrząs targnął okrętem. Dym płonącego statku przesłonił okular peryskopu. „Rio” przechylał się szybko na lewą burzę.

Piasecki obejrzał ten widok i mrugnął na kapitana.

— Chłopakom by pokazać...

Grudziński zgodził się.

Podchodzili jeden za drugim. Oba peryskopy poszły w ruch. Każdy chciał na własne oczy zobaczyć pierwsze zwycięstwo. Nie mogło być żadnej pomyłki. Postępowanie „Rio” było aż nadto podejrzone. Statek musiał mieć coś na sumieniu, jeśli usiłował uniknąć kontroli. Jego alarmy radiowe w pełni potwierdzały to przypuszczenie.

„Rio” pogrązał się coraz bardziej. Grudziński, chcąc być świadkiem ostatniego aktu dramatu, powrócił znów do peryskopu; pragnął wykryć zagadkę upartego frachtowca.

Prześliznął się wzrokiem po pochylonym w stronę „Orła” pokładzie, obejrzał kadłub, nadbudówki, nie zauważając nigdzie śladu spodziewanego uzbrojenia. Spojrzał na morze i drgnął.

W korkach, pogrążeni po szyję w wodzie, na łodziach i obok nich, pływali kręcąc się tam i z powrotem — ludzie w mundurach.

— Niemcy! Patrz, Niemcy!

„Rio de Janeiro” trzymał się jeszcze na powierzchni. Pokład rufowy aż do śródokręcia pogrążony był w wodzie, ale dziób sterczał wysoko nad morzem. Statek wykrczał się dokoła, jak gdyby pragnąc ostatnim spojrzeniem ogarnąć otaczający go świat i powoli, niechętnie osuwał się w głębie. Kiedy morze podchodziło pod kluzy, „Rio” nagle zdecydował się, szarpnął gwałtownie, szybko ześliznął się w dół i znikł. Morze zagrało w tym miejscu kipiela, rozdygotało pianą i nadbiegająca fala zatarła ostatni ślad po frachtowcu.

Morze uspokoiło się zupełnie, motorówki i łodzie znikły wraz z rozbitkami, chroniąc się do pobliskiego portu. „Orzeł” odsunął się od miejsca ataku i wynurzył się. Nad otwartymi włazami przysiadła noc, wietrzna i niespokojna. W okręcie było zacisznie jak w domu, ale łaknęli powietrza. Wychodzili więc na pomost, by oczy nasycić światłem skąpym i czarnym, ograniczonym do kręgu obejmowanego wzrokiem.

Dziwne, lecz rozmawiano prawie szeptem, jak gdyby tuż za ścianą mroku krył się ktoś, kto mógłby podsłuchać lub podpatrzeć.

Przeżywali pierwszy sukces doszukując się w nim smaku zwycięstwa. Częstka długu została spleciona, ale to nie było jeszcze to, czego pragnęli.

Nie dającą spokoju zagadką było jedno: dlaczego na frachtowcu byli żołnierze, dokąd i po co ich kierowano? Tę jednak zagadkę w tym czasie rozwiązywał już ktoś inny.

Komandor Ionides długo i z uwagą wpatrywał się w szyfrogram przyjęty z „Orła”. „Czyżby?” — myślał nie mogąc pogodzić się z rozwiązaniem, które nasuwało się samo. Nie chciałby się ośmieszyć, gdyby jego hipoteza spotkała się z drwiącym uśmieszkiem w admiralicji. Przyjrzał się mapie dokładnie, sprawdził godzinę nadania szy-

frogramu, jeszcze raz rzucił okiem na treść. „To jest oczywiste” — stwierdził z ulgą i natychmiast połączył się z Admiralicją.

O świcie otrzymał wiadomość, która w zupełności potwierdziła słuszność jego przewidywań. Od tej chwili czekał już tylko na jedno: na powrót „Orła”.

Kiedy wreszcie Grudziński zameldował się w jego gabinecie, twarz jego zajaśniała uśmiechem.

— Gratuluję! Wy byliście pierwsi. Z naszych baz na wody norweskie wyruszył już zespół destroyerów. Jest z nimi także wasz „Grom”:

— Nie bardzo rozumiem... — bąknął Grudziński zaskoczony nieoczekiwanym przyjęciem.

— To wy nic nie wiecie?

— Nie.

— Dziś rano wojska hitlerowskie wtargnęły do Norwegii, a wasz okręt był pierwszym, który uprzedził o tym nasze dowództwo.

X. Przygoda w Ostenfiord

Mat Szubert stał się nietykalny. Bynajmniej nie z racji swego „urzędu” artylerzysty, ani też z innych jakichkolwiek względów natury służbowej, ale po prostu nie chciano go denerwować, gdyż każdy najnormalniejszy w świecie docinek sprawiał, że go „nagła krew zalewała”. Mat Szubert nie chciał być więcej pasażerem. Dla każdego, kto ma jeszcze jakie takie ambicje, najgorsze jest to, kiedy się czuje niepotrzebny. A Szubert czuł się na „Orle” niepotrzebny. Z początku „straszenie” lufą działa nawet go bawiło, ale później zaczęło go to doprowadzać do szewskiej pasji. Okręt przeżywał okres swej największej sławy i nie było wśród załogi nikogo — poza Szubertem oczywiście — kto by, słusznie zresztą, nie uważał, iż w tej sławie jest i częśćka jego zasług. A mat cierpiał, i to cierpiał straszliwie. Na Anglików nie mógł patrzeć. Obdarzał ich wszelkimi epitetami najcięższego kalibru.

Pół roku „Orzeł” już pełnił służbę, a te ofermi zatracone działa mu nie sporządziły jak należy; Szubert uznał, iż wobec tak jawnej dyskryminacji jego funkcji etat artylerzysty jest na okręcie niepotrzebny, należy go skreślić, a jego samego odkomenderować do innego zajęcia, chociażby do kompani gołębi pocztowych. Bo to przyniosłoby takie same, a może nawet większe korzyści niż jego obecna funkcja na okręcie.

Nikt oczywiście nie brał tego poważnie. Wiedziano, że Wacusię pokrzyczy i uspokoi się. Tak by się też stało, gdyby nie pewne wydarzenie, które mata jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi, a do Anglików nastroiło jeszcze bardziej nieprzyjaźnie.

Po zatopieniu „Rio de Janeiro” „Orzeł” powrócił do Rosythy w pełni chwały. Przywitano go szumnie, radośnie, z należnymi honorami i szacunkiem.

Jako pierwszy z polskich okrętów podwodnych otrzymał piracką flagę „Jolly Roger” — symbol zwycięskich walk, który odąd miał im towarzyszyć we wszystkich bojowych rejsach.

O tym, że zakropiono sobie przy tej okazji, chyba nie trzeba mówić, ale wszystko odbyło się oficjalnie. Zaraz po libacji w salonach HMS „Forth” zjawił się niespodziewanie Fred. Podszedł do Prządaka, pogratulował mu, uściśnął rękę Piegzie, Olejnikowi, Brzęczce i podszedł do Szuberta, który stał obok ponury jak wcielenie sztormowego chmurzyska. Patrzył na uśmiechniętą, rumianą twarz Freda obojętnie. Ale Fred był dobrym chłopakiem. Szczerze i serdecznie ucieszył się zwycięstwem kolegów i koniecznie chciał dzielić ich triumf. Opowiedział, jak to on pierwszy przyjął meldunek „Orła”, jak doniósł o wszystkim do sztabu, jakie powstało poruszenie i szum z tego powodu. Kto wie, może nawet i trochę przesadził z tym wszystkim, ale i tak słuchać było przyjemnie. Nawet Szubert trochę się udobruchał. Ale to wszystko Fredowi nie wystarczyło. Namawiał, żeby skoczyć na zabawę do Dumpferline, gdzie są podobno dziewczęta, którym polscy marynarze diabelnie przypadli do gustu.

Panny z Dumpferline nie były specjalnie urodziwe, ale za to naprawdę szczerze ucieszyły się z przybycia gości.

Brzęczka pierwszą z nich — Dolly, pocałował w rękę; zarumieniła się po same uszy, a oczy spotniały jej pod

wrażeniem tak głębokiego szacunku. To zmiękczyło do reszty łagodne serca dziewcząt, czego dowodem była obfita kolacja, która natychmiast zjawiła się na stole.

Dolly, Margerita i Ellen interesowały się geografią, a w szczególności położeniem Polski, o czym, mówiąc delikatnie, miały raczej słabe pojęcie. Naturalnie nie obe szło się bez początkowej nauki języka polskiego, w której Dolly okazała się wcale zdolną i... miłą uczennicą. Jej wymowa liczebników „dua” zamiast „dwa” i „czy” zamiast „trzy” była i śmieszna, i kokieteryjna zarazem. Cieszyła się każdym nowym słówkiem i powtarzała je uważnie, przymykając oczy.

W najmiłszy moment zabawy wdarł się nagle przeraźliwy dźwięk syren. Światła zgasty, a Ellen szybko zaciągnęła zaciemniające zasłony. W krótki czas potem gdzieś w górze zabrzmiał jęk zawodzący, uporczywy i ciężki. Kilka błysków przeszło ciemności i artyleria przeciwlotnicza zaczęła swój koncert.

Dolly zbladła i przytuliła się mocniej do Brzęczki, który stwierdził, że jednak i nalot może mieć swoje dobre strony. Ellen i Margerita wpatrywały się z lękiem w sufit. Mała kanapka pomieściła ich wszystkich, a w tej ciasnocie czuli się nawet pewniej i przyjemniej.

Samoloty zaczęły bombardowanie. Bomby spadały seriami, a ich podmuch uderzał jękiem w szyby okien. Było to bombardowanie dziwne, zupełnie inne niż to, które przeżywali już na morzu. Przede wszystkim wydawało się niegroźne. Przecież tu, dokoła wszędzie jest tyle powietrza...

Samoloty musiały się zbliżyć, gdyż nagle gdzieś zupełnie blisko odezwała się przeciwlotnicza bateria. Szubert patrzył w wylęknione oczy dziewcząt. W pokoju panowała zupełna cisza, kiedy mat postanowił zlekceważyć cały ten nalot i machnął z pogardą ręką.

— Gówno — takie bomby!

Prządak i Brzęczka ugryźli się w język, co z całą pewnością zapomniał przedtem zrobić Szubert, a Dolly nadstawiała pilnie uszu, najwyraźniej pragnąc nauczyć się nowego słówka.

Mat zaczerwienił się i wstał z miejsca.

— Pójdę zobaczyć... — brodą wskazał w kierunku drzwi.

— Zwariowałaś?...

Ale Szubert nałożył już czapkę i zdecydowanie wyszedł z mieszkania.

Nalot przeciągał się. Pobliska i dalsze baterie odpędzały wrogie samoloty, które wciąż jeszcze krążyły nad miastem. Rozmowa przestała się kleić. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy myśleli o Szubercie. Prządak, Brzęczka i Fred zaczynali się niepokoić. Wreszcie, gdy rozległ się sygnał odwoławczy, Brzęczka podskoczył zobaczyć, co się dzieje z Szubertem. Bateria była rzeczywiście niedaleko. Szubert siedział przy działku i zawzięcie tłumaczył coś angielskim artylerzystom. Słyszając kroki za sobą, odwrócił się.

— Krew mnie zalewa — powiedział na widok Brzęczki. — Patrz, kurdeflak!

Piegza schylił się, ale niczego nie dostrzegł.

— Nie widzisz?! — ryknął z wściekłością Szubert. — Zobacz napis na zamku — nasze, starachowickie, rozumiesz?

Odtąd mat stracił szacunek dla Anglików. Nie wierzył już, że mu w najbliższym czasie zmontują działo, skoro „ciapciaki” sami nie mają.

I dlatego Szubertowi nikt już nie chciał docinać. Przed ostatnim rejsem mat chciał zbuntować się na serio, ale przyszła wiadomość, niezupełnie jeszcze pewna, która zmieniła jego postanowienie. Ktoś skądś przywiózł wieść, jakoby lada dzień miała zjechać do Rosythy jego żona.

Mówiono też o żonie Piaseckiego. Skąd i jak miały się zjawić — tego nikt oczywiście nie wiedział. Ale byli podobno tacy, którzy je widzieli. Wiadomość była tak radosna i niespodziewana, że zrobiła wrażenie na wszystkich. Szubert zrezygnował z funkcji gołębiarza. Ładnie by to wyglądało: żona przyjeżdża, a Wacusz zamienił okręt na gołębnik. Wstyd powiedzieć!

Z miną jeszcze pochmurną, ale już z nadzieją w sercu wyszedł Wacusz na ten rejs. Obliczył sobie, że jeśli to wszystko miało być prawdą, to po powrocie żona powinna stać na nadbrzeżu. Jakoś tak słodko zrobiło mu się na sercu, że każda Dolly, Ellen, czy Margerita traciły z miejsca w jego oczach na wspomnienie Marty.

Norweskie rejsy stały się już chlebem powszednim. Była połowa maja, słońce zaczynało odzyskiwać swoją siłę i taki spacer na wody norweskie stawał się chwilami nawet przyjemny.

Zadanie mieli proste: warować w Ostenfiord, w pobliżu Oslo, i tępić wszelkie draństwo, które z portu lub do portu usiłowałoby się dostać. Nic prostszego.

„Orzeł”, lyknąwszy nocą powietrza, rankiem wyszedł w morze i czekał. Załoga wyświeżona nocnym oddechem czuła się wyśmienicie. Ranek był pogodny, słoneczny, prawdziwie majowy. Grudziński wpatrzony w widok rozciągający się na powierzchni nie mógł od niego oderwać oczu. Miał wrażenie, że nie patrzy przez peryskop, lecz ogląda kolorowy obrazek w fotoplastykonie.

Wysunięta w turkusowe morze wysoka skała rzucała na powierzchnię ciemnoniebieski, ponury cień. Wszystko to na tle błękitnego, pogodnego nieba sprawiało wrażenie czegoś tak nienaturalnego jak kiepski landszaft.

Mimo to widok był urzekający.

Kotecki ze słuchawkami w uszach wsluchiwał się w spokojny oddech morza. W pewnej chwili zmarszczył brwi

i poprawił słuchawki na uszach. Gdzieś w dali pojawił się obcy morzu, ale znany Koteckiemu szmer. Szmer ten powoli narastał, wznagał się, potężniał. Kotecki nagle spoważniał i wyrecytował w tubę sucho i urzędowo:

— Słyszę szum śrub, słyszę szum śrub, kął kursowy 280, kął kursowy...

Grudziński spojrział w jego stronę ze zdziwieniem.

— Peryskop w górę!

Prawie wpół zgięty przywarł do okularu. Morze jak przed chwilą igrało barwami, jego powierzchnia była zupełnie pusta. Zewnętrzne lustro przejechało jeszcze raz po horyzoncie. Nic — cisza.

A Kotecki ostrzegał nadal:

— Kął kursowy 280... słyszę szum śrub... słyszę...

„W uszach mu chyba szumi...” — dziwił się Grudziński, nie dostrzegając na powierzchni morza nic podejrzanego.

Uszy Koteckiego były czujne, pilne, uważne. Ten szum nie mógł już być złudzeniem. Grzmiał potężnie i bosman mógłby przysiąc, że tuż obok toczy się nie byle jaka sztuka. Dziwił się, że dowódca maca peryskopem na próżno.

Głos bosmana brzmiał tak pewnie, że Grudziński skłonny był przypuszczać, iż to jego raczej myślą oczy. Podniósł jeszcze raz peryskop i natychmiast opuścił go w dół. To, co ujrział, przechodziło wszelkie jego oczekiwania. Zza skały wysuwał się potężny piętnastotysięczny frachtowiec, za którym szły dwa mniejsze w eskorcie kilku niszczycieli.

— Przygotować aparaty dziobowe i rufowe!

Zameldowano gotowość.

Prządak na rufie, a Narkiewicz na dziobie przyczaili się przed pokrywami aparatów torpedowych. Jedno krótkie słowo, a „Orzeł” wstrząśnie się od potężnej salwy. Sekundy uciekają, narasta niecierpliwość, ale komenda nie nad-

chodzi. Ktoś przywiera uchem do rury głosowej. Z centrali dochodzi odgłos śpiesznej, nerwowej rozmowy.

Mokrski chce sprawdzić kurs, podnosi peryskop i w ułamek sekundy później melduje:

— Boja na morzu!

Czerwony przedmiot, jaki spadł w tej chwili z góry, mógł być tylko sygnałem zrzuconym z samolotu oznaczającym pozycję „Orła”.

Z myśliwego stawali się zwierzyną, a więc i z ofensywy trzeba przejść do obrony.

— Głębokość trzydzieści metrów..

I w tejże chwili trzy serie bomb ściskają kadłub „Orła”. Okręt szarpnął się i biały deszcz korka posypał się z sufitu. Światła zgasły, ciemność spotęgowała grozę. Przesunęli się parę mil w bok od niebezpiecznego miejsca. Bomby szły ich śladami, tropiły, macały:

Szum śrub przejeżdżał po suficie, wodząc za sobą wzrok zamkniętych w okręcie ludzi. Zaczynali odróżniać poszczególne wybuchy, segregować je, dzielić. Huk potężny, ale głuchy nie wróżył nic groźnego — taka bomba musiała eksplodować gdzieś dalej. Najgroźniejsze były te dźwięczne — po nich następował wstrząs najsilniejszy. Najgorszy jednak był zupełnie dobrze znany odgłos bomby spadającej do wody. Wtedy liczyło się każdą sekundę, dopóki nie nastąpił wybuch.

Józek Adamowicz namacał po ciemku lampę awaryjną, włączył światło, osłabił przyczajony w sercach lęk.

Większość leżała na kojach. Odzywali się rzadko, jak gdyby w obawie, że głośniejsze wypowiedziane słowo może być dosłyszane na górze. Szubert leżał na koi, kurczowo zaciskając rękę na jej krawędzi. Teraz, kiedy za kilka dni miał się zobaczyć z Martą, śmierć byłaby złośliwym zrządzeniem losu.

Przy kolejnym wybuchu Jasiński podskoczył w górę.

Popatrzyli na niego bez złości. Uczucie lęku zbyt mocno było znane każdemu. Chwilami bomby eksplodowały seriami, kiedy indziej spadały powoli, jedna po drugiej, w różnych miejscach. Nie wiadomo, co było straszniejsze.

Nocą bombardowanie nie ustało, zmniejszyło się tylko jego nasilenie. Serie były rzadkością, natomiast w regularnych odstępach czasu następowały pojedyncze wybuchy.

Nad ranem wyszli na głębokość peryskopową.

Na tle świetlistej, księżycowej dróżki rysowały się ostro kontury wrogiego niszczyciela. O wynurzeniu nie mogło być mowy.

Grudziński martwił się brakiem sygnału odwołującego ich z sektora. Co prawda noc przesiedzieli głęboko i sygnał mógł do nich nie dotrzeć, ale to było tylko przypuszczenie, nie pewność. Kapitan czuł niesamowite zmęczenie. Oczy kleiły sen, nogi stawały się ciężkie. Z niecierpliwością czekał na nawiązanie łączności z Rosyth. Co cztery godziny powtarzano sygnały do poszczególnych okrętów, spodziewał się więc również wezwania „Orła”. Nie omylił się — mat Sosnowski odebrał sygnał wzywający ich od dwu dni do Rosyth.

Dowódca odetchnął. Wyczerpana do kresu możliwości załoga potrzebowała odpoczynku. Nocą wynurzono się na powierzchnię, przewietrzono pomieszczenia z mocno już skwaśniałego powietrza i „Orzeł” ruszył całą naprzód.

Aby nadrobić stracony czas, Grudziński postanowił jak najdłużej iść w wynurzeniu. Zostawiwszy Mokrskiego na pomoście, sam postanowił odpocząć.

Ranek był tak samo piękny jak przedwczoraj, kiedy w Ostenfiord zauważono ów piekielny konwój. Lekka mgła zwisała nad samym morzem przesłaniając daleki horyzont. Mokrski po kilku godzinach snu czuł się zupełnie dobrze. Z radością wdychał świeże powietrze, wy-

godnie oparty o pomost. Całą godzinę od świtu szli na powierzchni. Było w tym trochę brawury, trochę bezczelności i trochę nierozwagi. Wszyscy jednak mieli dość tego rejsu i nikt nie martwił się, że w ten sposób dojdą do Rosythy szybciej.

O szóstej podporucznik zaniepokoił się. Zuchwałość też ma swoje granice i taka parada może zakończyć się niezbyt miło. O szóstej trzydzieści podporucznik zdecydował, że pójdą tak co najwyżej jeszcze przez dwadzieścia minut, a dokładnie w dziesięć minut później odwrócony do niego plecami rufowy obserwator marynarz Mońko zameldował:

— Za rufą 1200 metrów samolot!

Mokrski obrócił się na pięcie. W lornetce ujrzał zawieszoną, zdawałoby się, nieruchomo sylwetkę samolotu. Leciał wprost na rufę i od czoła trudno było rozpoznać typ i przynależność państwową.

— Rakieta! Dowódca na pomost!

W niebo wzbija się przewidziana na tę godzinę rakietka niebieska.

Samolot przeleciał kilkaset metrów i odpowiedział czerwoną. Na pokładzie zapanowała konsternacja. Wystrzelono po raz drugi niebieską i po raz drugi odpowiedziano im czerwoną.

Samolot zatoczył wiraż podchodząc z boku.

— Ster prawo na burt!

„Orzeł” uchylił się w bok i w tej chwili czarne krzyże mignęły nad głowami marynarzy.

— Ognia!

Długie serie nie dosięgły drapieznika. Stał się on jedynie bardziej ostrożny. Przeleciał, wzbijał się wyżej, dopiero teraz szykując się do ataku.

Grudziński był już na pomoście. Natychmiast ocenił sytuację — szanse były nierówne.

— Zanurzenie!

Klakson przewiercił wszystkie pomieszczenia. Dziób pochylił się w dół. Na pokład wpłynęło morze. Ostatnim widokiem przed zatrzaśnięciem włazu była pochylona w przód sylwetka samolotu, zła, rozsierdzona i napastliwa.

— Głębokość trzydzieści...

Nagle Prządak czuje, że poza zwykłym nieprzyjemnym uczuciem towarzyszącym zanurzaniu, bez jego woli, bez jego świadomości w sercu wzrasta lęk, niepohamowany, potworny lęk:

— Woda!

Słyszy jej szum. Wydaje mu się, że bije na całą szerokość włazu. Dowódca był ostatni — nie domknął. A teraz...: To nie woda, to śmierć wciska się do nich przez pozostawiony otwór, pełźnie, chichocze z radości, że wreszcie dopadła. Skóra cierpnie na całym ciele, pot spływa po skroniach. To już koniec — tym razem już nie wyjdą. „Orzeł” jak szalony pędzi w głębie. Olejnik jest bezradny. Stery przestają działać. Są na plus, ale trym jest wciąż minusowy.

„Toniemy!” — przemyka każdemu straszliwa myśl.

Na głębokości trzydziestu metrów słyszą plusk spadających bomb lotniczych. Są już niepotrzebne. Nawet gdyby nie trafiły, zagłada jest pewna.

Olejnik rozpaczliwie manewruje manetką steru głębokości i wlepił oczy w manometr.

— Czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt...

Strzałka szybko zbliża się do czerwonej kreski na liczbie sto dwadzieścia. To maksymalna głębokość, na którą może zejść „Orzeł”. Niżej morze go ściśnie, zdusi, zmiażdży.

— Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, sto...

Olejnik nie wierzy własnym oczom. Wskazówka pędzi dalej.

— Odwietrznik! Odwietrznik!..

Nikt w tej chwili nie rozumie, co to jest odwietrznik, i dlatego ktoś tak rozpaczliwym głosem wymawia to słowo.

— Sto dziesięć, sto dwadzieścia, sto trzydzieści..

Teraz już „to” powinno nastąpić. Zaraz rozlegnie się trzask i morze zwali się im na głowy.

Kadłub zaczyna trzeszczeć. Wreگی są napięte, przez szczeliny przy nitach poszycia wciskają się małe kropelki wody, osiadają na ściankach, łączą się w wąziutkie strugi spływające w dół.

Nagle rufa osiada w głąb, trzym się wyrównuje, a strzałka manometru zatrzymuje się w miejscu. Olejnik szorstką dłonią ociera pot z czoła.

Jasiński przykładą ucho do rufy głosowej, bo z centrali dochodzi głos ożywionej rozmowy.

— Odwietrznik — objaśnia wszystkim. — Zaciął się odwietrznik zbiornika szybkiego zanurzenia...

A więc nie właz. Wszystkim robi się lżej. Jest jednak iskierka nadziei.

— Foterek — mówi dalej Jasiński — coś kombinuje...

Starszy bosman Foterek zorientował się pierwszy. Zbiornika szybkiego zanurzenia nie używali od dawna. Odwietrznik nie był skontrolowany. Zawiódł, kiedy najbardziej był potrzebny. Foterek spróbował go zamknąć hydraulicznie. Nie dał rady. Majstrował ręcznie, kombinował, zaciskał zęby, wreszcie dopiął swego — zamknął go.

Przeleżeli do nocy.

Kiedy Grudziński podał komendę do wynurzenia, nie był pewien, czy „Orzeł” rzeczywiście zdoła się dźwignąć w górę. Takie same wątpliwości mieli wszyscy, chociaż jeden przed drugim nie zwierzał się z tym.

Okręt jednak lekko oderwał się od dna i poszedł ku powierzchni,

Ci, którzy wyszli na pokład, przez długi czas jeszcze nie mogli odetchnąć. Pod nimi leżała głębia, która mogła stać się ich grobem, a z której zdołali się mimo wszystko wyrwać. Tym dziwniejszy wydawał się świat ze swoim granatowym niebem i cekinami gwiazd, świeżym powiewem wiatru i pluskiem fal.

Na rufę wyszli Szubert, Kotecki i Torbus. W milczeniu patrzyli na kotłującą się z tyłu wodę. Wszyscy myśleli o jednym, ale żaden nie czuł się na siłach wyrazić swoich uczuć w słowach. Torbus rzucił niedopałek za burtę, splunął i pokręcił głową.

— Ech, kurdebalans...

— „Orzeł”... — skinął poważnie głową Torbus — ...e, „Orzeł”!

Szubert odwrócił się, patrzył przed siebie, tam dokąd szli.

— Marta — szepnął. — Mar-ta — zawołał nagle zupełnie głośno.

XI. Ostatni rejs

Prządak zachorował. Cierpiał z tego powodu podwójnie. Choroba męczyła go fizycznie, a od kilku dni „Orzeł” był w rejsie pierwszy raz bez niego.

Spadło na niego to choróbsko zniecałkane i powaliło jednym potężnym ciosem. Kiedy ostatnio schodził na ląd, już czuł się jakiś ociężały i nieswój. Może by się i wyliżał z tego, ale wieczorem koledzy wyciągnęli go na rewię. Jaka tam zresztą rewia. Ot, po prostu amatorskimi siłami sklejono program muzyczno-satyryczny i na tym koniec. Na estradzie prezentowano zwyczaje, obyczaje i charakterystyki przedstawicieli poszczególnych narodów, których wojna zgromadziła na brytyjskiej wyspie. Polacy oczywiście tańczyli polkę i całowali damy w rączkę. Widocznie Anglikom wpadło to szczególnie w oko, chociaż ich żeńska polowa nie wydawała się z tego powodu niezadowolona.

Pośmiać się było z czego, ale Prządak krzywił tylko boleśnie usta, a śmiech jakoś nie mógł mu przejść przez gardło. Po rewii poczuł się jeszcze gorzej, a nazajutrz lekarz skierował go do izby chorych.

Od kilku dni leżał w izbie chorych na HMS „Forth” w otoczeniu nowych kolegów. Był tu także stersyganalista z „Truanta”. Z tym miał najwięcej wspólnych tematów. „Truant” bowiem był tym okrętem, który dziewiątego kwietnia, a więc nazajutrz po wyjściu „Orła” z sektora,

storpedował pod Kristiansund niemiecki krążownik „Karlsruhe”. Byli więc poniekąd z tych samych stron.

Kiedy stersygnalista z „Truanta” zasypiał, mat pozostawał sam ze swymi myślami. Myśli tych było wiele i były bardzo różnorodne.

Prządak przede wszystkim zazdrościł po trosze Szubertowi. Wprawdzie fantazja Wacusia rozminęła się trochę z rzeczywistością, ale to nie było ważne. Po powrocie spod Ostenfiord na nabrzeżu nie było Marty, tak jak to sobie Szubert wyobrażał, czekało natomiast na niego dwu policjantów, co dało niektórym powód do domysłów, że Wacusię musiał gdzieś „narozrabiać”. Domysły te okazały się krzywdzące. Policjanci przywiedli go do żony, która oczekiwała już od kilku dni. Przyjechała akurat w porę. Gdyby się spóźniła choć trochę, nie zdołałaby wykołować Niemców swym holenderskim paszportem. Teraz bowiem Hitler zdusiwszy Norwegię, Belgię i Holandię działał już we Francji. Do Rosyth przybyło kilka holenderskich okrętów podwodnych, które poszły w ślady „Wilka” i „Orła”, wyrывая się z zaciskającej się obręczy Kriegsmarine.

Po Marcie przyjechała pani Piasecka. Drogę wprawdzie miała inną niż Szubertowa, daleką i okrężną, ale „do portu zawinęła” i to było najważniejsze.

Rodzina jednym słowem się powiększyła i już to samo było powodem do radości i... zazdrości, którą mat w sobie taił i dusił. Były też i inne powody do smutku i wesela. W maju przybył nowy okręt Polskiej Marynarki Wojennej, „Garland”, działający gdzieś na wodach Morza Śródziemnego, ale zaraz nazajutrz Marynarka Wojenna zmniejszyła swój stan posiadania. Pod Narwikiem zatonął „Grom”. W trzy tygodnie później w tym samym miejscu zginął brytyjski krążownik „Curlew”.

Wojna rozpalala się na dobre, przekreślając nadzieje na rychły powrót do kraju.

Prządak gryzł się i denerwował. W dniu odejścia „Orla” na patrol odwiedzili go Piegza, Brzęczka i Stelmaszyk. Szczególnie ucieszyło go przybycie Stelmaszyka: zawsze co szef, to szef. Mat ożywił się tak bardzo, że z miejsca chciał wstać i pójść z nimi na okręt. Powstrzymali go dość energicznie.

— Leż, Felek, i nie wstawaj. Narobiłbyś kłopotu sobie i nam. Wydobrzejesz, to pogadamy.

Opowiadali, co i jak na okręcie, przy czym Prządak z przykrością dowiedział się, że na „Orle” wszystko idzie normalnie jak zawsze. Zdawało mu się, że bez niego robota powinna leżeć na całym i nawet spodziewał się koleżeńskiej przygany w rodzaju, „chłopie, wstawaj, bo bez ciebie ani rusz”. Nie usłyszawszy tego, miał trochę żal do kolegów. Bo to jakoś tak wypadło: jest — to dobrze, a nie ma — to drugie dobrze. A mat chciał być na okręcie niezbędny, niezastąpiony, tak jak tego chce każdy człowiek na świecie.

— Jak się czujesz? — przypomnieli sobie nagle, z czym przyszli.

— Źle — odparł szczerze.

— Że też ciebie tak wzięło — westchnął Piegza.

— Wzięło i dalej bierze, kiedy tak patrzę na was. Po wojnie zawsze będziemy razem. Parę dni bez was to sieroctwo i bezdomność.

— Wszyscy jesteśmy bezdomni.

— Póki jest „Orzeł”, jest i dom — stwierdził poważnie Stelmaszyk. — A po wojnie... wiecie, jak to będzie po wojnie? Rozsypimy się wszyscy, każdy wsiąknie w swoje sprawy, żona, dzieci i nowe kłopoty. Dla siebie trudno będzie tego czasu wyskrobać, ale pewnie: jeden drugiego nie zapomni póki życia. To, co się najgorszego razem przeszło, to już zostanie. Tego nam nikt nie odbierze.

— Dla mnie najważniejsze to, że mogę patrzeć na wa-

sze gęby. Póki je widzę, jest mi dobrze i niczego więcej nie potrzebuję. Przyjaźń, rozumiecie, ludzka przyjaźń, to jest najważniejsza.

— Dlatego tu jesteśmy — zgodził się Stelmaszyk. — Szmat drogi przeszliśmy razem, na starość odczuwamy to w kościach, a kto to wie, ile jeszcze nam zostało?

— Może i niewiele — burknął Brzęczka.

— Dużo wiesz — obruszył się Piegza — wojna dopiero się zaczyna.

— Nie o tym myślę — sprostował zupełnie niepotrzebnie Brzęczka. — Każdy rejs tego... nie wiecie, jak to jest?

— Nie kracz! Już ja ciebie widzę w Gdyni na Świętojańskiej! Tylko łysy już będziesz.

— Zgodzę się nawet na rudego, aby było po twojemu.

— Kto mnie zastąpi w torpedowym? — zainteresował się Prządak.

— Masz zgryz? — Stelmaszyk przesunął dłonią po głowie raz i drugi. — Znajdzie się. Pewnie, o drugiego takiego jak ty, nie tak łatwo. Ale to na jeden rejs, no nie? Później sami wyciągniemy ciebie z betów,

— Nie ode mnie zależy.

— Torpedówka ci pomoże.

— Co to jest?

— Ej, Feluś, nie podobasz mi się. Tyś już ze wszystkim o nas zapomniął. Czym przemywasz torpedy i czego skąpisz kolegom?

— Spirytus?

— To ty się pytasz?

Prządak patrzył na ich pocziwe gęby plotące trzy po trzy, byle go czymś zająć. Czy na okręcie wszyscy byli tacy, czy tylko oni jedni? Może i wszyscy, ale dla niego ci właśnie byli najbliżsi. Każdy miał swoją paczkę. To była jego paczka. Dobierali się sami, charakterem, tem-

peramentem, poglądami, los im w tym pomagał, grupował w tych samych przedziałach okrętowych, wyznaczał tę samą wachtę, specjalność.

Bez nich wyspa brytyjska byłaby wyspą bezludną.

— Musimy iść — Stelmaszyk uniósł się pierwszy.

— Co złego, to nie my — powiedział Brzęczka.

— Głupstwa gadacie...

— No to... — Piegza plasnął w wyciągniętą dłoń, aż trzasnęło. — Trzymaj się, Felek, i nie zapominaj kolegów.

— Wrócimy z torpedówką! — rzucił jeszcze od drzwi Stelmaszyk.

— Wracajcie! — krzyknął Prządak i poczuł, jak gorzki smak pożegnania osiada mu w gardle. Odniósł wrażenie, że w tym pożegnaniu tkwił nie znany mu dotychczas ciężar, że nie było to zwykłe rozstanie. W pierwszej chwili pomyślał o sobie: „Rozklejam się, kurza twarz, a przecież to zwykła grypa, nic więcej”. Ułożył głowę na poduszce, ale stała się nagle twarda i niewygodna. Chciał ją poprawić, uniósł w górę i dopiero teraz spostrzegł, że w czasie rozmowy czyjeś niewidzialne ręce wsunęły tam owoce, czekoladę i puszkę kompotu śliwkowego.

„Przysmak Roberta... Robota Świebockiego” — jeszcze nigdy nie myślał o koku z takim rozczuleniem.

Wziął tę paczuszkę w rękę, obracał nią i położył obok łóżka.

Nazajutrz zwlókł się z łóżka, wysunął na pokład HMS „Forth”. O tej godzinie mieli odchodzić. Patrzył w dół, ale ciemność skrywała morze. Dwa patrolowce cichło sunęły przez wody basenu, i bardziej domyślał się ich kształtów, niż je widział. Z dołu trysnął odgłos diesli. Widział pod sobą Brzęczkę. Foterek stał obok i patrzył na swoją dłoń, dziwiąc się, że jeszcze nie wyrósł na niej kaktus. Według jego głębokiego przekonania miał przecież zakwitnąć wtedy, kiedy Brzęczka okaże się dobrym moto-

rzystą. Do Brzęczki nie miał pretensji, a do kaktusa — tak. Nie wyrósł.

Gdzieś tam musiał być Stelmaszyk i Piegza, i Szubert. Ten ostatni nie przyszedł się pożegnać. Prządak nie miał o to żalu. Dla Marty miał czasu za mało. Musieli się nacieszyć sobą w krótkich wizytach lądowych. On jeden poza Piaseckim wyglądał ostatnio na prawie szczęśliwego. Dla nich rejsy patrolowe trwały najdłużej, najbardziej wyczerpywały nerwowo. Chcieli żyć. Bardzo, bardzo chcieli żyć! Było to aż niesprawiedliwie. Bo niby zdawało im się, że do tego życia mają prawo największe. A innym to niby „wszystko jedno”. Nie było „wszystko jedno”. Ale byli w sytuacji, która nie wiadomo dlaczego mniej się liczyła.

Więc Prządak nie miał żalu do Szuberta, który tam na dole troskliwie poprawia plandekę pokrywającą działo.

Filozof-Torbus. Poważny, stateczny, myślący i „analizujący rzeczywistość”. Dekiel-Pokrywka: dzielny, wesoły, trochę czupurny chłopak. Nie można go nie lubić. Świebockiemu grywał czasem na nerwach — to prawda, ale też niegroźnie. Zresztą kokowi dokuczali wszyscy, ale tylko po to, żeby... zrobić mu przyjemność.

Jasiński, Giełdoń, Olejnik... Myślą przyłgnie do nich i, niewidzialny, pójdzie na patrol. Oni go nie dostrzegą, ale on będzie z nimi.

Odchodzą. Wzrok wyławia kształt zgęstniałej ciemności, długi i wąski, morze rozplata za nim dwa zanikające, jasne warkocze. Fala ściera ten ślad i już tylko daleki śwąd spalin dotyka nozdrzy jak ginące echo ich obecności.

Prządak stoi jeszcze chwilę, jeszcze przedłuża ten czas wspólnego trwania, ale jest to już bardziej rojenie niż rzeczywistość.

Ponad rok już żył w małym światku, który przenosi się z Polski do Holandii, z Holandii do Norwegii, z po-

wrotem do Holandii, później znów do Polski, Estonii, Anglii. Świątek mały, ale Prządak uważał siebie za jego nieodłączną część. Teraz czuł dokoła pustkę, jak gdyby był zawieszony w próżni, nie należał do nikogo i nikt nie należał do niego.

Ta izolacja stała się szczególnie okrutna w dniach, kiedy mat zdrowiał, nabierał sił, mniej spał, miał więcej czasu do rozmyślań i kiedy z dnia na dzień, z godziny na godzinę oczekiwał powrotu „Orla”.

Rozmowy ze stersygnalistą z „Truanta” przestały go interesować i bawić. Leżenie w łóżku stawało się udręką. Wywalczył sobie u lekarza prawo wstawania i spaceru do świetlicy. Więcej jednak czasu trawił na wystawianie w oknie niż czytanie i przeglądanie czasopism. Zdawało mu się, że z okna dostrzeże wchodzący do portu okręt. Liczył godziny od rana do południa i od południa do zmierzchu. Później następowała noc pełna oczekiwań i nadziei na rano. I tak w kółko.

Wreszcie zagadnął lekarza. Ten jednak był zupełnie nie zorientowany w tego rodzaju sprawach.

Ósmego czerwca jego nasiąkła niepokojem niecierpliwłość doszła do szczytu. Myśli uparcie krążyły wokół okrętu, jak gdyby w przeczuciu czegoś złego. Przyszły wspomnienia spod Ostenfiord. Wtedy byli o krok od zagłady, a przecież każdy patrol kryje w sobie tysiące takich niespodzianek. Wystarczy drobna nieuwaga, mały błąd manewru, nieznaczone niedopatrzenie, wystarczy...

Nie, te wszystkie czarne myśli mogły być tylko spowodowane nerwami osłabionymi chorobą. Przecież zdarza się, że lata oczekiwania mijają jak godziny, a ostatnie sekundy wloką się w nieskończoność. Tak jest i teraz.

Spod poduszki wygląda nienaruszona paczka z czekoladą, owocami, kompotem. „Zjemy razem” — postanowił mat i był wierny swemu postanowieniu.

Noc zapowiadała się długa i bezsenna. Aby przedłużyć wieczór, mat wziął się do cerowania. Z korytarza doszedł go znajomy głos. Ktoś się dopytywał o niego. Prządak odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył Freda. Marynarz poznał go z daleka. Prządak szczerze ucieszony tą wizytą zbliżył się do gościa.

— Cześć, stary! — potrząsnął jego czerwoną ręką.

Fred z przyklepionym do twarzy uśmiechem stał w miejscu kiwając głową. Nagle Prządakowi przysłała do głowy doskonała myśl. Przecież Fred był radiotelegrafistą.

— Co z „Orłem”? — zapytał go wprost.

Fred spuścił głowę, patrzył gdzieś w bok.

— Miałem z nim łączność..:

— No i co?

— ...do dziś — dokończył Fred.

Mat nie zrozumiał.

— Jak to: do dziś?

— Holender szedł go zmienić w sektorze. Miałem z nim, tak jak i z „Orłem”, stałą łączność..:

Prządak szukał wzrokiem jego oczu. Uciekały uparcie w bok, śledziły śliską posadzkę pokoju, błędziły po gołych ścianach.

— Wchodząc na sektor Holender zameldował:

„Torpeduję niemiecki okręt podwodny...”

— No i co?

— ...później zameldował, że nieprzyjaciel poszedł na dno. Coś mnie tknęło... I wtedy połączyłem się z „Orłem”..:

— I..:

— I... nie otrzymałem odpowiedzi..:

Zapadło milczenie. Podłoga szpitalnej salki zakotłosała się jak pokład sztormującego okrętu. Mat nie chciał pytać o nic więcej, a i Fred już nic nie miał do powiedzenia.

Na dnie serca tliły się słabiutkie iskierki nadziei. A mo-

że jednak. Nie chciało się, wprost nie można było w to uwierzyć.

Gdzieś za oknami szumiało morze, żył port. HMS „Forth” stracił jedno ze swoich piskląt. Z pokładu „Forth” „Orzeł” wyglądał jak ładna, zgrabna zabawka. Tu zawsze cumował. Teraz to miejsce będzie puste, do czasu gdy nie zajmie go inny okręt, inni ludzie.

Więc jak to jest? Mogliby tak odejść i nie pozostawić po sobie nic, absolutnie nic poza pamięcią najbliższych? Przecież to niemożliwe! Musi pozostać trwała luka, puste miejsce, którego nie mogą wypełnić „inni ludzie”. Nie mogą być inni i tacy sami jednocześnie. Nonsens!

Prządak otrząsnął się z myśli, tak jak gdyby budził się z koszmarnego snu. Trzeba to przeanalizować. „Przeanalizować rzeczywistość” — jak mawiał Torbus. No właśnie: Torbus! To on mówił zawsze: „«Orzeł», e, «Orzeł»”. To wszystko nieprawda! Oni nie mogli zginąć. To jakaś straszna pomyłka!

Tak — właśnie pomyłka...

Fred jest delikatny i nie przerywa cudzych myśli. Tu żadne słowa nie pomogą. Stracić brata to wielki żal, ale stracić od razu wszystkich, całą rodzinę, to klęska. Fred to rozumie i wycofuje się zostawiając Prządaka samego.

Nazajutrz lekarz pozwolił mu pójść do operacyjnego. Mat nie otrzymał tu żadnej odpowiedzi i to go pokrzepiło. „To znaczy, że sami nie są jeszcze pewni” — tłumaczył sobie. Dziesiątego czerwca przemęczył się cały dzień, oczekując na wiadomość. Bał się powrotu do szpitala. Bał się tej białej salki, równych rzędów łóżek, ciekawych spojrzeń towarzyszy, którzy od dawna zauważyli, że coś się z nim dzieje. Krążył między szpitalem a dowództwem i dopiero zmęczenie i głód zmusiły go do wejścia do szpitalnego budynku. Nie odezwał się do nikogo słowem, nie potrafił już rozmawiać. Pisma rozłożone na stołach

w świetlicy przerzucił raz i drugi, nie rozumiejąc z nich ani słowa, nie pamiętając nawet treści zamieszczonych w nich ilustracji. Czekał na noc, żeby sen skrócił czas.

Na drugi dzień przeszedł się po HMS „Forth”, który stał teraz pusty i samotny. W ślad za nim wszedł marynarz z dowództwa. Niósł z sobą jakieś narzędzia, kawałki drutu. Mat dziwnie otepiąty przyglądał się, jak tamten z zawodową obojętnością zakładał na zamki druty, zaciskał je obcęgi, posuwając się wzdłuż szafek załogi „Orła”.

„Jeżeli plombują, to znaczy...” — zabrzmiały mu w uszach słowa wypowiedziane kiedyś przez Freda.

Tego jeszcze dnia dowództwo wydało krótki, oficjalny komunikat, którego fragment mat zapamiętał na zawsze: *Polski okręt podwodny „Orzeł” należy uznać za zaginiony...*

Prządak przeczytał komunikat przekreślający jego wszystkie nadzieje i uśmiechnął się gorzko.

Przed jego oczyma zamajaczyła rozumna twarz Torbusa — szefa „powietrza”, w uszach zadźwięczał jego głos: „Bo wiecie, «Orzeł» to taki okręt, który morze ukochało szczególnie...”

— A jednak Torbus z a w s z e miał rację.

Lista członków załogi ORP „Orzeł”,
którzy zginęli wraz z okrętem
w dniu 8. VI. 1940 roku

(według wykazu poległych i zmarłych
Marynarki Wojennej w Wielkiej Brytanii)

<i>Lp.</i>	<i>Stopień wojskowy</i>	<i>Imię i nazwisko</i>
1.	bosman	Józef Adamowicz
2.	pchor. mar.	Edmund Brocki
3.	bosman	Jan Brzęczka
4.	st. mar.	Franciszek Chojecki
5.	mat	Paweł Czop
6.	bosman	Wiktor Dąbrowski
7.	chor. mar.	Wacław Foterek
8.	st. mar.	Alojzy Engelbert Gettka
9.	bosmanmat	Paweł Giełdoń
10.	mat	Paweł Górny
11.	st. mar.	Henryk Grabowski
12.	kmdr. ppor.	Jan Grudziński
13.	st. mar.	Roman Hagne
14.	mat	Wacław Hałaczek
15.	bosmanmat	Wojciech Hetman
16.	st. mar.	Wiesław Jakubowski
17.	mat	Stefan Janaszek
18.	st. mar.	Józef Jarmuż
19.	st. mar.	Roman Jasiński
20.	bosman	Aleksander Kamecki
21.	por. mar.	Henryk Kamiński
22.	mat	Józef Kapuściński
23.	bosmanmat	Jan Kasprzak
24.	mar.	Zbigniew Kawa

25.	st. mar.	Józef Kłosowicz
26.	st. bosman	Henryk Kotecki
27.	bosman	Julian Kozowy
28.	st. mar.	Emil Krystek
29.	st. mar.	Maksymilian Rudolf Kuhn
30.	bosmanmat	Edmund Leśniak
31.	st. mar.	Kazimierz Mazurkiewicz
32.	st. mar.	Mariusz Mączarski
33.	por. mar.	Marian Tadeusz Mokrski
34.	st. mar.	Zdzisław Mońko
35.	bosman	Stanisław Mucha
36.	st. bosman	Władysław Narkiewicz
37.	st. mar.	Zygmunt Nowak
38.	bosmanmat	Jan Olejnik
39.	st. mar.	Leonard Palowicz
40.	kpt. mar.	Andrzej Piasecki
41.	bosmanmat	Teofil Piechota
42.	bosman	Jan Piegza
43.	bosmanmat	Teodor Pokrywka
44.	mar.	Józef Prociuk
45.	bosmanmat	Bronisław Prokudowicz
46.	bosmanmat	Tomasz Prządka
47.	mat	Henryk Rebizant
48.	kpt. mar.	Florian Roszak
49.	bosman	Stanisław Samotus
50.	bosmanmat	Julian Skarbek
51.	por. mar.	Jerzy Sosnowski
52.	bosmanmat	Zygmunt Sosnowski
53.	chor. mar.	Józef Stelmaszyk
54.	st. mar.	Jan Szal
55.	bosmanmat	Wacław Szubert
56.	bosmanmat	Ignacy Świebocki
57.	bosmanmat	Jan Torbus
58.	mar.	Stanisław Uliczny
59.	mat	Zdzisław Wilwer
60.	st. mar.	Piotr Jan Zydroń

Nie jest to pełna lista załogi „Orła”, lecz jedynie nazwiska marynarzy, którzy brali udział w ostatnim rejsie.

Wszyscy oni zostali pośmiertnie awansowani,

Słowniczek terminów morskich

- A b o r d a ż** — sposób walki na morzu polegający na dobieciu do burty nieprzyjacielskiego okrętu i zdobyciu go w walce wręcz.
- A d m i r a ł** — stopień oficerski w marynarce wojennej odpowiadający stopniowi generała broni (wiceadmiral — generała dywizji, kontradmirał — generała brygady).
- A w a n p o r t** — obszar portu między falochronem a dalszymi częściami portu (kanałami, basenami itd.).
- B o s m a n** — stopień podoficerski w marynarce wojennej odpowiadający stopniowi sierżanta w armii.
- B o s m a n m a t** (skrót bosmat) — stopień podoficerski w marynarce wojennej odpowiadający stopniowi plutonowego w armii.
- B a l a n s o w a ć** — manewr na okręcie podwodnym polegający na nadaniu okrętowi kolejno trymu dziobowego i rufowego w celu wypchnięcia resztek powietrza z balastów.
- B a l a s t y** — zbiorniki znajdujące się na zewnątrz kadłuba okrętu podwodnego. Napełnienie balastów wodą zaburtową umożliwia zanurzenie się.
- B ą c z e k** — mała łódź dwuwiosłowa.
- D i e s e l** — nazwa silnika spalinowego pochodząca od nazwiska wynalazcy Rudolfa Diesla (1858—1913).
- D e s t r o y e r** (ang.) — niszczyciel.
- D. o.** — skrót: dowódca okrętu.
- D. S. O.** — Distinguished Service Order — angielskie odznaczenie bojowe.
- F l a g s z t o k** — drzewce, na którym podnosi się na okręcie banderę.
- G r ó d ź** — mocna, wodoszczelna ściana stalowa dzieląca wewnątrz kadłuba okrętu na poszczególne przedziały.
- H M S** — His (Her) Majesty's Ship — Okręt Jego (Jej) Królew-

- skiej Mości; oficjalna nazwa stosowana do jednostek angielskiej marynarki wojennej.
- K l u z y** — otwory na dziobie okrętu, przez które opuszcza się łańcuch kotwiczny.
- K o d** — system umownych znaków dla porozumiewania się na odległość według ustalonego klucza.
- K o j a** — łóżko na okręcie umocowane na stałe do podłogi lub ścian kabiny.
- K o k** — kucharz na okręcie.
- K o m a n d o r** — stopień oficerski w marynarce wojennej odpowiadający stopniowi pułkownika w armii (komandor porucznik — podpułkownika, komandor podporucznik — majora).
- K o m o d o r** — dowódca zgrupowania okrętów (np. konwoju).
- K T** — skrót: kontrtorpedowiec.
- L e b e l k a** — typ karabinu.
- M a t** — stopień podoficerski w marynarce wojennej odpowiadający stopniowi kaprała w armii.
- M a r. w o j.** — skrót: marynarka wojenna.
- M i l a m o r s k a** — jednostka miary odległości na morzu równa 1852 m.
- N a d b u r c i e** — przedłużenie burty statku wystające ponad górny pokład.
- N a d w a c h t a** — część załogi okrętu, która ma według kolejności objąć następną służbę (wachtę).
- O d w i e t r z n i k** — urządzenie na okręcie podwodnym umożliwiające wyjście powietrza wypchanego z balastu przez wodę podczas zanurzania się okrętu. Przy wynurzeniu się okrętu odwietrznik jest zamknięty, dzięki czemu wpuszczone do balastu sprężone powietrze wypycha z niego wodę przez otwarte kłapy umieszczone w dnie balastu.
- O R P** — Okręt Rzeczypospolitej Polskiej; oficjalna nazwa stosowana do jednostek polskiej marynarki wojennej.
- P e l o t k a** — skrót: działko przeciwlotnicze.
- P ł a w a** — pływający, zakotwiczony znak nawigacyjny zaopatrzony w urządzenia świetlne lub dźwiękowe, służący do oznaczenia granic torów wodnych, mielizn, wraków i innych przeszkód nawigacyjnych.
- P s i a w a c h t a** — w gwarze marynarskiej nazwa wachty od północy do godziny czwartej.

- Podwachta** — część załogi, która skończyła służbę wachtową i została zmieniona przez kolejną wachtę.
- Reling** — bariereka wokół pokładu i nadbudówek okrętu zabezpieczająca ludzi przed wypadnięciem za burtę.
- Sailor's home** (ang.) — Dom Marynarza.
- Szas balastów** — usunięcie wody z balastów za pomocą sprężonego powietrza, co powoduje wynurzenie się okrętu podwodnego.
- Szlupbelka** — urządzenie dźwigowe służące do spuszczenia i podnoszenia łodzi okrętowych.
- Szumonamiernik** — urządzenie umożliwiające słyszenie rozchodzących się w wodzie dźwięków oraz określanie kierunku, skąd te dźwięki nadchodzą.
- Scigacz** — klasa małych okrętów bojowych, których głównym zadaniem jest wykrywanie i atakowanie bombami głębinowymi zanurzonych okrętów podwodnych.
- Trałowanie** — wykrywanie i niszczenie min morskich za pomocą specjalnych urządzeń zwanych trałami.
- Trap** — różnego rodzaju schody na okręcie.
- Trym** — przechylenie okrętu w kierunku wzdłużnym, tj. w stronę dziobu lub rufy.
- Ubot** — skrót używany do oznaczenia niemieckiego okrętu podwodnego (U-boot).
- Węzeł** — jednostka miary szybkości na morzu równa jednej mili na godzinę.
- Właz** — zamykany szczelną pokrywą okrągły, rzadziej owalny otwór w kadłubie okrętu i w grodziach (rodzaj drzwi).
- Wręga** — część szkieletu kadłuba okrętu — żebro kadłuba nadające mu poprzeczną sztywność.
- Z. d. o.** — skrót: zastępca dowódcy okrętu.
- Zęza** — przestrzeń na okręcie między dnem a pierwszym pokładem, w której zbiera się przeciekająca przez poszycie kadłuba woda.
- Żyro** — skrót: żyrokompas — kompas elektryczny.

Konsultacja merytoryczna:

kmdr. ppor. rez. Zygmunt Grabowski.

Spis treści

I.	Przed burzą	7
II.	Wojna	19
III.	W niewoli	50
IV.	I znowu Bałtyk	78
V.	Przez Sund	98
VI.	Spotkanie na morzu	112
VII.	Na lądzie	124
VIII.	Pierwsze zadanie	136
IX.	Zwycięstwo	150
X.	Przygoda w Ostenfiord	158
XI.	Ostatni rejs	170
	<i>Lista członków załogi</i> : : : :	182
	<i>Słowniczek terminów morskich</i> : : : :	184

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”
Warszawa 1975. Wydanie piąte.
Nakład 50 000+277 egzemplarzy.
Ark. wyd. 8,2. Ark. druk. A1—9,52.
Papier druk. import., kl. V, 65 g, 82×104
Oddano do składania w listopadzie 1973 r.
Podpisano do druku w listopadzie 1974 r.
Skład i matryce wykonano
w Łódzkiej Drukarni Dzielowej.
Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnicza, Kraków
Zam. nr 739/74. S-062-2345



S. Biskupski

Stanisław Biskupski urodził się w 1917 roku w Kijowie. W latach 1936–1939 studiował w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie. W okresie walki z okupantem był korespondentem wojennym frontowej gazety 1 Armii Wojska Polskiego, kończąc swój szlak bojowy w Berlinie i nad Łabą. Po wojnie był jednym ze współorganizatorów prasy polskiej na Wybrzeżu. Tu też zrodził się pierwszy serdeczny kontakt z ludźmi morza, który trwa do dziś, owocując w postaci wielu książek poświęconych głównie walce na morzu. Można tu chociażby wymienić znane i cenione przez czytelników tytuły: „ORP «Orzeł» zaginął”, „Na kursie «Bismarck»”, „Sokoly siedmiu mórz”. W jego twórczości wojna nie jest przygodą, jest dramatem, a w odtwarzaniu faktów i wydarzeń tkwi głębokie pragnienie uchronienia od niepamięci ludzkich czynów w owych nieludzkich czasach. Ścisłe zespolenie faktografii z refleksyjnością jest charakterystyczną cechą jego pisarstwa. Poza wymienionymi już utworami poświęconymi walce na morzu ukazały się między innymi następujące pozycje: „Chłopcy z ostrowieckich lasów”, „Ślady na dnie”, „Morze szumi inaczej”. W 1972 roku Stanisław Biskupski otrzymał wyróżnienie imienia generała Mariusza Zaruskiego oraz nagrodę literacką imienia Conrada. Jest autorem książek zarówno dla młodych, jak i dorosłych czytelników.